

Wstęp

Nie jest to opowieść o ropie naftowej, choć dotyczy ona ropy i sposobów wydobywania jej z ziemi, dlatego krótkie wyjaśnienie będzie być może interesujące i pomocne w lekturze.

Nikt dokładnie nie wie, czym jest ropa, a przede wszystkim w jaki sposób powstała. Książek technicznych i rozpraw na ten temat istnieje bez liku - świadom jestem, że nie znam nawet ich nikłej części - i w większości zgodne są one ze sobą, jak mnie zapewniono, z wyjątkiem zagadnienia, które wydaje się szczególnie interesujące, a mianowicie, w jaki sposób ropa naftowa stała się ropą. Okazuje się, że jest na ten temat tak wiele rozbieżnych teorii, jak na temat powstania życia na Ziemi. Wobec tych komplikacji rozsądny laik ucieka się do znacznych uproszczeń, co niniejszym czynię, nie mając innego wyjścia. Do powstania ropy potrzebne były tylko dwa składniki: skały oraz niewiarygodna obfitość roślin i prymitywnych organizmów, od których roilo się w rzekach, jeziorach i morzach już zapewne miliardy lat temu. stąd określenie "paliwa kopalne".

Biblijne określenie skały jako opoki dziejów stało się źródłem błędnych interpretacji co do istoty i trwałości skał. Skała - tworzywo,

z którego zbudowana jest skorupa ziemska - nie jest ani wieczna ani niezniszczalna. Przeciwnie, podlega ciągłym zmianom, ruchom i przemianom, a warto pamiętać, że kiedyś skał w ogóle nie było.

Nawet dzisiaj geologowie, geofizycy i astronomowie różnią się zasadniczo w poglądach na to, jak powstała Ziemia; częściowo zgadzają się co do tego, że pierwotnie była rozżarzoną gazem, po czym przeszła w stan ciekły, lecz ani jedno, ani drugie nie prowadziło do powstania czegokolwiek, w tym także skał. Dlatego też błędem jest sądzić, że skały były, są i zawsze będą.

ale nie zajmujemy się tu ostateczną genezą skał, tylko skałami takimi, jakie są obecnie. Panuje powszechna opinia, że trudno jest zbadać

proces ich przeobrażeń, ponieważ mniejsze zmiany mogły trwać przez dziesięć milionów lat, a większe sto milionów.

Skały są wciąż niszczone i odbudowywane. Głównym czynnikiem niszczycielskim jest pogoda, budującym - przyciąganie ziemskie.

Na skały oddziałuje pięć czynników pogodowych. Mróz i lód rozsadzają je. Unoszący się w powietrzu pył stopniowo je złoży. Działanie mór, zarówno przez stały ruch fal i pływów, jak i walenie ciężkich sztormowych fal, bezlitośnie niszczy linię brzegową. Niezwykle potężnym żywiołem niszczycielskim są rzeki - wystarczy spojrzeć na Wielki Kanion Kolorado, żeby docenić ich olbrzymią siłę. Natomiast skały, które unikną tych wszystkich wpływów, są przez nieskończenie długi

czas spłukiwane przez opady.

Bez względu na przyczynę erozji, wynik jest ten sam: skała zostaje rozbita na najdrobniejsze składniki, czyli po prostu pył. Deszcz i topniejący śnieg zabierają ten pył do najmniejszych strumyków i najpotężniejszych rzek, które przenoszą go z kolei do jezior, mórz śródlądowych i przybrzeżnych stref oceanów. Ale pył, jakkolwiek drobny i sypki, jest i tak cięższy od wody, ilekroć więc woda się uspokaja, opada on stopniowo na dno nie tylko jezior i mórz, ale również wolno płynących w swoim dolnym biegu rzek, a także w głębi lądu - tam gdzie zdarzają się powodzie - jako il.

I tak przez niewyobrażalnie długie okresy do mórz trafiają całe łańcuchy górskie, a w trakcie tego procesu, za sprawą przyciągania ziemskiego, tworzy się nowa skała. Pył gromadzi się na dnie, warstwa po warstwie, odkładając się na grubość kilku, kilkudziesięciu, a nawet kilkuset metrów. Warstwy najniższe, stopniowo prasowane przez stale rosnące ciśnienie z góry, zespalają się tworząc nową skałę.

Właśnie w trakcie tych pośrednich i ostatecznych procesów formowania się skał powstaje ropa. Jeziora i morza sprzed setek milionów lat kipiały od roślinności i najprymitywniejszych organizmów wodnych. Ginąc, opadały one na dno jezior i mórz, gdzie stopniowo pokrywały je niezliczone warstwy pyłu, wodnych żyłatek i roślin, które powoli gromadziły się nad nimi. Upływ milionów lat i nieustannie zwiększające się ciśnienie z góry stopniowo przemieniały rozkładającą się roślinność

i martwe organizmy wodne w ropę naftową.

Opisany tak prosto proces powstawania ropy wygląda sensownie.

Ale właśnie tu otwiera się pole dla niejasności i sporów. Warunki

niezbędne do powstania ropy są znane, przyczyna tej metamorfozy

- nie. W grę wchodzi prawdopodobnie jakiś katalizator, ale dotych-

czas go nie wyodrębniono. Pierwotnej, czysto syntetycznej ropy, w od-

różnieniu od jej wtórnych syntetycznych odmian, takich jak te otrzymana

z węgla, jeszcze nie wyprodukowano. Musimy więc pogodzić się

z faktem, że ropa to ropa i że jest tam, gdzie jest - w warstwach skał

znajdujących się w ściśle określonych punktach kuli ziemskiej, na

miejscu dawnych mórz i jezior, z których część jest teraz lądem, a część

leży głęboko pod terenami, które zagarnęły nowe oceany.

Gdyby Ziemia była nieruchoma, a ropa wymieszana z głęboko leżą-

cymi warstwami skał, to nie dałoby się jej wydobyć na powierzchnię.

Ale nasza planeta jest ogromnie ruchliwa. Nie istnieje nic takiego jak

stały kontynent, bezpiecznie przytwierdzony do jądra Ziemi. Kontynen-

ty spoczywają na tak zwanych platformach tektonicznych, a te z kolei nie

mając żadnego zakotwiczenia i steru unoszą się na powierzchni roz-

topionej magmy i mogą wędrować bez żadnego planu w dowolnym

kierunku. Co też niewątpliwie robią - mają bowiem dużą skłonność do

wpadania na siebie, ocierania się o siebie i nakładania się na siebie

nawzajem w sposób niemożliwy do przewidzenia, swoją niestabilnością

przypominając na ogół skały. A ponieważ to wpadanie na siebie i koli-

zje trwają dziesiątki czy setki milionów lat, nie są one dla nas oczywiste, chyba że w postaci trzęsień ziemi, które występują zazwyczaj wtedy, kiedy dwie platformy tektoniczne ścierają się ze sobą.

Zderzenie dwóch takich platform wytwarza niesłychane ciśnienie, z którego skutków dwa są dla nas szczególnie zajmujące. Przede wszystkim ogromne siły sprężające powodują wyciskanie ropy z warstw skalnych, w których jest ona osadzona, i rozpraszanie jej w kierunkach, na jakie pozwala ciśnienie - w górę, w dół i na boki. Po wtóre, zderzenie odkształca lub fałduje same warstwy skalne wierzchnie zostają wypchnięte w górę tworząc pasma górskie (ruch północnej części indyjskiej platformy tektonicznej stworzył Himalaje), a niższe odkształcają się i tworzą właściwie podziemne góry, fałdując leżące jedna na drugiej warstwy w potężne kopuły i łuki.

Teraz ważna staje się dla nas natura samych skał, o tyle, o ile dotyczy ona wydobycia ropy. Skały mogą być porowate i nieporowate; porowate - takie jak gips - przepuszczają ciecze takie jak ropa, podczas gdy nieporowate - takie jak granit - ich nie przepuszczają. W przypadku skały porowatej ropa naftowa, na którą działają wspomniane siły sprężające, przesącza się przez nią, aż wielokierunkowe ciśnienie osłabnie, i zatrzymuje się na powierzchni lub pod samą powierzchnią Ziemi.

W przypadku skały nieporowatej ropa zostaje uwięziona w kopule albo łuku i pomimo wielkiego parcia z dołu nie może się wydostać na boki ani w górę; musi pozostać tam, gdzie jest.

W drugim przypadku do wydobycia ropy stosuje się metody uważane za tradycyjne. Geologowie ustalają położenie kopuły i wierci się otwór. Jeśli szczęście w miarę im dopisze, trafiają na kopułę z ropą, a nie na litą skałę, i na tym kończą się ich kłopoty - potężne podziemne ciśnienie wypycha ropę prosto na powierzchnię.

Wydobycie ropy, która przesączała się w górę przez porowatą skałę, przedstawia zgoła inny i znacznie poważniejszy problem, który rozwiązano dopiero w roku 1967. A i wtedy było to rozwiązanie tylko częściowe. Cała kwestia polega oczywiście na tym, że ta powierzchniowa przesączona ropa nie tworzy zbiorników naturalnych, ale jest ściśle złączona z obcymi substancjami, takimi jak piach i glina, od których musi być oddzielona i oczyszczona.

W rzeczywistości jest ona ciałem stałym i jako takie należy ją wykopywać. Mimo że ta zestalona ropa może leżeć na głębokości nawet 1800 metrów, wobec ograniczeń współczesnej wiedzy i techniki eksploatować ją można tylko do głębokości 65 metrów i tylko metodami górnictwa odkrywkowego. Tradycyjne metody górnicze - drążenie pionowych szybów i przebijanie chodników - całkowicie mijałyby się

z celem, gdyż umożliwiłyby wydobycie mikroskopijnej cząstki surowca niezbędnego do uczynienia produkcji ropy opłacalną. Ostatnia z wybudowanych kopalń, którą uruchomiono latem 1978 roku, przerabia dzie-

sięć tysięcy ton surowca na godzinę.

Dwa wyborne przykłady dwóch różnych metod wydobywania ropy

można znaleźć na dalekim północnym zachodzie Ameryki Północnej.

Dobrym przykładem zastosowania tradycyjnej metody głębokich wier-

ceń jest pole naftowe w zatoce Prudhoe nad brzegiem Morza Arktycz-

nego na północy Alaski; jej nowoczesny odpowiednik, odkrywkowe

kopalnictwo ropy, można znaleźć - w jedynym zresztą miejscu na

świecie - wśród roponośnych piasków Athabaski.

Rozdział pierwszy

- Nie, to nie jest miejsce dla nas - oświadczył George Dermott.

Jego zwaliste cielsko drgnęło i odsunął się od stołu patrząc z niechęcią

na resztki kilku ogromnych baranich kotletów. - Jim Brady oczekuje od

swoich agentów terenowych, że będą szczupli w dobrej formie wy-

sportowani. A my jesteśmy szczupli, w dobrej formie i wysportowani.

jeszcze desery - przypomniał mu Donald Mackenzie. Tak jak

Dermott, był potężnie zbudowanym, emanującym spokojem mężczyzną z ogorzałą twarzą o nieregularnych rysach, nieco większą i mniej spokojną niż twarz jego towarzysza. Często brano ich za parę byłych bokserów wagi ciężkiej. - Widzę tu babki, ciasteczka i szeroki wybór ciast - ciągnął. - Czytałeś ich broszurę na temat żywienia? Piszą w niej, że przeciętny człowiek potrzebuje w arktycznych warunkach pięć tysięcy kalorii dziennie. Ale my, George, nie zaliczamy się do przeciętnych. W krytycznych warunkach lepsze byłoby sześć tysięcy kalorii. A jeszcze bezpieczniej bliżej siedmiu. Zjesz deser czekoladowy z tłustą śmietaną?

- Szef wywiesił na ten temat informację na tablicy ogłoszeń dla personelu - rzekł z gorzką ironią Dermott. - Nie wiadomo, dlaczego w czarnych ramkach. W dodatku podpisaną.

- Zasłużeni agenci nie czytają tablic ogłoszeń - powiedział Mackenzie i wciągnął nosem powietrze. Wyprostował swoje sto pięć kilo żywej wagi i ruszył zdecydowanym krokiem do lady z jedzeniem. Firma British Petroleum-Sohio bez wątpienia znakomicie dbała o swoich pracowników. Tu, w Prudhoe, w środku zimy, nad brzegiem Morza Arktycznego, w przestronnej, jasno oświetlonej i dobrze klimatyzowanej jadalni, której ściany w wielu pastelowych kolorach pokrywał deseń z pięcioramiennych gwiazd, utrzymywano za pomocą klimatyzowanego centralnego ogrzewania przyjemnie rześką temperaturę 22 oC. Różnica

pomiędzy temperaturą w jadalni a światem zewnętrznym wynosiła 58 stopni. Gama wspaniale przyrządzonych potraw była zdumiewająca.

- Nie głodzą się tutaj - powiedział Mackenzie, wróciwszy z dwiema porcjami deseru czekoladowego i dzbankiem gęstej śmietany. - Ciekawe, jak by na to zareagował któryś z dawnych alaskańskich osadników.

Na taki widok dawny poszukiwacz czy traper pomyślałby, że ma przywidzenia. Trudno nawet powiedzieć, co by go bardziej zaskoczyło.

Oferowane tu potrawy byłyby mu w osiemdziesięciu procentach nieznane. A jeszcze bardziej zadziwiłby go dwunastometrowy basen i oszklony ogród z sosnami, brzoźami, roślinami i mnóstwem kwiatów, który przytykał do jadalni.

- Bóg jeden wie, co by o tym pomyślał nasz stary - rzekł Dermott.

- Ale można o to spytać jego - dodał wskazując idącego w ich stronę mężczyznę. - Jakby żywcem wyjęty z kart powieści Londona.

- Chyba raczej Curwooda - zaproponował Mackenzie.

Przybysz z pewnością nie zaliczał się do elegantów. Ubrany był w filcowe buty, barchanowe spodnie i nieprawdopodobnie wypłowiałą kurtkę, do której dobrze pasowały wypłowiałe łaty na rękawach. Z szyi zwieszała mu się para rękawic z foczego futra, a w prawej ręce trzymał czapkę z szopów. Włosy miał długie, siwe, rozdzielone na środku

głowy, nos lekko zakrzywiony, a jasnoniebieskie oczy obrzeżone głębokimi bruzdami kurzych łapek, które mogły być wynikiem zbyt długiego przebywania na słońcu, pośród śniegu albo też nadmiernego poczucia humoru. Resztę twarzy zakrywała mu wspaniała szpakowata broda i wąsy, a cały ten zarost obwiedziony był soplekami lodu. Ze strojem tym nie współgrał żółty, twardy kask, kołyszący się w jego lewej ręce. Przybysz zatrzymał się przy stole i z błysku jego białych zębów można się domyślić, że się uśmiecha.

- Pan Dermott? Pan Mackenzie? - spytał i wyciągnął rękę. - Finlayson. John Finlayson - przedstawił się.

- Pan Finlayson. Z kierownictwa robót eksploatacyjnych - rzekł Dermott. _

- To ja jestem kierownikiem robót - odparł Finlayson z naciskiem.

Wysunął krzesło, usiadł i zdjął z brody kilka kryształków lodu. - Tak, tak, wiem. Trudno uwierzyć. - Znów się uśmiechnął i wskazał na swój ubiór. - Na ogół myślą, że jestem z tych, co jeżdżą na buforach.

Wiecie, włóczykijem z wagonu towarowego. Bóg jeden wie dlaczego.

Najbliższy tor kolejowy jest bardzo, bardzo daleko od zatoki Prudhoe.

To tak jak Tahiti i spódniczki z trawy. Zbliżenie z naturą. Zbyt wiele lat

na Stoku Pó#nocnym. - Jego dziwny, urywany sposób wysławiania się sugerował wręcz, że jest osobą, której kontakty z cywilizacją są w najlepszym razie sporadyczne. - Niestety, nie mogłem zrobić tego osobi-

ście. To znaczy, powitać panów. Pełna kłapa.

- Pełna kłapa? - spytał Mackenzie.

- Powitać na lotnisku. Były kłopoty z jednym z węzłów. Mamy je bez przerwy. Temperatury poniżej zera bardzo źle wpływają na budowę cząsteczek stali. Zaopiekowano się panami, mam nadzieję?

- Nie narzekamy - odparł z uśmiechem Dermott. - Szczerze mówiąc, nie trzeba się nami specjalnie zajmować. Tam jest lada z jedzeniem, a tu Mackenzie. Wodopój i wielbłąd. - Dermott pohamował się; zaczął mówić jak Finlayson. - No, ale jedna skarga może się znaleźć. Zbyt wiele dań w obiadowym menu, za duże porcje. Figura mojego kolegi. . .

- Figura twojego kolegi sama o siebie dba - przerwał mu spokojnie Mackenzie. - Za to ja mam naprawdę na co się poskarżyć, panie Finlayson.

- Wyobrażam sobie - powiedział Finlayson; zęby mu znów błysnęły i wstał. - Wysłuchajmy tego w moim biurze. To tylko kilka kroków stąd. - Przeszedł przez jadalnię, za drzwiami zatrzymał się i wskazał inne drzwi na lewo. - Sterownia centralna. Serce zatoki Prudhoe, a przynajmniej jej zachodniej części. Całkowicie skomputeryzowane urządzenie do automatycznego sterowania i kontrolowania eksploatacji złoza.

- Przedsiębiorczy chłopak z torbą granatów mógłby się tu nieźle zabawić - powiedział Dermott.

- Pięć sekund i unieruchomiłby całe pole naftowe. Przyjechaliście

tu, panowie, aż z Houston tylko po to, żeby mnie rozweselić. Tędy

- powiedział Finlayson.

Wprowadził ich przez drzwi na korytarz, a potem przez drugie, wewnętrzne, do małego biura. Biurka, krzesła i szafy były bez wyjątku pomalowane na szaro, jak na okręcie wojennym. Zaprosił ich gestem, żeby usiedli, i uśmiechnął się do Mackenziego.

- Posiłek bez wina jest jak dzień bez słońca, jak powiadają Francuzi

- rzekł.

- Właśnie, ten teksaski kurz zalega w gardle jak żaden inny. Woda

go nie bierze - powiedział Mackenzie.

Finlayson zamasztyłym ruchem wskazał okno.

- Te duże urządzenia wiertnicze są piekielnie drogie i piekielnie

trudne do obsługi - powiedział. - Ciemno jak oko wykol, powiedzmy

10 11

400 poniżej zera, a człowiek zmęczony; tu człowiek zawsze jest zmęczo-

ny. Proszę pamiętać, że pracujemy po dwanaście godzin dziennie,

siedem dni w tygodniu. Wystarczy dodać do tego parę szklaneczek

szkockiej i sprzęt wartości kilku milionów dolarów można spisać na

straty. Albo uszkodzić rurociąg. Albo zabić się. Albo, co najgorsze,

zabić kilku kolegów. Dawniej, w czasach prohibicji, było z tym stosun-

kowo łatwo - beczka przemycona z Kanady, dżin z małych statków, tysiące nielegalnych bimbrowni. Na Stoku Północnym jest całkiem inaczej - schwytają cię na szmuglowaniu łyżeczki trunku i gotowe. żadnych dyskusji, żadnych odwołań. Wynocha. Ale nie ma z tym najmniejszego problemu, nikt nie będzie ryzykował ośmiuset dolarów tygodniowo dla whisky wartej dziesięć centów.

- Kiedy odlatuje następny samolot do Anchorage? - spytał Mackenzie.

Finlayson uśmiechnął się.

- Jeszcze nie wszystko stracone, panie Mackenzie - odparł.

Otworzył kluczem szafkę z aktami, wyjął butelkę szkockiej, dwie szklaneczki i nalał do nich hojnie. - Witajcie na Stoku Północnym, panowie.

- Stanęli mi przed oczami podróżni, którzy ugrzęźli w zadymce śnieżnej w Alpach, i bernardyn brnący ku nim z tradycyjnym środkiem wzmacniającym. Pan nie pije?

- Ależ piję. Raz na pięć tygodni, kiedy jadę do rodziny do Anchorage. Ta whisky jest wyłącznie dla ważnych gości. To określenie chyba stosuje się do panów? - spytał Finlayson, w zamyśleniu zgarbiając z brody lód. - Chociaż prawdę mówiąc dowiedziałem się o istnieniu waszej firmy zaledwie kilka dni temu.

"Jesteśmy jako te pustynne róże, które pączkują i kwitną nie widziane przez nikogo". Mogłem coś przekręcić, ale to z pustynią akurat się zgadza. Właśnie tam spędzamy większość czasu - powie-

dział Mackenzie i skinął głową w stronę okna. - Pustynia to nie musi

być piasek. A te okolice można chyba nazywać arktyczną pustynią.

- Podzielam pańskie zdanie. Ale co panowie robicie na tych pus-

tyniach? Czym się zajmujecie?

- Zajmujemy? - powiedział Dermott, zastanawiając się nad pyta-

niem. - Może to dziwne, ale moim zdaniem zajmujemy się doprowa-

dzaniem do bankructwa naszego zacnego pracodawcy, Jima Brady'ego.

- Jima?! Myślałem, że jego imię zaczyna się na A.

- Jego matka była Angielką. Ochrzciała go Algernon. Pan by się z tym

pogodził? Wszyscy znają go jako Jima. Tak czy owak, w całym świecie

tylko trzech ludzie znają się cośkolwiek na gaszeniu pożarów pól naf-

towych, zwłaszcza pożarów wytryskowych, a wszyscy trzech mieszkają

w Teksasie. Jim Brady jest jednym z tych trzech.

Powszechnie sądzi się, że są tylko trzy przyczyny takich pożarów:

samorzutne zapalenie, które nie powinno się zdarzać, ale się zdarza,

czynnik ludzki, czyli zwykła nieostrożność, i awaria urządzeń. Po dwu-

dziestu pięciu latach pracy w tej branży Brady stwierdził, że w grę

wchodzi jeszcze czwarty, groźniejszy element, który z grubsza daje się

zakwalifikować jako sabotaż przemysłowy.

- A kto podjąłby się sabotażu? Z jakich pobudek?

- Możemy wykluczyć najbardziej oczywistą: rywalizację pomiędzy

wielkimi towarzystwami naftowymi, bo jej po prostu nie ma. Opinia

o ich morderczej rywalizacji istnieje tylko w prasie sensacyjnej i wśród

co bardziej tępych czytelników. Nawet kompletny laik uczestniczący w zamkniętym zebraniu potentatów naftowych w Waszyngtonie zakarbuje sobie sens wyrażenia "dwie głowy z jedną tylko myślą, dwa serca bijące jak jedno". Oczywiście pomnożone przez dwadzieścia. Niech Erron podniesie cenę benzyny o pens, to Gulf, Shell, British Petroleum, Elf, Agip i cała reszta zrobią jutro to samo. Albo weźmy zatokę Prudhoe.

Z całą pewnością jest ona klasycznym przykładem współpracy - masa towarzystw pracuje w ścisłej przyjaźni dla wspólnych korzyści wszystkich zainteresowanych, a w istocie dla korzyści wszystkich towarzystw naftowych. Stan Alaska i wszyscy jego obywatele mogą na to patrzeć całkiem inaczej i mniej przychylnie.

Tak więc wykluczamy rywalizację w interesach. Pozostaje zatem inna potęga, mianowicie władza. Międzynarodowa gra sił politycznych. Powiedzmy, że państwo r może poważnie osłabić wrogie państwo Y hamując jego dochody z ropy naftowej. Ten scenariusz jest oczywisty. Następnie mamy politykę wewnętrzną. Przypuśćmy, że niezadowolone elementy w jakimś bogatym w ropę państwie dyktatorskim widzą w niej środek do wyrażenia swojego niezadowolenia wobec reżimu, który chciwie zagarnia bezprawnie zdobyte zyski albo rozdziela jakąś część nadwyżek swoim krewnym i znajomym, pilnując przy tym, żeby chłopstwo pozostawało w stanie całkowicie średniowiecznego ubóstwa. Głód to bardzo dobry motyw, w takim układzie jest miejsce na osobistą zemstę, wyrównanie starych porachunków, pozbycie się zadawnionych uraz.

Trzeba też pamiętać o piromanach, którzy widzą w ropie śmiesznie łatwy cel ataku i źródło efektownych płomieni. Krótko mówiąc, jest to miejsce praktycznie na wszystko, a im bardziej jakaś możliwość jest dziwaczna i niewyobrażalna, tym pewniej się zdarzy. Służę przykładem. Dermoot skinął głową w stronę Mackenziego.

12 13

- Donald i ja właśnie wróciliśmy z Zatoki Perskiej. Tamtejszą straż przemysłową i policję zaskoczyła seria małych pożarów ropy - małych z nazwy, bo straty wyniosły dwa miliony dolarów. Niewątpliwie robota podpalacza. Wyśledziliśmy go, zatrzymaliśmy i ukaraliśmy. Daliśmy mu łuk i strzały.

Finlayson spojrzał na nich tak, jakby wypita przez nich whisky zbyt szybko uderzyła im do głów.

-Był to jedenastoletni syn brytyjskiego konsula. Miał webleya, potężny pistolet pneumatyczny. Producent wytwarza do niego amunicję - pusty, wklęsły śrut. Nie produkuje śrutu z hartowanej stali, który uderzając w żelazo krzesze iskrę. Chłopak był jednakże obficie zaopatrywany w taki śrut przez miejscowego arabskiego chłopca, który miał taki sam pistolet, i używał tego nielegalnego śrutu do polowań na pustynną zwierzynę. Tak się składa, że ojciec arabskiego chłopca, książę z królewskiego rodu, był właścicielem pola naftowego, o którym

mowa. Teraz strzały małego Anglika mają gumowe końcówki.

- jestem pewien, że kryje się w tym jakiś morał.

- O tak, płynie z tego nauka, że to, co niemożliwe do przewidzenia, jest zawsze obecne. Nasza sekcja do spraw sabotażu przemysłowego

- tak ją nazywał Jim Brady - powstała sześć lat temu. Składa się z czternastu osób. Z początku była to wyłącznie agencja detektywistyczna. Jechaliśmy na miejsce po dokonaniu przestępstwa i ugaszeniu pożaru - często robił to sam Jim - i staraliśmy się wykryć, kto to zrobił, dlaczego i w jaki sposób. Szczerze mówiąc, nie mieliśmy wielkich sukcesów - zazwyczaj była to już musztarda po obiedzie.

Obecnie kładziemy nacisk na co innego, na profilaktykę - maksymalne zabezpieczenie zarówno maszyn, jak ludzi. Zapotrzebowanie na tego typu usługi jest ogromne - spośród wszystkich przedsięwzięć Jima my jesteśmy w tej chwili najrentowniejsi. Jak dotychczas. Czopowanie tryskających szybów, gaszenie pożarów to dziecinna igraszka, wybaczy pan to wyrażenie, w porównaniu z naszą pracą. Zapotrzebowanie na nasze usługi jest takie, że moglibyśmy potroić naszą sekcję, a i tak nie podołalibyśmy wszystkim zamówieniom.

- No to dlaczego tego nie zrobicie? To znaczy nie potroicie?

- Chodzi o wyszkoloną kadrę - odparł Mackenzie. - Po prostu jej nie ma. A ściślej, brakuje doświadczonych agentów i na dobrą sprawę prawie nie ma odpowiednich kandydatów nadających się do wyszkolenia w tym fachu. Trudno znaleźć człowieka, który miałby wszystkie

niezbędne dane. Trzeba mieć dociekliwy umysł - co z kolei opiera się na wrodzonym instynkcie dedukcji - i geny Sherlocka Holmesa, można

powiedzieć. Albo się to ma, albo nie - tego się nie nabędzie. Do tego fachu trzeba mieć oko i nos, niemal obsesję na punkcie bezpieczeństwa, a to zdobywa się tylko dzięki praktyce w terenie. Niezbędna jest doskonała znajomość światowego przemysłu naftowego, ale przede wszystkim trzeba być nafciarzem.

- A panowie jesteście nafciarzami - rzekł Fir_ayson. Było to stwierdzenie, a nie pytanie.

- Od chwili podjęcia pracy. Obaj kierowaliśmy produkcją ropy

- powiedział Dermott.

- Skoro jest taki popyt na wasze usługi, to czemu zawdzięczamy, że my wyskoczyliśmy na czoło kolejki?

- O ile nam wiadomo, jest to pierwszy przypadek, żeby towarzystwo naftowe zawiadomiono o planowanym sabotażu - odparł Dermott.

- Dla nas jest to pierwsza prawdziwa okazja, żeby wypróbować naszą profilaktykę. Dziwi nas tylko jedno, panie Finlayson. Twierdzi pan, że usłyszał pan o nas dopiero kilka dni temu. Kto więc nas tutaj ściągnął?

Bo o _wszystkim dowiedzieliśmy się trzy dni temu, kiedy wróciliśmy ze Środkowego Wschodu. Pierwszego dnia odpoczywaliśmy, drugiego studiowaliśmy instalacje i stopień zabezpieczenia rurociągu na Alasce...

- Studiowaliście? Czyżby te informacje nie były tajne?

- Mogliśmy je zamówić zaraz po otrzymaniu waszej prośby o pomoc.

Nie musieliśmy tego robić - wyjaśnił cierpliwie Dermott. - Informacje te nie są tajne, panie Finlayson. Są własnością publiczną. Wielkie towarzystwa są w takich sprawach niewiarygodnie nieostrożne. Niezależnie od tego, czy podejmują bezwzględne środki ostrożności dla uspokojenia opinii publicznej, czy dla własnej reklamy, nie tylko publikują mnóstwo informacji o własnych poczynaniach, ale wręcz zalewają nimi społeczeństwo. Informacje te pojawiają się oczywiście w różnych pozornie nie związanych ze sobą porcjach, ale nawet średnio inteligentny gość potrafiłby je zebrać do kupy.

Nie twierdzę, że duże firmy, jak Rlyeska, która wybudowała wasz rurociąg, mają sobie wiele do wyrzucenia. Pod względem niedyskrecji do pięć nie dorastają mistrzowi wszechczasów, rządowi Stanów Zjednoczonych. Weźmy klasyczny przykład z odtajnieniem tajemnicy bomby atomowej. Kiedy Rosjanie wyprodukowali bombę, rząd pomyślał, że nie ma sensu utrzymywać jej konstrukcji w tajemnicy, i zdradził wszystko. Chce pan wiedzieć, jak wyprodukować bombę atomową?

Wystarczy przesłać drobną kwotę do komisji energii atomowej w Waszyngtonie, a w zamian otrzyma pan pocztą niezbędne informacje.

To, że mogą być one wykorzystane przez Amerykanów przeciwko

Amerykanom, najwyraźniej nie powstało w głowach niedosiężnych umysłów z Kapitolu i Pentagonu, które chyba uważały, że amerykański świat przestępczy masowo i dobrowolnie przejdzie na emeryturę w dniu odtajnienia tych informacji.

Finlayson podniósł rękę w obronnym geście.

- Dość. Wystarczy - powiedział. - Doceniam to, że nie spenetrowaliście panowie zatoki Prudhoe z pomocą batalionu szpiegów. Odpowiedź jest prosta. Kiedy otrzymałem ten nieprzyjemny list - przysłano go do mnie, a nie do dyrekcji w Anchorage - odbyłem rozmowę z dyrektorem naczelnym rurociągu. Zgodziliśmy się, że jest to prawie na pewno głupi żart. Muszę jednak z przykrością powiedzieć, że wielu mieszkańców Alaski nie jest nastawionych do nas najżyczliwiej. Zgodziliśmy się też, że jeśli w grę nie wchodzi żart, to w takim razie coś naprawdę poważnego. Tacy jak my, chociaż zajmują wysokie stanowiska w swoich specjalnościach, nie podejmują ostatecznych decyzji w sprawach bezpieczeństwa i przyszłości dziesięciomiliardowej inwestycji. Dlatego zawiadomiliśmy grube ryby. Zlecenie dla was wyszło z Londynu. Dopiero później się zreflektowali i poinformowali mnie o swojej decyzji.

- Dyrekcje dyrekcjami - powiedział Dermott. - Ma pan tutaj ten list z pogrózkami?

Finlayson wydobyl z szuflady kartkę papieru i podał mu ją nad biurkiem.

"Drogi panie Finlayson" - odczytał Dermott. - Zaczyna się

grzecznie. "Zawiadamiam pana, że w najbliższym czasie czeka pana mały przeciek ropy. Zapewniam, że nieduży, ale wystarczający, żeby pana przekonać, iż potrafimy wstrzymać przepływ ropy, kiedy i gdzie chcemy. Proszę zawiadomić ARCO".

Dermott podał list Mackenziemu.

- Naturalnie nie podpisany - rzekł. - Żadnych żądań. Jeżeli jest autentyczny, to został obliczony na podłamanie ofiary przed wystąpieniem z wielką groźbą i wygórowanymi żądaniem, które nastąpią. jeżeli pan woli, obliczony na zachwianie waszego morale, na to, żeby padł na was blady strach.

Finlayson siedział zapatrzony w przestrzeń.

- Może nawet już mu się udało - powiedział.

- Zawiadomił pan ARCO?

- Tak. Pole naftowe jest podzielone na dwie mniej więcej równe części. My eksploatujemy część zachodnią. ARCO - Atlantic Richfield, Erron i kilka mniejszych przedsiębiorstw - wschodnią.

16

- Jak to przyjęli?

- Tak jak ja. Liczą na najlepsze, szykują się na najgorsze.

- A pański szef straży przemysłowej jak to przyjął?
- Ze skrajnym pesymizmem. W końcu to jego zmartwienie. Na jego miejscu czułbym się tak samo. Nie ma wątpliwości, że groźba jest prawdziwa.
- Ja też - przyznał Dermott. - List przyszedł w kopercie? O, dziękuję. - Odczytał adres. - "Pan John Finlayson, inż., członek korespondent Stowarzyszenia Inżynierów Górników". Nie tylko zadbali o konwenanse, ale i starannie odrobili lekcję na pański temat. "British Petroleum-Sohio, zatoka Prudhoe, Alaska". Stempel Edmonton, w stanie Alberta. To panu coś mówi?
- Nic a nic. Nie mam tam ani przyjaciół, ani krewnych, ani żadnych kontaktów zawodowych.
- A co na to pański szef straży przemysłowej?
- To samo co ja. Nic.
- Jak on się nazywa?
- Bronowski. Sam Bronowski.
- Możemy z nim porozmawiać?
- Niestety, musicie panowie zaczekać. Jest w Fairbanks. Wróci wieczorem, jeżeli pogoda się utrzyma. Wszystko zależy od widoczności.
- Teraz jest sezon burz śnieżnych?
- Nie mamy tu takiego. Na Stoku Północnym są bardzo małe opady,

w ciągu zimy może piętnaście centymetrów. Postrachem są tu silne wiatry.

Zwiewają pokrywą śnieżną, tak że na wysokości kilkunastu metrów nad ziemią nie widać kompletnie nic. Parę lat temu, tuż przed Bożym

Narodzeniem, próbował wylądować w tych warunkach hercules, normalnie najbezpieczniejszy z samolotów. Nie udało mu się. Z czteroosobowej

załogi dwóch zginęło. Od tego czasu piloci schytrzyli się - skoro hercules

się rozbił, to może każdy samolot. Te silne wiatry i powierzchniowe burze

śnieżne, jakie wywołują - śnieg potrafi pędzić z prędkością stu dziesięciu

kilometrów na godzinę - są naszą zmorą. Właśnie dlatego sterownia stoi

na dwumetrowych słupach - w ten sposób śnieg przelatuje pod nią.

W przeciwnym razie przy końcu zimy spoczywalibyśmy pogrzebani pod

wielką zaspą śnieżną. Poza tym słupy te eliminują praktycznie przenosze-

nie ciepła z budynku do zmarzliny, ale to już mniej ważne.

- Co Bronowski robi w Fairbanks?

- Wzmacnia naszą dziurawą obronę. Wynajmuje dodatkowych straż-

ników do pracy w Fairbanks.

- Jak to załatwia?

- Chyba na różne sposoby. To jest naprawdę dziedzina Bronowskiego, panie Dermott. Ma w tych sprawach wolną rękę. Mogą go panowie spytać o to po powrocie.

- No wie pan. Przecież pan jest jego szefem. A on podwładnym. Szefowie nadzorują podwładnych. A więc jak z grubsza biorąc rekrutuje ludzi?

- No cóż. Prawdopodobnie sporządza listę tych, z którymi ma osobisty kontakt i którzy w razie alarmu są do dyspozycji. Naprawdę nie jestem pewien. Mogę być jego szefem, ale jeżeli powierzam komuś jakieś zadanie, to on za nie odpowiada. Wiem, że Bronowski idzie do szefa policji i prosi o odpowiednie kandydatury. Być może daje ogłoszenie w "A11-Alasca Weekly", który wychodzi w Fairbanks. - Finlayson zamyślił się na krótko. - Nie wydaje mi się, żeby specjalnie ukrywał te sprawy. Po prostu jeżeli ktoś przez całe życie zajmuje się ochroną, to jest powściągliwy z nawyku.

- Jakich ludzi rekrutuje?

- Niemal wyłącznie byłych policjantów, wiecie, z policji stanowej.

- Ale nie przeszkolonych strażników?

- Takich nie, ale czuwanie nad bezpieczeństwem jest chyba drugą naturą policjanta - odparł Finlayson i uśmiechnął się. - Sądzę, że podstawowym kryterium Sama jest to, czy taki człowiek umie strzelać prosto.

- Czuwanie nad bezpieczeństwem to sprawa psychiki, a nie spraw-

ności fizycznej. Powiedział nam pan, „niemal wyłącznie”.

- Bronowski ściągnął dwóch pierwszorzędnych strażników spoza Alaski. jeden pracuje w Fairbanks, drugi w Valdez.

- Kto mówi, że są pierwszorzędni?

- Sam. Dobrał ich starannie - odparł Finlayson, ocierając schnącą brodę gestem, który mógł oznaczać irytację. - Wie pan, panie Dermott, może pan jest nawet przyjacielski i miły, ale odnoszę dziwne wrażenie, że ma mnie pan za hetkę-pętelkę.

- Bzdura. Gdyby tak było, wiedziałby pan o tym, bo wypytywałbym pana na tematy osobiste. A ja nie mam zamiaru pana o to pytać, teraz ani nigdy.

- Chyba nie zbieraliście o mnie informacji?

- We wtorek, piątego września 1939 roku, rozpoczął pan naukę w szkole średniej w Dundee, w Szkocji.

- O mój Boże!

- Dlaczego rejon Fairbanks jest tak newralgiczny? Dlaczego właśnie tam wzmacniacie ochronę?

Finlayson poprawił się na krześle.

- Bez specjalnego powodu.

- Rzecz nie w tym, czy ten powód jest specjalny, ale w tym, jaki.

Finlayson wciągnął powietrze, jakby chciał westchnąć, ale zmienił zamiar.

- Niezbyt mądry. Wie pan, plotki rodzą przesady. Pracownicy rurociągu trochę się obawiają tego odcinka. Jak panu wiadomo, rurociąg przecina trzy pasma górskie biegnąc tysiąc trzysta kilometrów na południe do stacji końcowej w Valdez. A po drodze jest dwanaście stacji pomp. Stacja pomp numer osiem znajduje się w pobliżu Fairbanks. W lecie 1977 roku wyleciała w powietrze. Została kompletnie zniszczona.

- Czy były ofiary?

- Tak.

- Czy podano przyczynę wybuchu?

- Oczywiście.

- Wyjaśnienie było przekonywujące?

- Przedsiębiorstwo budujące rurociąg, Alyeska, przyjęło je bez zastrzeżeń.

- Ale nie wszyscy?

- Opinia publiczna była sceptyczna. Władze stanowe i federalne powstrzymywały się od komentarzy.

- A jaką przyczynę podała Alyeska?

- Wadliwe działanie urządzeń elektrycznych i mechanicznych.

- Pan w to wierzy?

- Nie byłem przy tym.

- Czy powszechnie zaakceptowano to wyjaśnienie?

- Powszechnie nie dano mu wiary.

- Może podejrzewano sabotaż?

- Może. Nie wiem. W tym czasie byłem tutaj. W ogóle nie widziałem ósmej stacji pomp. Oczywiście odbudowano ją.

Dermott westchnął.

- Ktoś inny na moim miejscu zacząłby już tracić cierpliwość. Nie lubi pan się zbytnio angażować, prawda, panie Finlayson? Ale za to byłby pewnie z pana dobry agent. O ile się nie mylę, to nie podzieli się pan z nami opinią, czy próbowano coś zatuszować?

- Moje zdanie jest bez znaczenia. Liczy się, jak sędzę, to, że prasa alaskańska była o tym święcie przekonana i napisała to otwarcie i wyraźnie. Znaczący jest tutaj fakt, że gazety najwyraźniej nie dbały o to, że mogą narazić się na proces o zniesławienie. Ucieszyłyby się z publicznego śledztwa, a Alyeska, jak wolno przypuszczać, odwrotnie.

- Co tak poruszyło gazety? . . . A może niepotrzebnie o to pytam?

19

- Prasę rozdrażniło to, że przez wiele godzin nie dopuszczano jej na miejsce wypadku. A w dwójnasób rozdrażnił ją fakt, że nie dopuścili ich tam nie stanowi stróże prawa, ale wewnętrzna straż Alyeski, która, nie do wiary, pozwoliła sobie zamknąć główne drogi. Nawet ich miejscowy rzecznik prasowy przyznał, że jest to równoznaczne z bezprawnym

pozbawieniem swobody poruszania się.

- Ktoś ich zaskarżył?

- Do rozprawy sądowej nie doszło.

- Dlaczego?

Finlayson wzruszył ramionami, więc Dermott zadał następne pytanie.

- Czy dlatego, że Alyeska jest głównym pracodawcą w tym stanie, dlatego, że życie tak wielu przedsiębiorstw zależy od kontaktów z nią?

Inaczej mówiąc, dlatego, że wielka forsa rządzi światem?

- Możliwe.

- Jeszcze chwila, a wciągnę pana na listę pracowników Jima Brady'ego. Więc co takiego napisała prasa?

- Ponieważ przez cały dzień nie dopuszczano dziennikar na miejsce wypadku, sądzili, że przez cały ten czas pracownicy Rlyeski pracują gorączkowo, żeby oczyścić teren i pomniejszyć skutki wypadku, usunąć ślady wielkiego wycieku ropy i ukryć fakt, że katastrofalnie zawiódł system bezpieczeństwa. Alyeska ukryła również - jak pisano - najgorsze szkody po pożarze.

- Czy mogli też usunąć albo ukryć obciążające dowody, które wskazywałyby na sabotaż?

- Nie będę zgadywał.

- Dobrze. Czy pan lub Bronowski wiecie coś o jakichś niezadowolonych osobach w Fairbanks?

- Zależy, co pan rozumie przez niezadowolonych. jeżeli myśli pan

o obrońcach środowiska, którzy sprzeciwiali się budowie rurociągu, to

owszem. Było ich setki i protestowali bardzo mocno.

- Ale oni chyba nie kryją się z tym i pisząc do gazet zawsze

podpisują się nazwiskiem i podają adres?

- Tak.

- R poza tym obrońcy środowiska to ludzie wrażliwi, nie stosują

przemocy i działają w ramach prawa.

- _ innych niezadowolonych nie słyszałem. W Fairbanks mieszka

piętnaście tysięcy ludzi i byłoby optymizmem oczekiwać, że wszyscy są

niewinni jak baranki.

- A co myśli o tym _ r _ ,pa _ u Bronowski?

- Nie był przy tym,

20

- Nie o to pytam.

- W tym czasie mieszkał w Nowym Jorku. Wtedy jeszcze nie praco-

wał w naszej firmie.

-- A więc pracuje tu stosunkowo niedługo?

- Tak. Co, jak sądzę, na waszej liście podejrzanych czyni go auto-

matycznie łajdakiem. Jeżeli chcecie panowie tracić czas na sprawo-

zдание jego przeszłości, to proszę bardzo, ale mogę zaoszczędzić wam

i czasu, i wysiłku wiadomością, że sprawdziliśmy go raz, drugi i trzeci

za pośrednictwem trzech odrębnych pierwszorzędnych agencji. Policja nowojorska wystawiła nieskazitelne świadectwo. Kartoteka jego i firmy są - były - bez zarzutu.

- Nie wątpię. jakie ma kwalifikacje i co to za firma?

- Właściwie to jedno i to samo. Był szefem największej i kto wie czy nie najlepszej nowojorskiej agencji do spraw ochrony. Przedtem był policjantem.

- W czym specjalizowała się ta firma?

- Wyłącznie w tym co najlepsze. Głównie w wystawianiu straży.

Dostarczaniu strażników dla kilku największych banków, kiedy z powodu świąt albo choroby brakowało im własnych. Pilnowali też domów największych bogaczy Manhattanu i Long Island, żeby zapobiec skandalicznym kradzieżom biżuterii podczas dużych imprez towarzyskich.

Jego trzecią specjalnością była ochrona wystaw drogocernych klejnotów i obrazów. Gdyby udało się panu skłonić Holendrów do wypożyczenia na parę miesięcy "Nocnej straży" Rembrandta, to z pewnością zwróciłby się pan do Bronowskiego.

- Co może skłonić człowieka, żeby porzucił to wszystko i przyjechał na koniec świata?

-Tego nie mówi. Nie musi. Tęsknota za domem. A dokładniej, tęsknota jego żony. Żona Bronowskiego mieszka w Anchorage. Lata do niej w każdy weekend.

- Myślałem, że odpoczywacie tu po przepracowaniu pełnych czte-

rech tygodni?

- To nie dotyczy Bronowskiego, tylko stałych pracowników. Nominalnie swoją bazę ma tutaj, ale odpowiada za cały rurociąg. Jeżeli są jakieś kłopoty, na przykład w Valdez, od żony z Anchorage ma o wiele bliżej niż stąd. Nasz Sam to ruchliwy człowiek. Lata własnym samochodem. My tylko płacimy za paliwo.

- Nie cierpi na pustki w kieszeni?

- Z pewnością nie. Właściwie nie musiał podejmować tej pracy, ale nie znosi bezczynności. Pieniądze? Zachował udziały pozwalające mu na kontrolę nowojorskiej firmy.

21

- Nie powoduje to sprzeczności interesów?

- Jak może w ogóle być mowa o sprzecznościach? Od czasu kiedy przybył tu ponad rok temu ani razu nie był w Nowym Jorku.

- Wygląda, że to jakiś uczciwy chłopak. Cholernie mało teraz takich

- powiedział Dermott i spojrzał na Mackenziego. - Donald?

- Słucham? - spytał Mackenzie podnosząc w górę nie podpisany

list z Edmonton. - FBI go widziało?

- Oczywiście że nie. Co on ma wspólnego z FBI?

- Może mieć ogromnie dużo, i to wkrótce. Wiem, że mieszkańcy

Alaski uważają się za oddzielny naród, sądzą, że mają tu swoje specjal-

ne lermo, i traktują nas z góry, jako obywatele tych czterdziestu ośmiu gorszych stanów, ale to nie zmienia faktu, że Alaska jest częścią Stanów Zjednoczonych. Kiedy ropa stąd dociera do Valdez, przewozi się ją statkami do stanów zachodniego wybrzeża. Każda przerwa w transporcie ropy pomiędzy prudhoe a, powiedzmy, Kalifornią zostanie uznana za bezprawne zakłócenie handlu międzystanowego i automatycznie spowoduje interwencję FBI.

- Jeszcze do tego nie doszło. A poza tym, co tu ma do roboty FBI?

W ogóle nie znają się na ropie ani na ochronie rurociągu. Będą go pilnować? Oni nie upilnują samych siebie. Większość czasu spędzilibyśmy na próbach odmrożenia tych paru, którzy by nie zamarzli na śmierć podczas kilku pierwszych spędzonych tu minut. Żeby przeżyć, musieliby się gdzieś schronić, więc co by działali? Mogliby obsadzić końcówki komputera, radiostacje manewrowe i stacje czujnikowe do wykrywania alarmu w Prudhoe, Fairbanks i Valdez. Ale my mamy tu wysoko wykwalifikowanych specjalistów do kontroli ponad trzech tysięcy źródeł informacji alarmowych. Żądać tego od FBI, to jak żądać od ślepeca czytania sanskrytu. W środku czy na dworze, tak czy owak tylko by przeszkadzali i byli dla wszystkich niepotrzebnym ciężarem.

- Ale policjanci z Alaski daliby sobie radę. I to w warunkach, których niejeden spośród pańskich ludzi by nie wytrzymał. Skontaktował się pan z nimi? Zawiadomił pan władze stanowe w Juneau?

- Nie.

- Dlaczego?

- Nie lubią nas. Naturalnie, że w przypadku zagrożenia ludzkiego życia wkroczyłyby natychmiast. A tak, wolą o nas nic nie wiedzieć.

Osobiście nie winię ich za to. Zanim pan mnie zapyta dlaczego, odpowiem sam. Bo na dobre czy złe przejęliśmy od Alyeski zarząd nad rurociągiem. Wybudowała go i obsługuje Alyeska, ale używamy go my.

I tu, niestety, otwiera się szerokie pole do mylenia jednego z drugim.

W oczach większości oni rurociągiem byli, a my nim jesteśmy.

22

Finlayson zastanawiał się nad dalszymi słowami.

- Trochę ich nawet żal. Wzięli niemałe ciężki. Jasne, że są odpowiedzialni za znaczne straty i ogromne przekroczenie kosztów budowy, ale wykonali nieprawdopodobną robotę w nieprawdopodobnych warunkach, a co więcej, ukończyli ją w terminie. To w tej chwili najlepsza firma budowlana w Ameryce Północnej. Wspaniała technika i wspaniali inżynierowie, ale ich rzecznikom prasowym nie dostaje już tej wspaniałości -- wiedzą o mieszkańcach Alaski tyle, co jakby pracowali na Manhattanie. Ich zadaniem powinno być spopularyzowanie rurociągu wśród tutejszych mieszkańców, a oni zdołali jedynie zrazić część miejscowej ludności do rurociągu i do firmy budowlanej.

Finlayson potrząsnął głową.

- Trzeba prawdziwego talentu, żeby wszystko spieprzyć tak jak oni.

Chcieli ochronić Alyeskę, a osiągnęli tylko to, że przez - jak się utrzymuje - rażące ukrywanie faktów i rozmyślane kłamstwa całkowicie zdyskredytowali jej dobre imię, jeżeli w ogóle je miała.

Finlayson sięgnął do szuflady, wyjął dwie kartki papieru i podał je Dermottowi i Mackenziemu.

- Odbitki fotograficzne dokumentu, który jest klasycznym przykładem, w jaki sposób traktowali swoich kontrahentów. Można by pomyśleć, że nauki pobierali w jednym z bardziej represyjnych państw policyjnych. Proszę przeczytać. Na pewno panów zaciekawia. Zrozumiecie też, jak przez zwykłe przeniesienie opinii nie cieszymy się zbyt powszechną sympatią.

Obaj przeczytali odbitki.

Towarzystwo Usług Rurociągowych Dodatek nr 20

Rlyeska Poprawka nr 1

Rurociągi i Drogi 1 kwietnia 1977

Specyfikacja Robót Strona 2004

C. KONTRAHENT ANI JEGO PERSONEL W ŻADNYM WYPADKU NIE MOŻE INFORMOWAĆ WŁADZ O PRZECIEKU LUB WYPYLIWIE ROPY. Całą odpowiedzialność za przekazywanie takich informacji bierze na siebie ALYESKA. Zawiadamiając o tym swoją kadrę kierowniczą i pracowników KONTRAHENT położy na to nacisk.

D. Ponadto KONTRAHENT ANI JEGO PERSONEL NIE BĘDZIE

OMAWIAŁ, I UDZIELAŁ INFORMACJI ANI KONTAKTOWA _ SI _

W JAKIKOLWIEK SPOSÓB ZE ŚRODKAMI PRZEKAZU, bez wzglę-

du na to, czy będzie to radio, telewizja, gazety lub czasopisma. Każdy

taki kontakt poczytany będzie KONTRAHENTOWI za poważne narusze-

23

nie UMOWY. Wszelkie kontakty ze środkami przekazu w sprawach

przecieku lub wypływu ropy będzie nawiązywać Alyeska. Jeżeli pracow-

nicy środków przekazu skontaktują się z KONTRAHENTEM lub pracow-

nikami KONTRAHENTA, powinien on odesłać ich do Alyeski bez

omawiania z nimi czegokolwiek, zgłaszania czy udzielania informacji.

KONTRAHENT przekaże z całym naciskiem swojej kadrze kierowniczej

i pracownikom żądania ALYESKI w sprawie środków przekazu.

Dermott położył odbitkę na kolanie.

- To pisał Amerykanin?! - spytał.

- Amerykanin obcego pochodzenia, który z pewnością terminował

u Goebbelsa - powiedział Mackenzie.

- Urocze zarządzenie - rzekł Dermott. - Siedź cicho i kryj mnie

albo stracisz kontrakt. Bądź posłuszny, bo inaczej cię wyrzucę. Prze-

świetny przykład amerykańskiej demokracji w całej okazałości. - Zer-

knął na kartkę i spojrzał na Finlaysona. - Skąd pan ma ten papier? To

na pewno tajna informacja.

- Może to dziwne, ale nie. Własność publiczna. Artykuł redakcyjny

"All-Alasca Weekly" z 22 lipca 1977 roku. Ta informacja była na pewno tajna. Ale skąd gazeta ją zdobyła, nie wiem.

- Miło widzieć, jak mała gazetka przeciwstawia się potężnej firmie

i wychodzi z tego obronną ręką. To podnosi na duchu.

Finlayson wziął drugą odbitkę.

- Ten sam artykuł wstępny napomknął w dramatycznym tonie

o "straszliwie ujemnym wpływie rurociągu na nas". Była to i jest

prawda. Odziedziczyliśmy ten straszliwie ujemny wpływ i nadal daje on

się nam we znaki. Takie są fakty. Nie mówię, że wcale nie mamy

przyjaciół albo że władza nie wkroczyłaby szybko w razie oczywistego

naruszenia prawa. Ale ponieważ głosy wyborców się liczą, ci, którzy

decydują o naszych losach, rządzą zza ich pleców - wyczuwają na-

stawienie opinii publicznej, a następnie wprowadzają mile widziane

prawa i zajmują odpowiednio bezpieczne postawy. Bez względu na

wszystko nie zrażą do siebie tych, którym zawdzięczają władzę. Oczy

opinii publicznej zwrócone są zarówno na nich, jak i na nas, dlatego nie

przyjdą do nas i nie będą interweniować z powodu anonimowej groźby

anonimowego pomysłu.

- Inaczej mówiąc, dopóki nie zdarzy się sabotaż, nie możemy oczeki-

wać pomocy z zewnątrz - podsumował Mackenzie. - Tak więc w kwe-

stii środków prewencyjnych jest pan zdany całkowicie na Bronows-

kiego i jego oddziały straży. Czyli że jest pan zdany na samego siebie.

- Smutne to, co pan mówi, choć prawdziwe.

- Przyjmując, że groźba jest prawdziwa, kto się za nią kryje i czego chce? To na pewno nie jest pomylenie. Gdyby to był, powiedzmy, zwolennik ochrony środowiska, który wpadł w szał, to działałby nie oglądając się na nic i bez najmniejszego ostrzeżenia. Nie, celem może być tu wymuszenie albo szantaż, co nie jest równoznaczne - przy wymuszeniu chodzi o pieniądze, przy szantażu może chodzić o wiele innych rzeczy. Niemożliwe, żeby głównym celem było zatrzymanie przepływu ropy, bardziej prawdopodobne, że chodzi o zatrzymanie przepływu w innym, ważniejszym celu. W grę wchodzi pieniądze, polityka lokalna albo międzynarodowa - władza, działanie w myśl fałszywych czy prawdziwych ideałów albo po prostu nieodpowiedzialność pomyleńca. Niestety, wszelkie spekulacje muszą poczekać na rozwój wypadków. A tymczasem, panie Finlayson, chciałbym jak najszybciej poznać Bronowskiego.

- Już mówiłem, że musi pozatwierać swoje sprawy. Wyleci za kilka godzin.

- Nie_h pan mu każe wylecieć natychmiast.

- Przykro mi, ale Bronowski jest ode mnie niezależny. Odpowiada przede mną za całość, ale nie za detale swojej działalności w terenie.

Rzuciłby pracę, gdybym spróbował wkroczyć w jego kompetencje.

Gdyby nie mógł działać samodzielnie, praktycznie miałby związane

ręce. Nie wynajmuje się psa, żeby samemu szczekać.

- Nie rozumiemy się. Panu Mackenziemu i mnie obiecano nie tylko pełną współpracę. Upoważniono nas również do wprowadzenia drastycznych środków bezpieczeństwa, gdyśmy uznali, że okoliczności tego wymagają.

Jukońska broda Finlaysona wprawdzie nadal maskowała jego minę, ale w jego głosie brzmiało oczywiste niedowierzenie.

- To znaczy, do przejęcia obowiązków Bronowskiego?

-Jeżeli uznamy, że jest kompetentny, po prostu usuniemy się na bok i będziemy służyć radą. Jeśli nie, skorzystamy z uprawnień, jakie nam dano.

- Komu dano? Ależ to absurd... Nie, ja na to nie pozwolę. Wkraczacie tutaj, panowie, i wyobrażacie sobie... nie, nie ma mowy. Nie otrzymałem takiego polecenia.

- Wobec tego radzimy, żeby pan natychmiast poprosił o nie albo o jego potwierdzenie.

- Kogo?

- Grube ryby, jak ich pan nazywa.

- Londyn?

24 25

Dermott nie odpowiedział.

- To sprawa pana Blacka.

Dermott nadal milczał.

- Dyrektora naczelnego rurociągu - wyjaśnił Finlayson.

Dermott skinął głową w stronę trzech telefonów na jego biurku.

- Wystarczy sięgnąć po słuchawkę - powiedział.

- Wyjechał z Alaski. Przeprowadza inspekcję naszych biur w Seattle,

San Francisco i Los Angeles. Kiedy i w jakiej kolejności, nie wiem. Ale

wiem, że jutro w południe wraca do Anchorage.

- Czy to znaczy, że wcześniej nie może czy też nie chce się pan z nim skontaktować?

- Właśnie.

- Mógłby pan zadzwonić do tych biur.

- Już mówiłem, że nie wiem, gdzie on jest. Może być zupełnie gdzie indziej. jeżeli nie leci akurat samolotem.

- Ale spróbować pan może? - spytał Dermott, a ponieważ Finlayson nie

odpowiedział, dodał: - Może pan zadzwonić bezpośrednio do Londynu.

- Panowie chyba niewiele wiedzą o hierarchii obowiązującej w towarzystwach naftowych?

- Nie. Ale wiem jedno - odparł Dermott. Jego zwykły dobrotliwy

ton znikł. - Bardzo mnie pan rozczarował, panie Finlayson. Jest pan

w poważnych kłopotach albo bardzo łatwo może się pan w nich znaleźć.

W takiej sytuacji nie oczekuje się po pracowniku na wysokim stanowis-

ku, że się obrazi i okaże zranioną dumę. Pan niewłaściwie rozumie

swoje obowiązki, przyjacielu: na pierwszym miejscu jest dobro firmy, a nie pańskie uczucia i obrona własnej skóry.

Spojrzenie Finlaysona nie zdradzało żadnych uczuć. Mackenzie patrzył w sufit, jak gdyby znalazł tam coś szczególnie interesującego.

Wiedział, że Dermott, którego znał od tylu lat, jest niedoścignionym mistrzem w zaganianiu przeciwnika w kozi róg. Jego ofiara albo poddawała się, albo zajmowała straconą pozycję, co wykorzystywał bezlitośnie. Jeżeli nie mógł uzyskać współpracy, zadowalało go tylko całkowite podporządkowanie sobie przeciwnika.

- Wyraziłem trzy prośby, każdą z nich uważam za uzasadnioną, a pan odrzucił wszystkie trzy - ciągnął Dermott. - Nie zmienił pan zdania?

- Nie, nie zmieniłem.

- Jak sądzisz, Donald, co mi pozostało? - spytał Dermott.

- Tylko jedno - odparł ze smutkiem Mackenzie.

- Tak jest - powiedział Dermott, spoglądając chłodno na Finlaysona.

- Przez krótkofalówkę ma pan kontakt z Valdez, skąd jest

łączość z centralami telefonicznymi w Stanach. - Pchnął w jego stronę wizytówkę. - A może nie pozwoli mi pan na rozmowę z moją dyrekcją w Houston?

Finlayson nic nie odpowiedział. Wziął wizytówkę, podniósł słuchawkę i wydał polecenie telefonistce. Po trzech minutach milczenia, które tylko Finlayson odczuł jako przykre, zadzwonił telefon. Finlayson słuchał

przez krótką chwilę, po czym oddał słuchawkę.

- Firma Brady? - spytał Dermott. - Mówi Dermott, proszę z panem

Brady. - Zamilkł, po czym znów się odezwał: - Dzień dobry, Jim.

- Witam, witam, George - powiedział Brady silnym, donośnym głosem, który słyszeć było dobrze w całym biurze. - Dzwonisz z zatoki

Prudhoe, tak? Co za przypadek. Właśnie miałem do ciebie telefonować.

- Tak. Wiem, chodzi o meldunek, Jim. A raczej o wiadomości. Nie mam nic do przekazania.

- A ja mam. Będę mówił pierwszy, bo są ważne. To publiczna linia?

- Chwileczkę - powiedział Dermott i spojrzał na Finlaysona. - Czy obsługa, waszej centrali składała przysięgę zachowania tajemnicy państwowej ?

- ależ skąd. Chryste Panie, to zwykła telefonistka.

- Dobrze pan to ujął. Chryste Panie! Boże miej w opiece transalaskański rurociąg - rzekł Dermott. Wyciągnął notes, ołówek i przemówił do słuchawki. - Niestety, Jim. Publiczna. Jestem gotów.

Czystym i wyraźnym głosem Brady zaczął recytować pozornie nic nie znaczącą mieszankę liter i cyfr, które Dermott zapisywał zgrabnym drukowanym pismem. Po mniej więcej dwóch minutach Brady zamilkł i spytał:

- Powtórzyć?

- Nie, dziękuję.

- Masz mi coś do przekazania?

- Tylko jedno. Tutejszy szef robót odmawia pomocy, jest niegrzeczny i mnoży trudności. Chyba nie mamy tu nic do roboty. Prosimy o pozwolenie wyjazdu.

- Udzielam pozwolenia - powiedział wyraźnie Brady po krótkiej chwili, a potem rozległ się trzask odkładanej słuchawki i Dermott wstał. Finlayson zrobił to już przed nim.

- Panie Dermott... - zaczął.

Dermott posłał mu lodowate spojrzenie i przemówił głosem chłodnym jak zima:

- Proszę przekazać nasze pozdrowienia Londynowi, panie Finlayson. Gdyby kiedyś pan się tam znalazł.

26 27

Rozdział drugi

Dwa tysiące sto kilometrów na południowy wschód od zatoki Prudhoe, o dziesiątej wieczorem w barze hotelu Peter Pond w Forcie McMurray pracownicy Brady'ego spotkali się z Jayem Shorem. Ci, których kwalifikacje upoważniały do wydawania opinii w takich sprawach, skwapliwie przyznawali, że wśród kierowników budów przemysłowych w Kanadzie Shore nie ma sobie równych. Twarz miał śniadą jak pirat - brzydki kawał wycięła mu natura czyniąc go zarazem towarzys-

kim, pe_tym humoru i pogodnym.

Ale w tej chwili bynajmniej nie był ani w dobrym humorze, ani wesoły. Podobnie jak siedzący obok niego Bill Reynolds, dyrektor kopalni odkrywkowej Sanmobilu, rumiany i zwykle uśmiechnięty mężczyzna, obdarzony przez naturę dokładnie takim właśnie diabolicznym usposobieniem, jakie przypisywano niesłusznie Shore'owi.

Bill Reynolds spojrział przez stół na Dermotta i Mackenziego, których on i Shore poznali pół minuty temu.

- Uwinęliście się, panowie - powiedział. - Błyskawiczna obsługa, że się tak wyrażę.

- Staramy się. Robimy, co w naszej mocy - odparł z zadowoleniem Dermott.

- Szkocką? - zaproponował Mackenzie.

- Tak, proszę - rzekł Reynolds i skinął głową. - Przylecieliście dwusilnikowym odrzutowcem, zgadza się?

- Tak.

- To chyba sporo kosztuje?

- Ale zapewnia operatywność - odparł z uśmiechem Dermott.

- W centrali, to znaczy w Edmonton, powiedziano nam, że możecie być zajęci przez cztery dni. Nie spodziewaliśmy się was po czterech godzinach! - powiedział Reynolds patrząc w zamyśleniu sponad świe-

żo nalanej szklaneczki. - Niewiele o was wiemy.

- Istotnie. My wiemy o panu prawdopodobnie jeszcze mniej.

- A więc nie jesteście nafcierzami?

- Ależ tak. Ale nafcierzami od wierceń. Nie znamy się na odkryw-
kowym wydobyciu ropy.

- I zawodowo zajmujecie się ochroną?

- Tak.

- Więc nie ma potrzeby pytać, co robiliście na Stoku Północnym?

- Jeszcze raz tak.

- Długo tam byliście?

- Dwie godziny.

-Dwie godziny! Chce pan powiedzieć, że załatwiliście sprawę
ochrony. . .

- Nic nie załatwiliśmy. Wyjechaliśmy.

- Wolno spytać dlaczego?

- Kierownik produkcji był... powiedzmy sobie... nieskory do pomocy.

- Przepraszam, że tak pytam.

- Dlaczego pan przeprasza?

- No bo tutaj ja kieruję produkcją. Aluzję zrozumiałem.

- Nie było żadnej aluzji - odparł lekko Dermott. - Pan zadał

pytanie, ja odpowiedziałem.

- I postanowiliście panowie zrezygnować. . .
- Na całym świecie czeka na załatwienie masę spraw i nie mamy czasu pomagać komuś, kto sam sobie nie chce pomóc. No, ale mniejsza z tym, panowie, do rzeczy: wasza firma oczekuje od nas zadawania pytań, a od panów odpowiedzi na nie. Kiedy otrzymaliście tę pogrózkę?
- Dziś rano o dziesiątej - odparł Shore.
- Ma pan przy sobie ten list?
- Niezupełnie. Grożono nam przez telefon.
- Skąd dzwoniłono?
- Z Anchorage. To była międzynarodowa.
- Kto przyjął telefon?
- Ja. Bill był ze mną i się przysłuchiwał. Rozmówca powtórzył tekst dwa razy. Dosłownie powiedział tak: "Zawiadamiam, że Sanmobil czeka w najbliższym czasie przerwa w produkcji ropy. Zapewniam was, że niewielka, ale wystarczająca, żeby was przekonać, że możemy za-
trzymać przepływ ropy, kiedy i gdzie chcemy". Nic więcej,
- Żadnych żądań?
- Dziwne, ale nie.
- Nie ma obawy. Żądania pojawią się wraz z wysunięciem poważ-
niejszej groźby. Rozpoznałby pan ten głos?

- A czy rozpoznalbym głosy miliona irmych Kanadyjczyków, które brzmią dokładnie tak jak ten w telefonie? Bierze pan tę groźbę poważnie?

- Tak. Na ogół wszystko bierzemy poważnie. Jak jest zabezpieczona wasza kopalnia?

- No cóż, w normalnych warunkach odpowiednio. Tak sędę.

- Warunki mogą być bardzo nienormalne.  u macie strażników?

- Dwudziestu czterech, pod dowództwem Terry'ego Brinckmana.

Zna się na swojej robocie.

- Nie wątpię. Macie psy?

- Ani jednego. Zwykle psy policyjne - alzaczyki, dobermany,

boksery - nie wytrzymują w tych niesamowitych warunkach. Psy

eskimoskie oczywiście tak, ale są dla nas nieprzydatne, bo chętniej

gryzą się między sobą niż szukają nieproszonych gości.

- A ogrodzenie pod prądem?

Shore wzniósł oczy w górę i popatrzył z politowaniem.

- Chce pan z miejsca dostarczyć szubienicy obrońcom środowiska?

Niechby tylko najnędnniejszy wilk przypalił sobie swoją parszywą skórę...

- Wystarczy, wystarczy. Chyba nie muszę pytać o czujniki i tym

podobne?

- Istotnie, nie musi pan.

- Jak duży jest teren kopalni? - spytał Mackenzie.

- Ma około trzech tysięcy dwustu hektarów - odparł Reynolds

z nieszczęśliwą miną.

- Trzy tysiące dwieście hektarów - powtórzył Mackenzie kata-

stroficznym tonem. - A wobec tego długość ogrodzenia?

- Dwadzieścia dwa i pół kilometra.

- Tak. To prawdziwy problem - powiedział Mackenzie. - Do-

myślam się z tego, że obowiązki waszej straży są dwojakie: ochrona

najważniejszych urządzeń samej przetwórnii i patrolowanie ogrodzenia,

tak?

Reynolds potwierdził skinieniem głowy.

- Są trzy zmiany strażników, po ośmiu w zmianie - powiedział.

- Ośmiu ludzi, bez żadnych dodatkowych środków bezpieczeństwa,

do pilnowania przetwórnii i patrolowania dwudziestodwu i półkilomet-

rowego ogrodzenia w ciemnościach zimowej nocy.

- Pracujemy przez całą dobę - powiedział obronnym tonem Shore.

- Przetwórnia jest znakomicie oświetlona przez całą noc i dzień.

- Ale nie ogrodzenie. Gdyby ciocia miała węży... a zresztą, co tu

dużo mówić. Ze dwa pułki wojska może by rozwiązały sprawę, ale i w to

wątpię. W każdym razie jest to problem.

-- Nie jedyny - oświadczył Dermott. - Najznakomitsze oświetlenie nic

nie pomoże, skoro na każdej z trzech zmian pracują setki robotników.

--- Co pan ma na myśli?

- ~ Dywersantów.

-- Dywersantów?! Ponad dziewięćdziesiąt osiem procent siły robo_

czej to Kanadyjczycy.

-- Czy królowa wydała dekret o abolicji wobec kanadyjskich przestępców? Czy najmuąc pracownika sprawdzacie jego przeszłość?

- No, nie przeprowadzamy dokładnego wywiadu, nie stosujemy bicia, testów z użyciem aparatów do wykrywania kłamstwa ani tym podobnych głupstw. Spróbowaliby pan to zrobić, a nie miałby pan chętnych do pracy. Sprawdzamy staż zawodowy, kwalifikacje, opinie i co najważniejsze kartoteki policyjne.

-- To najmniej ważne. Prawdziwie cwani przestępcy nie figurują w kartotekach policji - powiedział Dermott. Wyglądał, jakby miał właśnie westchnąć, wybuchnąć, zakląć albo zrezygnować, ale zmienił zdanie. - Tak... późno już. Jutro pan Mackenzie i ja chcielibyśmy porozmawiać z Terryem Brinckmanem i obejrzeć kopalnię.

- Gdybyśmy mieli tu samochód o dziesiątej. . .

- A może o siódmej? Tak, siódma nam odpowiada.

Dermott i Mackenzie odprowadzili wzrokiem dwóch odchodzących, wymienili spojrzenia, opróżnili szklaneczki, przywołali barmana, a potem wyjrzeni przez okna hotelu Peter Pond, nazwanego tak od nazwiska pierwszego białego, który ujrzał Smolne Piaski.

Pond płynął czołnem po rzece Athabaska prawie dokładnie dwieście lat temu. Piaski te najwyraźniej niezbyt go interesowały, ale w dziesięć lat później znacznie sławniejszego podróżnika zaciekaWiła lepka substancja wydobywająca się z odsłoniętych pokładów ziemi wysoko nad

rzeką i zapisał: "Ta smoła ziemna jest w stanie płynnym i po zmieszaniu z żywicą naturalną albo z żywiczną substancją zebraną ze świerku służy do powlekania indiańskich czółen. Podgrzana, wydziela zapach podobny do zapachu sproszkowanego węgla bitumicznego".

Dziwne, ale znaczenia słów "węgiel bitumiczny" nie doceniano przez ponad sto następnych lat; nikt nie zdawał sobie sprawy, że dwóch osiemnastowiecznych odkrywców natknęło się na największe na świecie zasoby paliw kopalnych. Ale gdyby się na nie nie natknęli, nie byłoby hotelu Peter Pond tam, gdzie stoi, ani oczywiście miasta za jego oknami.

Jeszcze nawet w połowie lat sześćdziesiątych tego wieku Fort McMurray był na;zwyczajszą surową, prymitywną kresową osadą liczącą tysiąc

30 31

trzystu mieszkańców, z ulicami pełnymi kurzu, błota lub śniegowej brei, zależnie od pory roku. Obecnie, choć Fort McMurray pozostał kresowym miastem, był jednak miastem, które się wyróżnia. Ceniąc sobie swoją przeszłość, ale i spoglądając w przyszłość, był on typowym przykładem miasta korzystającego z koniunktury, a pod względem przyrostu ludności najszybciej rozwijającą się aglomeracją w Kanadzie. Tam gdzie przed czternastu laty mieszkało tysiąc trzystu obywateli, żyło ich teraz trzynaście tysięcy. Wybudowano, albo właśnie budowano, szkoły, hotele, banki,

szpitale, kościoły, supersamy i przede wszystkim setki nowych domów.

A na dodatek, dziw nad dziwy, na ulicach położono nawierzchnię. Ten oczywisty cud ma swoje źródło w jednej jedynej okoliczności, w tym że Fort McMurray leży dokładnie w samym sercu Smolnych Piasków Athabaski, najważniejszych tego rodzaju złóż na świecie.

Wcześniej tego wieczoru sypał śnieg, który jeszcze nie przestał padać. Wszystko - domy, ulice, dachy samochodów, drzewa - pokryła gładka, jednolita warstwa bieli. Poprzez zasłonę łagodnie sypiących płatków świeciły gościnnie setki latarni. Sceneria ta ucieszyłaby oko i serce malarza specjalizującego się w gwiazdkowych pocztówkach. Kilka takich spostrzeżeń przyszło na myśl Mackenziemu.

- Powinien tu dziś być Święty Mikołaj.

- Właśnie - przyznał markotnie Dermott. - Zwłaszcza gdyby przyniósł ze sobą pokój na ziemi i dobrą wolę wszystkim ludziom. Co powiesz na ten telefon do Sanmobilu?

- To co ty. Ta groźba jest właściwie identyczna z listem, jaki dostał w Prudhoe Finlayson. Na pewno jest to robota tego samego człowieka albo grupy ludzi.

- A co powiesz na to, że nacierze z Alaski dostają groźbę z Alberty, natomiast przedsiębiorstwo naftowe w Albercie dostaje identyczną groźbę z Alaski?

- Nic... poza tym, że obie groźby mają to samo źródło. Weźmy ten telefon z Anchorage. Na pewno dzwoniło z budki telefonicznej. Nie do

wykrycia.

- Prawdopodobnie. Ale nie na pewno. Nie wiem, czy z Anchorage można się tu dodzwonić bezpośrednio. Chyba nie, ale możemy to sprawdzić. Jeżeli nie można, to telefonistka z centrali będzie miała zanotowaną tę rozmowę. Jest szansa na ustalenie telefonu, z którego dzwoniłono.

Mackenzie przez krótką chwilę przyglądał się miastu przez dno szklaneczki.

- To by było coś - rzekł.

To by było coś. Są dwie możliwości. Zadzwoniono o dziesiątej, czyli o szóstej rano czasu Anchorage. Kto oprócz wariata -- albo pracującego na ówczesną noc - - wchodzi a tej godzinie na ciemne, lodowate ulice. mało prawdopodobne żeby tak dziwne zachowanie nie zostało zauważone.

-- Jeśli chciał je ktoś zauważyć.

- Policja stanowa w wozach patrolowych. Taksówkarz. Kierowca pługu śnieżnego. Listonosz idący do pracy. Zdziwiłbyś się, ilu ludzi z całą pewnością usprawiedliwionych powodów kręci się po ulicach w najciemniejszych godzinach nocy.

;-;d;_ _ _ nr się nie zdziwił - odparł Mackenzie nieco urażonym tonem - - nam się to dość często przytrafiało w tej przeklętej robocie.

Mówiłeś o dwóch możliwościach. Jaka jest ta druga?

=> jeżeli ustalimy, skąd dzwoniło, to jest przecież policja, która poleci poczcie wymontować ten automat i odda go swoim specom do daktyloskopii. Bardzo możliwe, że ten, kto dzwonił do Fortu McMurray, używał monet o wyższym nominale niż ci, którzy korzystali z tego aparatu w dzień... albo w nocy. Znajdą się trzy duże monety z jednakowymi odciskami palców i - mamy go.

- Zgłaszam sprzeciw. Monety przechodzą przez wiele rąk. Odciski palców, owszem, znajdziesz, i to całe mnóstwo.

- Odrzucam sprzeciw. Wiadomo, że najwyraźniejszy ślad na powierzchni metalu zostawia osoba, która dotyka go ostatnia. Szukając tego śladu zdejmujemy też odciski palców wokół tarczy aparatu. Ludzie nie wykręcają numeru w futrzanych rękawiczkach. Potem sprawdzamy kartoteki policyjne. Te odciski mogą akurat tam być. A jeżeli są, to zatrzymujemy gościa i pytamy go o różne ciekawe rzeczy.

- Kombinezić to ty umiesz. Niezbyt chytrze, ale umiesz. Tylko że najpierw trzeba schwytać tego człowieka.

- Jeżeli zdobędziemy jego rysopis albo odciski, które są zarejestrowane, nie powinno to być trudne. Co innego, gdyby się zamelinował.

Nie widzi chyba jednak takiej potrzeby. Zresztą mógłby mieć z tym trudności, bo może to być przecież jeden z filarów kół towarzyskich i handlowych Anchorage.

- Założę się, że inne filary miasta Anchorage z rozkoszą posłuchałyby twoich słów. Myślę o tobie to samo, co w tej chwili myśli o nas nasz

przyjaciel John Finlayson. Ä propos, jak postępujemy z nim dalej?

Musimy się z nim jakoś dogadać. Przy tak oczywistym impasie...

- Niech na razie pogotuje się we własnym sosie. Nie życzę mu aż tak źle, jak ta brzmi. ale niech się trochę pomartwi tam w Prudhoe, aż

32 33

3 - A`habaska

będziemy gotowi. To dobry człowiek, inteligentny, uczciwy. Zachował się dokładnie tak, jakbyś zachował się ty albo ja, gdyby para natrętów próbowała się rządzić. Im dłużej nas tam nie ma, tym większa gwarancja, że będzie z nami współpracował, kiedy wrócimy. Jim Brady może być zwiastunem złych wieści, ale rozmowa z nim nie mogła wypaść w bardziej odpowiedniej chwili. Dał nam znakomity pretekst, żeby wyjechać. A jeśli już mowa o Jimie...

- Doszedłem do wniosku, że nie bardzo mi się to wszystko podoba.

Mam przeczucia. Można by pomyśleć, że to sprawka moich szkockich przodków. Wiesz, że zatoka Prudhoe i to miejsce zawierają ponad połowę północnoamerykańskich zasobów ropy. Są to niesłychane ilości.

Szkoda, żeby się coś tej ropy przytrafiło.

- Do tej pory nie dbałeś o takie sprawy. Detektyw ma być chłodny, obiektywny, bezstronny.

- W przypadku ropy, która należy do innych. Ale to jest nasza ropa.

A to wymaga ogromnej odpowiedzialności. Dramatycznych decyzji na najwyższym szczeblu.

- Mówiliśmy o Jimie Bradym.

- Ja nadal o nim mówię.

- Myślisz, że powinniśmy go tu ściągnąć?

- Tak.

- Ja też. Właśnie dlatego poruszyłem ten temat. Zadzwońmy do niego.

Jim Brady, który wymagał, by jego agenci terenowi byli szczupli, bystrzy, wysportowani i mieli dobrą kondycję, w butach na bardzo wysokich obcasach mierzył sto siedemdziesiąt dwa centymetry, a pod jego ciężarem wskazówka wagi zatrzymywała się w okolicach stu dziesięciu kilogramów. Nie będąc zwolennikiem podróżowania bez bagażu, leciał z Houston nie tylko ze swoją uroczą jasnowłosą żoną Jean, ale i ze swoją absolutnie oszałamiającą córką Stellą, także na-

turalną blondynką, która podczas wypraw w teren służyła mu za sekretarkę. Żonę zostawił w hotelu w Forcie McMurray, ale córkę wziął do minibusu, który Sanmobil przysłał, żeby go przewieźć do kopalni.

Pierwsze wrażenie, jakie zrobił na twardych ludziach z Athabaski, było mniej niż korzystne. Miał na sobie świetnie skrojony ciemnoszary garnitur - musiał on być dobrze skrojony, już choćby po to, żeby pomieścić tak okrągłą postać - białą koszulę i tradycyjny krawat. Na tym wszystkim miał dwa wełniane płaszcze i obszerne futro z bobrów, co razem sprawiało, że był równie wysoki, co szeroki. Paradował w miękkim filcowym kapeluszu tego samego koloru co garnitur, ale był on również prawie niewidoczny, bo przytrzymywał go wełniany szalik, którym Brady dwukrotnie owinał głowę.

- Niech mnie diabli - wykrzyknął. Głos miał zduszony przez końce szalika zawiązanego tuż pod oczami, które były jedyną widoczną częścią jego twarzy. A mimo to jego towarzysze nie mieli wątpliwości, że jest pod wrażeniem tego, co zobaczył. - Tak, to jest coś.

Musielście mieć, chłopcy, kupę zabawy przy kopaniu i budowie tych ślicznych zameczków z piasku.

- Można i tak to ująć, panie Brady - odparł; pohamowując się Jay Shore. -- Jak na teksaskie normy to być może nic wielkiego, ale i tak jest to największe przedsięwzięcie górnicze w historii ludzkości.

- Bez urazy. Nie oczekuje pan chyba po Teksasie, żeby przyznał, że poza granicami jego stanu może być coś większego albo lepszego. - Niemal wyczuwało się, że Brady zbiera się w sobie, żeby wyrazić podziw. - To bije wszystko, co do tej pory widziałem, "To" było koparką linowłókową, ale taką, jaką Brady widział po raz pierwszy. Koparka jest zasadniczo maszynownią z kabiną sterowniczą, z której kieruje się podobnym jak u dźwigu wysięgnikiem. Wysięgnik ten jest umocowany na zawiasach i obraca się u podstawy maszynowni, może więc być zarówno podnoszony, jak opuszczany, oraz przesuwany na boki. Sterowanie odbywa się za pośrednictwem kabli z maszynowni, które przechodzą przez masywną stalową nadbudowę koparki i biegną do końca wysięgnika. Inny kabel, przebiegający przez zakończenie wysięgnika, przytrzymuje czerpak, który można obniżać dla nabrania surowca, podnosić z powrotem w górę i przesuwać w bok, żeby wywalić ładunek.

- Nic większego nie chodziło jeszcze po ziemi - oznajmił Shore.

- Chodziło?! - spytała Stella.

- Tak, ona umie chodzić. Kroczy albo raczej szura tymi dwoma olbrzymimi butami przymocowanymi u podstawy, krok po kroku. Do wyścigu derby w Kentucky by jej pani nie zgłosiła - na przebycie mili potrzebuje siedmiu godzin. Tyle że nigdy nie musi robić na raz więcej niż kilka metrów. Najważniejsze, że dociera do celu.

- A ten długi nos... - zagadnęła Stella.

- To wysięgnik. Najczęściej porównują jego długość do długości

boiska piłkarskiego. Błędnie - jest dłuższy. Z tego miejsca czerpak nie wygląda na taki duży, ale tylko dlatego, że wszystko pomniejsza perspektywa. Jednorazowo nabiera siedemdziesiąt metrów sześciennych surowca, czyli tyle, żeby wypełnić garaż na dwa samochody. Obszerny garaż na dwa samochody. Koparka waży sześć tysięcy pięćset ton, mniej więcej tyle samo co średni krążownik. Koszt? Około trzydziestu milionów dolarów. Na jej zbudowanie potrzeba od piętnastu do osiemnastu miesięcy, oczywiście na miejscu. Koparki są cztery i razem mogą przenieść ćwierć miliona ton dziennie.

- Przekonał mnie pan. To miasto to rzeczywiście koparka forsy

- powiedział Brady. - Wejdźmy do środka. Zmarzłem.

Pozostali czterej - Dermott, Mackenzie, Shore i Brinckman, szef straży przemysłowej kopalni - spojrzeli na niego nieco zaskoczeni.

Wydawało się niemożliwe, żeby ten człowiek, tak przesadnie okutany i zabezpieczony zarówno przez naturę, jak i na inne sposoby, mógł w ogóle odczuwać chłód. Ale skoro Brady oświadczył, że zmarzł, to zmarzł.

Wgramolili się do minibusu, w którym choć brakło innych wygód, to przynajmniej grzejniki działały znakomicie. Znakomicie prezentowała się też dziewczyna, która zajęła tylne siedzenie, zdjęła kaptur futrzanej kurtki i uśmiechnęła się do nich promiennie. Brinckman, który był z nich najmłodszy, bo miał lat trzydzieści parę, do tej pory poświęcał

Stelli niewiele uwagi. Teraz dotknął brzegu futrzanej czapki i twarz mu się rozjaśniła. Trudno się było dziwić jego entuzjazmowi, bo w kurtce z białego futra dziewczyna wyglądała tak miękko i przytulnie jak niedźwiadek polarny.

- Chcesz coś podyktować, tato - spytała.

- Jeszcze nie teraz - mruknął Brady. Natychmiast po bezpiecznym schronieniu się przed mrozem rozwiązał końce szalika, które skrywały mu twarz. Kiedyś, w odległej przeszłości, musiało być widać po nim silną wolę, która wyprowadziła go z zapadłych uliczek nędzy i przywiodła do obecnych milionów, ale lata opływania w luksusy usunęły wszelkie jej ślady - kościec zniknął pod masami tłuszczu, który wypełnił wszelkie fałdy, zmarszczki czy choćby kurze stopki wokół oczu. Z twarzy przypominał zepsute dziecko. Z jednym wyjątkiem - jego oczy nie miały w sobie nic dziecinnego. Były niebieskie, zimne, tak-
sujące i bystre.

Wyjrzał przez okno na koparkę.

- Więc tu się kończy linia produkcyjna - powiedział.

- Zaczyna - sprostował Shore. - Piaski roponośne mogą leżeć na głębokości piętnastu metrów pod ziemią. To co na górze, nadkład, jest dla nas bezużyteczne - żwir, glina, torf, łupki, piach ubogi w ropę

- i musi zostać usunięte najpierw. - Wskazał zbliżający się pojazd.

- Właśnie wywożą trochę tych odpadów. Wykopała je inna koparka w nowym wyrobisku. Żeby jeszcze bardziej panu zaimponować, do-

dam, że te ciężarówki są również największe na świecie. Pusta waży sto dwadzieścia pięć ton, z ładunkiem sto pięćdziesiąt, a wszystko to na czterech oponach. Musi pan jednak przyznać, że nie były jakich.

Ciężarówka właśnie ich mijala i rzeczywiście były to nie byle jakie opony; Brady ocenił, że mają przynajmniej trzy metry wysokości i są odpowiednio do tego grube. Rozmiary samej ciężarówki były potworne: sześć metrów wysokości przy kabinie i mniej więcej tyle samo szerokości, a kierowca siedział tak wysoko, że z dołu był niewidoczny.

- Za cenę jednej takiej opony kupiłby pan zupełnie porządny samochód - ciągnął Shore. - A co do samej ciężarówki, gdyby pan zamierzał taką kupić, to przy dzisiejszych cenach niewiele reszty zostałoby panu z trzech czwartych miliona.

36 37

Wydał polecenie swojemu kierowcy, który zapalił silnik i ruszył.

- Po zdjęciu nadkładu ta sama koparka kopie roponośny piach - tak jak ta, którą oglądaliśmy - i zwała go na wielki nasyp, który nazywamy hałdą.

Dziwna, fenomenalnie długa maszyna wgryzała się w hałdę. Shore wskazał ręką i wyjaśnił:

- To koparka wielonaczyniowa - po jednej takiej pracuje w parze z każdą koparką zagarnikową. Sto trzydzieści i pół metra długości.

i'Vidać, jak obracające się koło z czerpakami wgryza się w hałdę, Czternaście czerpaków na kole o średnicy dwunastu metrów może przenieść w ciągu minuty sporo ton. Następnie roponośny piach jest przenoszony po grzbiecie koparki - moście, jak go nazywamy - do oddzielaczy. A stamtąd...

- Oddzielaczy? - przerwał mu Brady.

- Czasem wydobywa się piach w postaci dużych, litych brył, twar-
dych jak skała, które mogłyby uszkodzić taśmy przenośników. Od-
dzielacze są to po prostu wibrujące sita, które oddzielają te bryły.

- I bez tych oddzielaczy pasy przenośników mogłyby ulec znisz-
czeniu?

- Tak jest.

- Taśmociąg przestałby działać?

- Prawdopodobnie. Tego nie wiemy. Nigdy do tego nie dopusz-
czono.

- A co dalej?

- Roponośny piach wpada do przesuwających się wagonów samo-
sypnych, które tam widzicie. Zsypują one surowiec na pas przenośnika
i jedzie on do wytwórni. Potem...

- Chwileczkę - przerwał mu Dermott. - Dużo jest tych przenoś-
ników?

- Sporo.

- Œe dokładnie wynosi ich dłuŒość?

Shore miał niepewn min.

- Dwadzieœcia szeœć kilometr - odparł. Dermott wbił w niego

wzrok, wic pospieszył z wyjaœnieniem. - Na kocu systemu przenoœ-

nikw zwałwarki promieniowe kieruj surowiec na tak zwane sterty

falowe - po prostu zwykłe składowiska.

- Zwałwarki promieniowe? Co to takiego? - spytał Brady.

- Przedłwienie przenoœnika, ktre biegnie w gr. Obracaj si one

pod pewnym ktem, Œeby skierowa ropony piach na odpowiedni _

stref falow. Napełniaj rwnieŒ pojemniki, ktre transportuj piach

pod ziemi, gdzie rozpoczynaj si procesy chemicznego i fizycznego

oddzielania smoły ziemnej. Pierwszy z tych procesw. . .

- O rany! - powiedział z niedowierzaniem Mackenzie.

- To nam z grubsza wystarczy - rzekł Dermott. - Nie chc by

niegrzeczny, panie Shore, ale nie mam ochoty słucha o procesach

ekstrakcji ropy. Usłyszałem juŒ i zobaczyłem wszystko, co chciałem.

- O mj BoŒe! - wykrzyknł tym razem Mackenzie.

- O co chodzi, panowie? - spytał Brady.

- Kiedy wczraj wieczorem Don i ja rozmawialiœmy z panami Sho-

rem i Reynoldsem, dyrektorem kopalni - zacał Dermott starannie

dobierajc słowa - sdziliœmy, Œe s powody do niepokoju. Teraz

widz, Œe traciliœmy czas na głpstwa. Teraz dopiero naprawd si

niepokoję. Wczoraj odkryliśmy jeden fakt: że śmiesznie łatwo można się przedostać przez ogrodzenie kopalni i niemal z równą łatwością można wprowadzić sabotażystów do przetworni. Z tej perspektywy są to jednak drobiazgi. Be znalazłeś słabych punktów, Don?

- Sze_ć.

- Ja naliczyłem tyle samo. Po pierwsze, koparki. Wyglądają niezłomie jak skała gibraltarska, ale niezwykle łatwo je uszkodzić. Sto ton kruszącego materiału wybuchowego ledwo by wyszczerbiło skałę Gibraltaru, a tę koparkę mógłbym załatwić dwoma dwukilogramowymi ładunkami wybuchowymi przyczepionymi w odpowiednim miejscu, tam gdzie wysięgnik umocowany jest na zawiasie do maszynowni koparki.

Brinckman, inteligentny i niewątpliwie znający się na rzeczy trzydziestoparoletni mężczyzna, odezwał się po raz pierwszy od kwadransa, po czym natychmiast tego pożałował.

- Wszystko pięknie, jeżeli może pan podejść do koparki, ale to niemożliwe. Teren jest oświetlony jaskrawymi reflektorami.

- O rany! - zawołał Mackenzie, znów używając swego ograniczonego repertuaru wykrzykników.

- O co chodzi, panie Mackenzie?

- O to, że ustaliłbym, gdzie jest wyłącznik, kontakt, cokolwiek, co dostarcza energii reflektorom, i unieruchomił rozwalając albo wyłączając

jąc to błyskotliwe nowatorskie urządzenie. Albo przeciąłbym linie energetyczne. Albo jeszcze prościej, zgasiłbym je w ciągu pięciu sekund serią z pistoletu maszynowego. Oczywiście założywszy, że nie są z kuloodpornego szkła.

- Dwa kilo amatu używanego w przemyśle unieruchomiłoby koło z czerpakami na nieograniczony czas - rzekł Dermott przerywając

39

kłopotliwą dla Brinckmana ciszę. - Taka sama ilość załatwiłaby most koparki. Półtora kilo rozwaliłoby płyty oddzielnicy. _o już cztery sposoby. jeszcze jeden wspaniały sposób to dobranie się do zwalowaczek promieniowych, co oznaczałoby, że Sanmobil nie mógłby gromadzić w sterty falowe piachu ropośnego do przeróbki pod ziemią. I wreszcie najlepsze: dwadzieścia sześć kilometrów nie pilnowanego taśmociągu.

W samochodzie zaległa cisza, dopóki znów nie zadudnił głos Dermotta.

- Po co zawracać sobie głowę przetwórną, kiedy znacznie prościej

i z lepszym skutkiem można przerwać dostawę surowca. Trudno

mówić o zachowaniu ciągłości procesu przeróbki, jeżeli nie ma

co przerabiać. To dziecinnie proste. Cztery koparki zgarnikowe.

Cztery koparki wielonaczyniowe. Ich cztery mosty. Cztery oddzielacze.

Cztery zwałowarki promieniowe. Dwadzieścia sześć kilometrów przenośników, dwadzieścia dwa i pół kilometra przenośników, dwadzieścia dwa i pół kilometra nie strzeżonego ogrodzenia i ośmiu ludzi, żeby to wszystko upilnować. Absurdalna sytuacja. Niestety, szefie, w żadnym razie nie zdołamy powstrzymać naszego "przyjaciela" z Anchorage od spełnienia groźby.

Brady spojrział na nieszczęsnego Brinckmana jednym, jak się zdawało, zimnym niebieskim okiem.

- I co pan na to? -- spytał.

- A co mogę powiedzieć poza przyznaniem racji? Nawet gdybym miał do dyspozycji dziesięć razy tyle ludzi, to o tak nie sprostałibyśmy takiemu zagrożeniu - rzekł Brinckman wzruszając ramionami. - Nawet nie śniłem o czymś takim.

- Tak jak wszyscy. Nie ma pan sobie nic do wyrzucenia. Nie spodziewaliście się, że jako strażnicy pracujący w przemyśle naftowym będziecie żołnierzami walczącymi na wojnie. A propos, co należy do waszych obowiązków?

- Jesteśmy tu po to, żeby zapobiegać trzem rzeczom: bójkom wśród załogi, drobnym kradzieżom i picciu na terenie kopalni. A takie rzeczy jak do tej pory zdarzyły się tylko kilka razy.

Słowa Brinckmana najwyraźniej o czymś Brady'emu przypominały.

- Otóż to. Chwile napięcia wytrącają człowieka z równowagi - powiedział i obrócił się w fotelu. - Stella!

- Tak jest tato - odparła, otworzyła wiklinowy koszyk, wydobyla

butelkę i szklaneczkę, nalała alkoholu i podała ojcu.

- Daiquiri - wyjaśnił Brady. - Ale mamy też szkocką, dżin, rum...

- Niestety, nic z tego, panie Brady - powiedzia% Shoze. - Pszepisy

w naszej firmie są bardzo surowe. . .

Udzieliwszy mu paru cierpkich rad, co ma zrobić z przepisami firmy,

Brady zwrócił się ponownie do Brinckmana.

- Czyli że do tej pory byliście tutaj całkiem zbędni, a zanosi się, że

w przyszłości będzie z was jeszcze mniej pożytku?

- Zgadzam się z panem częściowo. To, że nie mieliśmy do tej pory

wiele roboty, nie oznacza, że byliśmy niepotrzebni. Ważna jest sama

nasza tu obecność. Nie ciska pan cegłówką w okno jubilera, jeżeli

półtora metra od pana stoi policjant. Natomiast co do przyszłości, to się

zgadzam. Czuję się całkowicie bezradny.

- Gdyby miał pan zaatakować kopalnię, to jaki ee! by pan wybrał?

Brinckman nie miał kłopotu z odpowiedzią.

- Wyłącznie taśmociągi.

Brady popatrzył na Dermotta i Mackenziego. Obaj skinęli głowami.

- A pan, panie Shore?

- Zgadzam się z tym - odparł Shore, popijając z roztargnieniem

whisky, która w jakiś sposób trafiła mu do rąk. - Poza tym, że jest

piekielnie długi, to jeszcze bardzo delikatny. Taśma ma metr osiem-

dziesiąt szerokości, a kord wiskozowy tylko cztery centymetry grubości. Młotem kowalskim i dłutem sam bym go przeciął - mówił napiętym tonem i sam był napięty. - Niewielu zdaje sobie sprawę, jak ogromne ilości surowca są tu przerabiane. Żeby utrzymać pełną zdolność produkcyjną przetwórci i żeby produkcja była opłacalna, potrzebujemy blisko ćwierć miliona ton roponośnego piachu _ziennie. Jak już mówiłem, jest to największe przedsięwzięcie górnictwa wszechczasów. Wystarczy odciąć dostawy surowca, a przetwórcza stanie w ciągu kilku godzin. Oznacza to stratę stu trzydziestu tysięcy baryłek ropy dziennie. Nawet Sanmobil nie wytrzymałby takich strat w nieskończoność.

- Be kosztowało wybudowanie tej kopalni? - spytał Brady.

- Prawie dwa miliardy.

-- Dwa miliardy dolarów. I perspektywa straty stu trzydziestu tysięcy baryłek dziennie - powiedział Brady potrząsając głową. - Nikt nie kwestionuje genialności ludzi, którzy wymarzyli sobie tę kopalnię. To samo dotyczy inżynierów, którzy ją wybudowali. Ale jest jeszcze jedna rzecz, której nikt nie podważy, a przynajmniej ja: że ten wybitny trust mózgow w jednym punkcie doznał zaćmienia. Dlaczego żadna z tych tęgich głów nie przewidziała obecnej sytuacji? Wiem, że łatwo być mądrym po fakcie, ale, do diabła, nie trzeba szczególnej bystrości, żeby to przewidzieć. _opa t;_ nie jest _wykły iz_ tere_. Dlaczego nie przyszło

im do głowy, że wzbudzą zawiść, sprowokują wariatów albo szantażystów? Dlaczego nie przewidzieli, że budują największy obiekt przemysłowy wszechczasów, całkowicie zdany na łaskę losu?

Shore popatrzył ponuro na swoją szklaneczkę, z ponurą miną opróżnił ją i nie przerwał ciszy.

- No, nie całkiem - odezwał się Dermott.

- Jak to "nie całkiem"?

- Oczywiście, że jest to przemysłowy zakładnik na łasce losu. Ale nie największy. To wątpliwe wyróżnienie należy się bez dwóch zdań rurociągowi na Alasce. Kosztował on nie dwa, ale osiem miliardów dolarów. Nie produkują oni stu trzydziestu tysięcy baryłek ropy dziennie, ale milion dwieście tysięcy. I nie mają do pilnowania dwudziestu sześciu kilometrów przenośników, tylko tysiąc trzystukilometrowy rurociąg.

Brady oddał swoją szklaneczkę do ponownego napełnienia, przetrawił tę niemiłą myśl, pokrzepił się i spytał:

- Czy naprawdę nie ma żadnego sposobu na zabezpieczenie tego draństwa?

- Owszem, ale tylko jeśli chodzi o ograniczenie skutków uszkodzenia. Mają wspaniałe systemy przekazywania informacji i kontroli elektronicznej, z wszelkimi możliwymi urządzeniami zapewniającymi bezpieczeństwo w razie awarii i urządzeniami pomocniczymi, aż po satelitarną stację do kontroli awarii - odparł Dermott i wyjął z kieszeni

kartkę. - Mają dwanaście stacji pomp, sterowanych bezpośrednio albo zdalnie. Mają sześćdziesiąt dwa zawory zasuwowe, wszystkie zdalnie sterowane ze stacji pomp na północy. Zawory te mogą zatrzymywać przepływ ropy w obu kierunkach.

Jest też osiemdziesiąt zaworów zwrotnych dla zapobieżenia popłynięciu ropy z powrotem, a poza tym, hmm, wszelkie inne dziwne zawory, na których wyzna się tylko inżynier. W sumie są w stanie sterować zdalnie grubo ponad tysiącem punktów. Innymi słowy, mogą odizolować każdy odcinek rurociągu, kiedy tylko zechcą. Ponieważ na zamknięcie wielkiej pompy potrzeba sześciu minut, część ropy musi wycieć - ocenia się, że do pięćdziesięciu tysięcy baryłek. Może się to wydać dużo, ale to kropelka w morzu przy tym, co jest w rurociągu. Jednakże nie można w nieskończoność przedłużać przerwy w pracy pomp.

- Bardzo ciekawe - powiedział chłodno Brady. - Założyłbym się, że przemysł lepiej dba o ochronę środowiska. Założyłbym się też, że łajdacy i szantażyści mają tak czy inaczej gdzieś całe środowisko.

Chodzi im tylko o to, żeby zatrzymać przepływ ropy. Czy można ochronić rurocią ?

- Co do tego zaćmienia, o którym wspomniałeś...

- Próbujesz mi nie powiedzieć, że ten rurociąg można przerwać w dowolnym miejscu i w dowolnej chwili?

- Właśnie.

Brady popatrzył na Dermotta.

- Przemyślałeś ten problem? - spytał.

- Oczywiście.

- A ty, Donald?

- Ja też.

- No dobrze, i co wymyśliliście?

- Nic. Właśnie dlatego po ciebie posłaliśmy. Pomyśleliśmy, że już ty na coś wpadniesz.

Brady spojrzał na Dermotta złym okiem i znów popadł w zadumę.

Wkrótce przemówił.

- A co się dzieje, kiedy jest wyrwa i ropa zostaje zatrzymana w rurociągu? Zatyka go?

- W końcu tak. Ale to wymaga czasu. Wypływając z ziemi jest gorąca, kiedy dociera do Valdez, jest jeszcze ciepła. Rurociąg ma bardzo grubą izolację, a ropa płynąc w rurach wytwarza ciepło wskutek tarcia. Obliczono, że można ją zmusić do płynięcia po dwudziestu jeden dniach zastoju. Potem. . .

Dermott rozłożył ręce.

- Już nie popłynie?

- Nie.

- W ogóle?

- Nie sądzę. Naprawdę nie wiem. Nikt mi o tym nie wspominał.

Wygląda na to, że wszyscy wolą milczeć.

Wszyscy milczeli. Wreszcie odezwał się Brady.

- Wiesz, co mi się marzy?

- Wiem - odparł Dermott. - Żeby wrócić do Houston.

Zadzwoił radiotelefon. Kierowca słuchał przez chwilę, po czym obrócił się do Shore'a.

- Biuro dyrektora. Chcą, żebyśmy natychmiast wracali. Pan Reynolds mówi, że to pilne - powiedział i dodał gazu.

Reynolds czekał na nich.

- Houston. Do pana - powiedział do Brady'ego, wskazawszy na słuchawkę leżącą na stole.

-Halo - powiedział Brady, a potem z irytacją machnął ręką

i zwrócił się do Dermotta. - Niech to kaczki. Cholerny szyfr. Przyjmiesz go, hmm?

42 43

Nie powinien był tego mówić, bo to on sam wymyślił szyfr i upierał się, żeby szyfrować prawie wszystko, z wyjątkiem słów "dzień dobry" i "do widzenia". Dermott sięgnął po blok papieru i ołówek, podniósł słuchawkę i zaczął notować. Zapisanie wiadomości zajęło mu około minuty i dalsze dwie jej rozszyfrowanie.

-- To wszystko? - spytał. Zamilkł. - Kiedy otrzymaliście tę wiadomość i kiedy to się stało? - Znowu zamilkł. - Dwie godziny piętnaście minut? Dziękuję. - Obrócił się do Brady'ego, minę miał ponurą.

- Przerwano rurociąg -- oznajmił. - Na stacji pomp numer cztery.

Przy przełęczy Atigun w Górach Brooksa. Nie znają jeszcze szczegółów.

Zdaje się, że uszkodzenie jest niewielkie, ale na tyle duże, że trzeba zamknąć rurociąg.

- A czy nie może wchodzić w grę wypadek?

- Materiały wybuchowe rozwały dwa zawory zasuwowe.

Podczas krótkiej ciszy, która zapadła, Brady przyglądał się z zaciekawieniem Dermottowi.

- Nie masz co robić takiej ponurej miny, George - powiedział.

- Spodziewaliśmy się tego. To jeszcze nie koniec świata.

- Dla dwóch ludzi z czwartej stacji pomp, owszem. Zostali zamordowani.

Rozdział czwarty

Była druga trzydzieści po południu, czasu alaskańskiego, prawie ciemno, ale widoczność dobra, wiatr o sile dziesięciu węzłów, a temperatura -20oC, w dole -40oC, kiedy dwusilnikowy odrzutowiec siadł ponownie na jednym z pasów startowych w Prudhoe. Po otrzymaniu

wiadomości z Houston Brady, Dermott i Mackenzie szybko wyruszyli w drogę. Pojechali z powrotem do Fortu McMurray, spakowali najniezbędniejsze rzeczy, na które w przypadku Brady'ego złożyły się głównie trzy butelki, pożegnali się z Jean i Stellą i pojechali prosto na lotnisko.

Kiedy znaleźli się nad Jukonem, Brady spał, a Mackenzie zasnął wkrótce potem. Tylko Dermott był rozbudzony i starał się rozwikłać zagadkę, dlaczego ich przeciwnik dokonując czynu, który - jak zapowiedział, i czego w rzeczywistości dowiódł - miał być tylko demonstracją jego możliwości, musiał kogoś przy okazji zabić.

Kiedy odrzutowiec znieruchomiał, zatrzymał się przy nim jasno oświetlony minibus, w którym odsunęły się drzwi. Brady, który wysiadł ostatni z samolotu, znalazł się w nim pierwszy. Inni wsiedli za nim i drzwi zamknęły się szybko. Kiedy minibus ruszył, mężczyzna, który wpuścił ich do środka, podszedł i usiadł przy nich. Mógł mieć równie dobrze czterdzieści, jak i pięćdziesiąt lat, był szeroki w barach i zwalisty, a twarz miał także dużą i szeroką. Wyglądał surowo, ale robił wrażenie kogoś, kto może mieć poczucie humoru, chociaż w tej chwili nie było powodu do uśmiechów.

- Panowie Brady, Dermott i Mackenzie - przemówił z charakterystycznym akcentem kogoś, kto urodził się w zasięgu kolei podmiejskich Bostonu. - Witam. Przysłał mnie po was pan Finlayson, który - jak się domyślacie - jest w tej chwili praktycznie więźniem centrum sterow-

niczego. Nazywam się Sam Bronowski.

- Szef straży przemysłowej - powiedział Dermott.

- Kara za grzechy - odparł z uśmiechem Bronowski. -- Pan się chyba nazywa Dermott; to pan ma przejąć moje obowiązki?

45

- Kto tak powiedział?

- Pan Finlayson. Albo wyraził się podobnie.

- Zdaje się, że pan Finlayson jest trochę przemęczony.

Bronowski znowu się uśmiechnął.

- Tak, nie zdziwiłbym się. Rozmawiał z Londynem i chyba trochę nadwyrężył sobie lewe ucho.

- Nie przyjechaliśmy tu po to, żeby wyręczać kogokolwiek w obowiązkach - powiedział Brady. - Nasza praca polega na czym innym.

_le jeżeli nam się nie pomaga - myślę o pełnej współpracy - to równie dobrze możemy wracać do domu. Prezes waszego towarzystwa osobiście zagwarantował nam wszechstronną pomoc. A jednak Finlayson z miejsca odmówił współpracy z Dermottem i Mackenzie.

- Gdybym wiedział, zjawiłbym się natychmiast - rzekł szybko

Bronowski. - W przeciwieństwie do pana Finlaysona, całe życie zajmowałem się ochroną, dlatego wiem, kim pan jest i jaką cieszy się pan sławą. W tych warunkach udzielę panu wszelkiej fachowej

pomocy, na jaką mnie stać. Proszę go zbyt surowo nie oceniać.

To nie jego parafia. Traktuje ten rurociąg jak ukochaną córkę. Pierwszy raz spotkał się z takim problemem i nie wiedział, co robić. Nie grał na zwłokę, po prostu zajął ostrożną postawę do czasu, aż skontaktuje się z przełożonymi.

- Pana nie trzeba uczyć lojalności w stosunku do szefów.

- Oddaję mu sprawiedliwość. Mam nadzieję, że panowie też to zrobią. Możecie sobie wyobrazić, jak on się czuje. Mówi, że gdyby nie był tak uparty, tych dwóch ze stacji czwartej mogłoby żyć.

- Bzdury - powiedział Maeker_i_. - Doceniam jego uczucia, ale to samo stałoby się nawet w obecności pięćdziesięciu Dermott_w i pięćdziesięciu Mackenziech.

- Kiedy polecimy na tę stację pomp? - spytał Brady.

- Pan Finlayson prosi, żeby pan z kolegami zobaczył się najpierw_nim i z panem Blackiem. Helikopter jest gotów i odleci potem w każdej chwili.

- Z Blackiem?

- Naczelnym dyrektorem firmy na Alasce.

- Był pan na tej stacji?

- To ja ich znalazłem. A raczej pierwszy dotarłem na miejsce wybuchu. Razem z moim zastępcą. Timem Houstonem.

- Lata pan własnym samolotem?

- Tak. Chociaż tym razem nim nie leciałem. Ta część Gór_rooksa

przypomina góry na Księżycu. Poleciałem helikopterem. _Id czasu

zaistnienia tej groźby bez przerwy sprawdzamy wszystkie stacje pomp i zdalnie sterowane zawory zasuwowe, a tamtej nocy zatrzymaliśmy się na stacji numer pięć. Właśnie zbliżaliśmy się do zaworu czwartego, jak oceniam, byliśmy od niego o półtora kilometra, kiedy zobaczyliśmy ten wielki wybuch.

- Zobaczyliście?

- Wie pan, dym i płomienie palącej się ropy. Chodzi panu o to, czy coś słyszeliśmy? W helikopterze to niemożliwe. Nie potrzeba nic słyszeć, kiedy widzi się dach wylatujący w powietrze. Więc wylądowaliśmy i wysiedliśmy, ja z karabinem. Tim z dwoma pistoletami. Nic nie zwojowaliśmy. Dranie uciekli. Jako nafciarze wiecie, że potrzeba sporo ludzi i kilku budynków dla zapewniania dozoru i konserwacji dwu turbin o mocy 13 500 koni mechanicznych, przypominających samolotowe, nie mówiąc już o aparaturze kontrolnej i łącznościowej, którą obsługuje załoga stacji.

Palila się sama pompownia, nie za bardzo, ale na tyle, że ja i Tim nie mogliśmy tam wejść bez gaśnic. Właśnie zaczęliśmy ich szukać, kiedy z magazynu doszły nas krzyki. Rzecz jasna drzwi były zamknięte, ale klucz zostawiono w zamku. Wypadł stamtąd Poulson, szef stacji, ze swoimi ludźmi. Znaleźli gaśnice i ugasili ogień w trzy minuty. Ale dla tych dwóch techników w środku było już za późno. Przyjechali tam

poprzedniego dnia z Prudhoe, żeby dokonać okresowej konserwacji turbin.

- Byli martwi?

- Jeszcze jak! - odparł Bronowski, którego twarz nie zdradzała żadnych uczuć. - To byli bracia. Świetne chłopaki. Moi przyjaciele, Tima też.

- A może zginęli przypadkowo? Od wybuchu.

- Od wybuchu nie ma się postrzału. Byli mocno popaleni, co jednak nie ukryło ran postrzałowych między oczami.

- Przeszukaliście teren stacji?

- Naturalnie. Warunki nie były idealne - ciemno, sypał śnieg.

Zdawało mi się, że dostrzegam ślady płóz helikoptera na zawianym śniegiem kawałku skały, ale inni nie byli o tym przekonani. Na wszelki wypadek połączyłem się z Anchorage i poprosiłem ich o zaalarmowanie wszystkich prywatnych i publicznych lotnisk i lądowisk w całym stanie. A także skłonienie stacji radiowych i telewizyjnych do nadania apelu do ludzi, żeby się zgłaszali, jeżeli usłyszą helikopter w jakimś niecodziennym miejscu. Istnieje według mnie szansa jedna na dziesięć tysięcy, że ten apel da jakieś rezultaty. - Bronowski skrzywił się.

46 47

- Większość ludzi nie zdaje sobie sprawy, jak wietleż jest ten stan

- ciągnął. - Jest większy niż pół Europy Zachodniej, a ma ni;ea puna_ trzysta tysięcy mieszkańców, czyli że na dobrą sprawę jes; nie zamiesz- kany. Po drugie, na Alasce helikoptery to rzecz naturalna ludzie poświęcają im tyle uwagi, co wy w Teksasie samochodom. Po trzecie, dzień tutaj nadal trwa tylko około trzech godzin i pomysł przEprowa- dzenia poszukiwań z powietrza jest śmiechu wart, zresztą potrzebowali- byśmy pięćdziesiąt razy więcej samolotów, niż mamy, a nawet wtedy odnalezienie tamtych byłoby najzwyczajniejszym przypadkiem.

- Ale - co warto zauważyć - odkryliśny rzecz nieprzyjemną. Na wypadek, gdyby coś nawaliło na stacji pomp, jest tu rurociąg awaryjny, który można włączyć, żeby ją ominąć. Nasi przyjaciele zadbali takżE i o to. Wyszadzili zawór rozrządowy.

- A więc wypłynie mnóstwo ropy?

-- O tym nie ma mowy. Na całej długości rurociągu od zatoki Prudhoe do Valdez są tysiące czujników i każdy odcinek można natych- miast zamknąć i odizolować. W normalnych warunkach nie byłoby problemu z naprawą. Ale w tak niezwykle niskich temperaturach ani ludzie nie funkcjonują należycie, ani metal.

- To widocznie nie dotyczy sabotażystów - rzekł Dermott. - Ilu ich było?

- Poulson mówi, że dwóch. Dwaj inni, że trzech. Pozostali nie są pewni.

- Nie należą do spostrzegawczych, co?

- Chyba nie jest pan sprawiedliwy, panie T_ermati. Poulsun ta dobry pracownik i mało co przegapi.

- Widział ich twarze?

- Nie. Na pewno nie widział.

- Byli w maskach?

- Nie. Mieli wysoko postawione futrzane kołnierze, a czapki naciągnięte nisko, tak że widać im było tylko oczy. A po ciemku koloru oczu się nie rozpozna. Poza tym naszych ludzi wyciągnięto z łóżek

- Z wyjątkiem tych dwóch techników. Pracowali przy maszynach.

Dlaczego tak wcześnie rano?

- Bo pracowali całą noc. Bo właśnie jechali do swoich rodzin w Fažbanks na tygodniowy wypoczynek. A poza tym umówiłem się z nimi, że ich zabiorę wkrótce po tej godzinie, kiedy nastąpił wybuch wyjaśnił powściągliwie Bronowski.

- Czy Poulsan albo któryś z jego kolegów rozpoznał _sa botażystów?

- Gdyby tak było, to właściciele tych głosów byliby do tej pory za kratkami. Kołnierze sięgały im do oczu. Głosy mieli oczywiście zduszone. Zadaje pan mnóstwo pytań, panie Dermott.

-- Zadawanie pytań to specjalność pana Dermotta - wtrącił pogodnie Brady. - Prawdę mówiąc, to moja szkoła. Co było dalej?

-- Zaprowadzono ich do magazynu żywnościowego i tam zamknięto.

Zamykamy ten magazyn ze względu na niedźwiedzie. Jeżeli niedźwiedzie nie przymierają głodem, to się specjalnie nie garną do ludzi, za to garną się bardzo do wiktuałów.

- Dziękuję, panie Bronowski. Jeszcze jedno pytanie. Czy Poulson albo ktoś z jego pracowników słyszał strzały?

- Nie. Obaj mężczyźni, których widział Poulson, mieli pistolety z tłumikami. Współczesne filmy są bardzo kształcące, panie Dermott.

Nastąpiła przerwa w pytaniach.

- Jako wnikliwy obserwator charakterów stwierdzam, że coś cię gryzie, George - odezwał się Brady. - Czym się trapisz?

- Tak. tylko sobie myślę. Zastanawiam się, czy mordercy są pracownikami rurociągu.

Zapadła krótka, lecz wymowna cisza.

- To szczyt wszystkiego. Mówię, ma się rozumieć, jak doktor Watson. Wiem, że Sherlock Holmes potrafił rozwiązać zagadkę kryminalną nie wstając z fotela, ale nie znam policjanta ani detektywa, który znajduje rozwiązanie nie odwiedzając przynajmniej miejsca zbrodni

- powiedział Bronowski.

- Ja nie twierdzę, że cokolwiek rozwiązałem - odparł spokojnie

Dermott. - Po prostu wysuwam taką możliwość.

- Na jakiej podstawie? - spytał Brady.

- Przede wszystkim, wy z rurociągu jesteście nie tylko największym, ale także jedynym pracodawcą w tym stanie. Skąd jeszcze mogliby

pochoǳić mordercy? Kim mogliby być? Samotnymi traperami albo

poszukiwaczami z północnego stoku Gór Brooksa, w środku zimy?

Zamarzliby na śmierć pierwszego dnia w terenie. Nie ma tu poszukiwa-

czy, bo tundra jest zamarznięta na kamień, a pod nią znajduje się

sześćsetmetrowa warstwa wiecznej zmarzliny. A co do traperów, to nie

tylko byliby samotni i zamrznięci, ale także bardzo głodni, bo na północ

od Gór Brooksa nie znaleźliby pożywienia w żadnej postaci aż do

późnej wiosny.

Brady chrząknął.

- Z tego, co mówisz, wynika, że w tych stronach jedynie rurociąg

gwarantuje ludziom przeżycie.

- To fakt. Gdyby to wydarzyło się na stacji siódmej albo ósmej,

sytuacja przedstawiałaby się całkiem inaczej, bo tam można dojechać

raz dwa trzy samochodem z Fairbanks. Ale w środku zimy Góry

Brooksa są nieprzejezdne. I jeżeli ktoś o tej porze roku wybiera się

w nie z plecakiem, to znaczy, że chodzi mu o szybkie samobójstwo.

A więc pytanie: jak się tam dostali i jak się stamtąd wydostali?

- Helikopterem - odpowiedział Bronowski. - Pamięta pan, jak

mówiłem, że wydawało mi się, że widzę ślady płóz. Tim - Tim Houston

- też je widział, choć miał więcej wątpliwości. Inni byli sceptyczni, ale

przyznali, że nie jest to wykluczone. Ale pszcież ja latam na helikop-

terach, jak sięgnę pamięcią. - Potrzęsnał z irytacją głową. - No bo jak

inaczej mogli się tam dostać i wydostać?

- Myślałem, że stacje pomp wyposażone są w radary o ograniczonym zasięgu - powiedział Mackenzie.

- To prawda - przyznał Bronowski wzruszając ramionami. - Ale śnieg wyczynia z radarem dziwne sztuki. Poza tym, mogli akurat nie obserwować ekranu albo wyłączyć aparat nie spodziewając się gości w tak złą pogodę.

- Pana z pewnością oczekiwali - powiedział Dermott.

- Nie wcześniej niż za jakąś godzinę. Na stacji piątej zaczęła się psuć pogoda, więc wylecieliśmy przed czasem. I jeszcze jedno: nawet gdyby wyłapali nadlatujący helikopter, to i tak odruchowo uznaliby go za jeden z naszych i nie mieliby powodu nic podejrzewać.

- Jak było, tak było, ja wiem swoje - oświadczył Dermott. - To robota od wewnątrz. Mordercy pracują przy rurociągu. List zawiadamiający o zamiarze spowodowania wycieku ropy wydawał się grzeczny i dość kulturalny, nie było w nim najmniejszej wzmianki o przemocy, a jednak jej użyto. Sabotażyści popełnili błąd i musieli zabić.

- Popełnili błąd? - spytał Mackenzie nie nadążając za wywodem Dermotta.

- Tak. Pan Bronowski powiedział, że w drzwiach magazynu pozostawiono klucz. Nie zapominaj, że zamknięci w środku byli w końcu technicy. Dysponując minimalną ilością narzędzi mogli albo prze-

kręcić klucz w zamku, albo wysunąć pod drzwiami kawałek papieru, tektury, linoleum, czegokolwiek, wypchnąć klucz z zamka tak, żeby na to spadł, i wciągnąć go do środka. Ja na miejscu sabotażystów wyrzuciłbym klucz daleko, ale oni tego nie zrobili. Zamierzali doprowadzić dwóch techników z pompowni do magazynu, dołączyć ich do kolegów i także zamknąć na klucz. Ale tego również nie zrobili. Dlaczego? Bo jeden z sabotażystów powiedział albo zrobił coś, co zdradziło przed technikami ich tożsamość. Zostali przez nich rozpoznani, a tamci znali ich widać na tyle dobrze, że odgadli, kim są, mimo przebrania. Sabotażyści nie mieli wyboru, musieli zabić.

-- Co pan powie na tę hipotezę, Sam? - spytał Brady.

Bronowski zastanawiał się nad odpowiedzią, kiedy minibus zatrzymał się przed głównym wejściem do biur. Brady, jak można było przewidzieć, wysiadł pierwszy i pomknął - jeżeli o niemal idealnie okrągłym człowieku da się to powiedzieć - do gościnnego schronienia, które znajdowało się za frontowymi drzwiami. Reszta podążyła stateczniejszym krokiem.

John Finlayson wstał, kiedy weszli do pokoju. Wyciągnął rękę do Brady'ego i powiedział:

- Bardzo miło mi pana poznać. - Skinął krótko głową Dermottowi, Mackenziernu i Bronowskiemu, po czym zwrócił się do mężczyzny siedzącego przy stole po jego lewej ręce. - Pan Hamish Black, dyrek-

tor naczelny rurociągu.

Pan Bla_k nie wyglądał na dyrektora żadnego przedsiębiorstwa, nie mówiąc już o trudnym i bezwzględnym biznesie naftowym. Brakowało mu złożonego parasola i melonika, ale nawet bez nich jego szczupła, koścista twarz, idealnie przycięty wąsik, rzadziejące włosy przedzielone z dokładnością co do milimetra na środku głowy i skryte za binoklami oczy czyniły zeń wzór wybitnego księgowego z londyńskiej dzielnicy banków, którym w istocie był.

To, że taki człowiek, ledwo odróżniający śrubkę od nakrętki, stał na czele potężnego kompleksu przemysłowego, nie było nowym zjawiskiem. Chłopiec od podawania herbaty, pracowicie wspinający się po kolejnych szczeblach kariery aż do gabinetu rady nadzorczej, stał się osobistością o nie byle jakim znaczeniu - oto właśnie Hamish Black, biegle uderzający w klawiaturę kieszonkowego kalkulatora, człowiek grający pierwsze skrzypce w przemysłowej orkiestrze. Plotkowano, że jego roczny dochód w funtach szterlingach, a nie w dolarach, wyraża się sześciocyfrową liczbą. Jego pracodawcy najwidoczniej uważali, że jest wart tej sumy co do grosza.

Czekał cierpliwie, aż Finlayson skończy prezentację.

- Nie posunę się aż tak daleko jak pan Finlayson i nie powiem, że bardzo miło mi panów widzieć - rzekł Black z uśmiechem mizernym jak jego twarz. Bezbarwny, opanowany, pedantyczny głos był głosem bankowca z londyńskiego City, na takiego też pan Black wyglądał.

- W innej sytuacji tak, ale w tej mogę tylko powiedzieć, że cieszę się, panie Brady, że pan i pańscy koledzy tu jesteście. Przypuszczam, że pan

50 51

Bronowski zapoznał panów ze szczegółami. Co pan nam wobec tego proponuje?

- Jeszcze nie wiem. Czy mamy szkło?

Z miny Finlaysona można było wyczytać niechęć i dezaprobatę, natomiast Black nie był chyba zwolennikiem min. Brady nalał sobie daiquiri, machnął butelką w stronę pozostałych, którzy odmówili gestami, i spytał:

- Czy zawiadomiliście FBI?

Black potwierdził skinieniem głowy.

- Zawiadomiliśmy, choć niechętnie - rzekł.

- Niechętnie?

- Prawo zobowiązuje do zawiadamiania o każdej przerwie w handlu międzystanowym. Szczerze mówiąc, nie rozumiem, co oni tu mają do roboty.

- Są teraz na tej stacji pomp?

-Jeszcze nie przyjechali. Czekają na kilku specjalistów z wojsk artyleryjsko-technicznych, ekspertów od bomb, materiałów wybuchowych i tym podobnych.

- Strata czasu. Wśród ludzi, którzy budowali ten rurociąg i nim kierują, są równie dobrzy - jeżeli nie lepsi - spece od materiałów wybuchowych. Mordercy nie zostawiliby śladu materiałów wybuchowych na czwartej stacji pomp.

Jeśli o ciszy można powiedzieć, że jest głęboka, to cisza, która właśnie zapadła, była grobowa.

- Nie wiem, czy dobrze pana zrozumiałem - powiedział Finlayson lodowatym tonem.

- Dobrze - potwierdził Brady. - Wyjaśnij, George:

Dermott wytłumaczył. Kiedy skończył, Finlayson powiedział:

- Niedorzeczne. Dlaczego któryś z naszych pracowników miałby coś takiego zrobić? To nie ma sensu.

- Nie jest przyjemnie hodować zmięę na własnym łonie - powiedział uprzejmie Brady. - A co pan o tym sądzi, panie Black?

- Dla mnie to ma sens, choćby dlatego, że nie nasuwa mi się żadne inne bezpośrednie wyjaśnienie. A co pan o tym myśli, panie Brady?

- Dokładnie to samo, o co pytałem pana Bronowskiego po wylądowaniu.

- Tak. No cóż - zaczął Bronowski, który miał dość niepewną minę.

- Nie podoba mi się to. Aż za bardzo wygląda na robotę kogoś ze swoich. Rzecz w tym, rozwijając dalej tę myśl, że wskazywałoby to na Tima Houstona i na mnie jako dwóch głównych podejrzanych. - Urwał.

- Tim i ja mamy helikopter. Z grubsza biorąc znaleźliśmy się we właściwym miejscu we właściwym czasie. Znamy tuzin sposobów na dokonanie sabotażu rurociągu. Nie jest tajemnicą, że obaj mamy duże doświadczenie w posługiwaniu się materiałami wybuchowymi, tak że zniszczenie czwartej stacji nie przedstawiałoby dla nas najmniejszego problemu. - Zamilkł. - Ale kto podejrzewałby szefa straży i jego zastępcę?

-- Na przykład ja - odparł Brady. Opróżnił szklaneczkę i westchnął.

-- Wsadziłbym pana od razu za kratki, gdyby nie pana nieskazitelne akta personalne, brak oczywistego motywu, no i trudno uwierzyć, żeby pan działał aż tak nieudolnie.

- Wcale nie nieudolnie, panie Brady. Zabójcy są albo straszliwymi głupcami, albo się wystraszyli. To na pewno nie jest robota zawodowego mordercy. Po co było zabijać tych dwóch techników? Po co w ogóle zostawiać dowody, że popełniono morderstwo? Wystarczyło ich ogłuszyć - jest wiele sposobów, żeby to zrobić nie pozostawiając śladów - a potem wysadzić ich w powietrze razem ze stacją pomp. Wola boska, ani śladu zbrodni.

- Dyletentyzm to rzecz godna ubolewania, prawda? - powiedział Brady i zwrócił się do Finlaysona. - Czy moglibyśmy połączyć się z Anchorage, jeśli łaska? Dziękuję, George, podaj panu Finlaysonowi numer i przeprowadź rozmowę.

Dermott wype_łnił polecenie i po czterech minutach odłożył słuchaw-

kę, podczas rozmowy ograniczając się głównie do monosylab.

- Jak było do przewidzenia - powiedział.

- Nie powiodło im się? - spytał Mackenzie.

- Aż za bardzo. Policja w Anchorage znalazła nie jedną, a cztery

budki telefoniczne. W każdej z nich albo w pobliżu widziano podej-

zranego osobnika, w dodatku o bardzo nieprzyzwoitej porze. Wszystkie

cztery automaty, psiakrew, miały w środku nieproporcjonalnie dużo

monet o wysokim nominale. Wszystkie cztery wymontowano i zabrano

na komendę policji do laboratorium. Ale jeszcze nie zdjęto odcisków

palców i potrwa parę godzin, zanim policja porówna je z odciskami

palców w swoich kartotekach.

- Nie bardzo rozumiem, jaką wagę mają te informacje - powiedział

lekko drwiącym tonem Black. - Czy to ma coś wspólnego z czwartą

stacją pomp?

- Może ma, a może nie ma -- odparł Brady. - Wiemy tylko

z całą pewnością, że Sanmobilowi, firmie, która ma koncesję na

eksploatację piasków roponośnych na północ od Fortu McMurray

52 53

w Albercie, również zagrożono przerwaniem linii produkcyjnych ropy.

W stylu niemal identycznym z listem, który otrzymaliście wy, z jedną

różnicą - wam groźbę przysłano pocztą, a im z budki telefonicznej

z Anchorage. Staramy się dojść z której, a jeżeli nam się poszczęści, ustalić, kim jest rozmówca.

- Dziwne - powiedział Black po chwili zastanowienia. - Alaskait-skiej ropie grożą z Alerty, a tej w Albercie z Alaski. To musi mieć związek z czwartą stacją pomp, zbieg okoliczności nie działa chyba w aż tak dużym promieniu... i kiedy pan tu siedzi, panie Brady, jakaś osoba lub osoby ze złymi zamiarami mogą właśnie podkładać ładunki wybuchowe w strategicznym punkcie kopalni Sanmobilu.

- Mam to na uwadze. Ale domysły i spekulacje niczemu nie służą, zanim nie ustalimy paru niepodważalnych faktów. Mamy nadzieję, że coś może wyjść na jaw już przy dokładnym zbadaniu czwartej stacji pomp. Jedzie pan tam, panie Black?

-Boże uchojaj, nie, jestem tylko i wyłącznie urzędnikiem. Ale z niecierpliwością będę czekał na pański powrót.

- Powrót? Ja nigdzie nie jadę. Ta zamarznięta pustynia to nie dla mnie. Moi wyborni przedstawiciele wiedzą, czego szukać. A poza tym ktoś musi tu zostać i objąć dowodzenie. Daleko jest ta stacja pomp, panie Bronowski?

- Licząc w prostej linii? Plus minus dwieście dwadzieścia pięć kilometrów.

- Znakomicie. To daje nam aż nadto czasu na spóźniony obiad. Mam nadzieję, panie Finlayson, że pańska spizarnia jest jeszcze otwarta, a w piwnicy są jakieś znośne wina?

- Przykro mi, panie Brady - odparł Finlayson z nie ukrywaną

satysfakcją. - Przepisy naszej firmy zabraniają picia alkoholu.

- Proszę się o to nie martwić - rzekł dwornie Brady. - Na

pokładzie mojego odrzutowca jest najwspanialsza piwnica na północ od

kręgu polarnego.

Rozdział piąty

Światło trzech zasilanych z prądnic lamp łukowych silnie uwypuklało

obraz wnętrza na wpół zdemolowanej pompowni i jej pogruchotanej

zawartości, oślepiającą biel i piekielną czerń, bez żadnych półcieni.

Przez otwór w dachu wpadał cicho śnieg, a przez ziejącą w północnej

ścianie dziurę silny wiatr wdmuchiwał piękny biały obłok. Śnieg zdążył

złagodzić i zamazać kontury maszynarii, ale nie na tyle, żeby ukryć fakt,

iż maszyny, silniki, pompy i aparatura łączeniowa są albo zniszczone,

albo poważnie uszkodzone. Śnieg na szczęście już przysypał dwa

wzgórki leżące obok siebie przy poszarpanych szczątkach rozdzielnicy.

Dermott rozejrzał się niespiesznie po wnętrzu pompowni, z miną ponu-

łą jak sceneria, na którą patrzył.

- Zniszczenia są równomierne, a więc nie mogły powstać w wyniku

jednego centralnego wybuchu - rzekł. - Użyto raczej kilku ładunków.

- Obrócił się w stronę Poulsona, kierownika stacji, czarnobrodego

mężczyzny o gorzkim wyrazie oczu. - Ńe wybuchów słyszeliście?

- Chyba tylko jeden. Naprawdę nie jesteśmy pewni. Jeżeli były inne, to ich nie słyszeliśmy. Ale zgodziliśmy się wszyscy, że słyszeliśmy tylko jeden.

- Odpalono je elektrycznie, przez radio albo - jeżeli użyli piorunia-
nu rtęci - za pomocą fali detonacyjnej innego wybuchu. Bez wątpienia
eksperci - powiedział Dermott i spojrział na bezkształtne, przysypane
śniegiem wzgórki. - Ale nie tak fachowi w innych sprawach. Dlaczego
tych dwóch zostawiono tutaj?

- Tak nam polecono.

- Kto?

- Dyrekcja. Nie ruszać aż do sekcji zwłok.

- Bzdury! Zamrożone zwłoki nie nadają się do sekcji.

Dermott schylił się, zaczął usuwać śnieg z bliższego ze wzgórków,
a potem zaskoczony podniósł wzrok, kiedy na lewe ramię spadła mu
czyjaś ręka.

55

- Głuchy pan czy co? - spytał Poulson zirytowanym, ale nie agre-
sywnym tonem. - Tutaj ja decyduję.

- Decydował pan. Donald?

- Już się robi - odparł Mackenzie i zdjął rękę Poulsona z ramienia przyjaciela. - Niech pan porozmawia z waszym naczelnym, panem Blackiem, i posłucha, co ma do powiedzenia na temat utrudniania śledztwa w sprawie o morderstwo.

- To nie będzie potrzebne, panie Mackenzie - wtrącił się Bronowski i skinął głową Poulsonowi. - John jest zdenerwowany. W końcu trudno mu się dziwić.

Poulson zawahał się na moment, odwrócił się i wyszedł z pompowni. Dermott usunął już większość śniegu, kiedy poczuł na ramieniu lekkie dotknięcie. Był to znowu Poulson, oferując mu, o dziwo, szczotkę do ubrania z długą rączką. Dermott wziął ją, podziękował uśmiechem i delikatnie zmiótł resztę śniegu.

Okropnie zwęglona czaszka martwego mężczyzny ledwo przypominała głowę ludzką, ale pochodzenie dziury nad lewym pustym oczodołem było jednoznaczne. Z pomocą Mackenziego - zwłoki zamarły na kość - Dermott podniósł ciało i przyjrzał się tyłowi czaszki. Skóra nie była naruszona.

- Kula utkwiała w czaszce - powiedział. - Ślady gwintu na tej kuli powinny zaciekawiać policyjną sekcję balistyki.

- Niby tak - rzekł Bronowski. - Alaska ma tylko półtora miliona kilometrów kwadratowych powierzchni. Optymizm nie jest moją mocną stroną.

- Istotnie.

Położyli ciało na ziemi i Dermott spróbował rozpiąć suwak porozdziera-

nej zielonej kurtki, ale i ona zamarzała. Kiedy odrywał ją od koszuli

i zaglądał w przerwę między warstwami odzieży, lekko trzeszczał lód.

Dostrzegł jakieś dokumenty, a wśród nich żółtawą kopertę, tkwiącą

w prawej wewnętrznej kieszeni kurtki. Wsunął dłoń chcąc je wydobyć

dwoma palcami, ale ponieważ nie mógł pociągnąć papierów mocniej

i ponieważ były przymarznięte nie tylko do siebie, ale także do podszewki

- okazało się, że nie zdoła ich wydostać. Klęcząc, Dermott wyprostował

się, popatrzył w zamyśleniu na trupa i podniósł wzrok na Bronowskiego.

- Czy można przenieść te dwa ciała w jakieś miejsce, gdzie by

trochę odmarzły? - spytał. - W tym stanie nie mogę ich poddać

dokładnym oględzinom, a lekarze przeprowadzić sekcji zwłok.

- John? - powiedział Bronowski patrząc na Poulsona, który skinął

głową, aczkolwiek z pewnym ociąganiem.

- Jeszcze jedno - rzekł Dermott. - W jaki sposób najszybciej

usunąć śnieg z podłogi i maszyn?

- Potrzebne są do tego brezentowe płachty i dwie dmuchawy ciep-

łego powietrza. Usuną śnieg raz dwa. Chce pan, żebym to zaraz

załatwił? I zabrał stąd tych dwóch?

- Tak, proszę. Poza tym mam parę pytań. Może porozmawiamy

w kwaterach mieszkalnych?

- Są na wprost. Przyjdę za kilka minut.

Kiedy wyszli z pompowni, Mackenzie spytał po drodze:

- Co pobudziło twój instynkt psa gończego. Co?

- Ten zabity ma złamany palec wskazujący prawej ręki.

- Tylko to? Nie zdziwiłbym się, gdyby miał połamane prawie wszystkie kości.

- Możliwe. Ale ta kość wygląda na złamaną w bardzo dziwny sposób. Na razie nic bliższego nie mogę powiedzieć.

Bronowski i Poulson przysiedli się do nich do stołu w wygodnej kuchni w kwaterach mieszkalnych.

- W porządku, załatwione - oznajmił Poulson. - Śnieg powinien zniknąć z pompowni w ciągu piętnastu minut. A co do tych dwóch. . . tego nie wiem.

- Potrwa to znacznie dłużej - rzekł Dermott. - Dziękuję. No tak.

Pan Bronowski, Mackenzie i ja sądzimy, że mordercy byli prawdopodobnie pracownikami rurociągu. A jakie jest pana zdanie?

Poulson spojrzał pytająco na Bronowskiego, a nie znalazłszy w nim natchnienia, odwrócił wzrok i zamyślił się.

- To by pasowało - powiedział wreszcie. - Jedyni ludzie, którzy żyją w tej okolicy na powierzchni dwudziestu pięciu tysięcy kilometrów kwadratowych - jest ich, o ile wiem, sto tysięcy - to pracownicy rurociągu. Co więcej, stację pomp może wysadzić byle jaki zamachowiec, ale tylko nafcjarz wie, gdzie znaleźć i zniszczyć boczniowy zawór rozrządowy.

- Domyślamy się również, że ci technicy... aha... przy okazji, jak się nazywali?

- Johnsonowie. Bracia.

- Podejrzewamy, że zamachowcy zdradzili się w ten czy inny sposób, że Johnsonowie ich rozpoznali i musieli zostać uciszeni na zawsze.

Ale pan i pańscy pracownicy nie rozpoznaliście ich. Na pewno?

- Na pewno - odparł Poulson i uśmiechnął się niezbyt wesoło.

- Jeżeli pański domysł jest słuszny, to nasze szczęście, że ich nie rozpoznaliśmy. Proszę pamiętać, że tu na czwórce niewiele różnimy się

56 57

od pustelników z bezludnej wyspy. Z innymi widzimy się tylko raz na kilka tygodni, kiedy jedziemy na urlop. Podróżujący specjaliści od konserwacji sprzętu, tacy jak Johnsonowie - albo, jeśli już o tym mowa, pan Bronowski - spotykają dziesięciokrotnie więcej ludzi i dlatego mogą rozpoznać ich dziesięć razy więcej. A to znacznie uprawdopodobnia pański domysł, że była to robota kogoś ze swoich.

- Pan i pańscy pracownicy jesteście pewni, że w ich zachowaniu, w mowie, w ubiorze nie było nic dziwnego, nic, co by się wam z czymś kojarzyło?

- Traci pan czas, panie Dermott.

- Chyba tak. Sabotażyści przylecieli prawdopodobnie helikop-terem.

- A jak inaczej mogli się tu dostać?! Pan Bronowski uważa, że widział ślad płóz. Natomiast ja nie jestem pewien, czy to były płozy. W taką koszmarną noc niczego nie można być pewnym: ciemno, silny wiatr, zadymka. W takich warunkach można wyobrazić sobie wszystko.

- Nie słyszał pan nadlatującego helikoptera... albo czy nie zdawało się panu, że go pan słyszy?

- Nic nie słyszałem. Proszę pamiętać, że wszyscyśmy spali, i...

- Myślałem, że włączyliście radar ostrzegawczy.

- jak zwykle. Każdy niewłaściwy sygnał uruchamia alarm. Ale nie siedzimy dzień i noc z oczami wlepionymi w ekran. Poza tym izolacja jest tak gruba, że trudno, aby z zewnątrz przedostał się do środka jakikolwiek dźwięk. Prądnica, która pracuje obok, też w tym nie pomaga. A na dodatek wiał wtedy północny wiatr, tak jak teraz, więc nie byłoby słychać żadnego samolotu nadlatującego z przeciwnego kierunku. Wiem, że helikopter jest jedną z najgłośniejszych maszyn na świecie, ale - mimo że byliśmy już wtedy całkiem rozbudzeni - nie słyszeliśmy śmigłowca pana Bronowskiego nadlatującego z południa. Żałuję, ale nic więcej nie mogę panu powiedzieć.

- Ile czasu zajmie remont pompowni?

- Kilka dni, tydzień. Nie jestem pewien. Potrzebujemy nowych maszyn, aparatury łączeniowej, rur, ruchomego dźwigu i buldożera.

Oprócz maszyn wszystko jest w Prudhoe i spodziewam się, że hercules

przywiezie to dziś wieczorem. Potem jeden albo dwa helikoptery

wywiozą stąd ten kram. Brygady remontowe zaczną pracę jutro rano.

- A więc zanim ropa znów popłynie, minie tydzień?

- Nie, nie, jeżeli szczęście dopisze, to jutro. Bocznikowy zawór

rozrządowy nie wymaga wielkich napraw - głównie wymienia się

w nim części.

- Więc można by to właściwie uznać za drobną szkodę? - spytał

Dermott,

- Od strony technicznej, tak. Duchy braci johnsonów mogą to wi-

dzieć inaczej. Chce pan teraz obejrzeć pompownię? Już chyba do tej pory w większej części odtajała.

Śnieg zniknął z pompowni i zrobiło się w niej ciepło i wilgotno. Bez

białej maskującej pokrywy śnieżnej sceneria była jeszcze bardziej

odpychająca niż poprzednio, rozmiary zniszczeń wyraźniejsze i przy~

gnębiająco oczywiste, a smród ropy i swąd spalenizny ostrzejsze i bar-

dziej przenikliwe. Dermott, Mackenzie i Bronowski, każdy z potężną

latarką do rozświetlania cieni rzucanych przez lampy łukowe, przy-

stąpili do przeszukiwania, centymetr po centymetrze, podłóg i ścian.

- A właściwie czego panowie szukacie? - spytał po dziesięciu

minutach zaciekawiony Poulson.

- D_y p_- _u _ać, jak to znajdziemy - odparł Dermott. - Na razie

nie mam pojęcia.

- Wobec tego, czy mogę się przyłączyć do poszukiwań?

- Oczywiście. Niech pan nic nie dotyka i nie odwraca. FBI tego

nie lubi.

W dziesięć minut później Dermott wyprostował się i zgasił latarkę.

- No, koniec, panowie - powiedział. - Jeżeli znaleźliście tyle co ja,

to w sumie nic nie znaleźliśmy. Wygląda na to, że ogień i wybuchy

wyczyściły podłogę do cna. Obejrzymy braci Johnsonów. Powinni już

być w stanie nadającym się do oględzin.

Tak też było. Dermott podszedł najpierw do mężczyzny, którego

oglądał w pompowni. Tym razem zamek zielonej kurtki polarnej ot-

worzył się łatwo. Wybuch poszarpał ją, ale nie przedziurawił, bo

wełniana koszula w kratę była cała. Z prawej kieszeni kurtki Dermott

jakiś papier, wizytówki i koperty, przejrzał je i schował z pow-

rotem. Potem uniósł przypalone nadgarstki nieboszczyka, najwyraźniej

pobieżnie przyjrzał się im i dłoniom, po czym opuścił je na ziemię.

powtórzył tę samą czynność z drugą ofiarą i wstał. Poulson obrzucił go

pytającym spojrzeniem.

- Czy detektyw tak bada zamordowanego? - spytał.

- Nie sędzę. Ale ja nie jestem detektywem - odparł Dermott

i obrócił się do Bronowskiego. - Skończył pan?

- Jeżeli pan skończył.

Bronowski poprowadził ich do helikoptera. Dermott i Mackenzie

szli za nim przez drobno sypiący śnieg, który ograniczał widoczność do kilku metrów. Było przenikliwie zimno.

59

- Ślady - powiedział Mackenzie Dermottowi prosto do ucha nie

dlatego, żeby robił z tego tajemnicę, ale po prostu żeby być słyszalnym.

- Wszędzie ich pełno.

- W pompowni nie było ich na pewno. Przeszukano ją dokładnie jeszcze przed naszym przyjazdem. I prawie na pewno zanim śnieg cokolwiek przysypał.

- Co masz na myśli?

- Że wszystko starannie przeczesano.

- Poulson i jego ludzie.

- Sami albo z nim. No bo kto?

- Może nie było nic do znalezienia.

- Wskazujący palec tego nieboszczyka został złamany umyślnie

- powiedział, a raczej wykrzyczał Dermott. - Wygięty pod kątem czterdziestu stopni w stronę kciuka. Nigdy nic takiego nie widziałem.

- Niezwykły wypadek.

- Powiedziałbym raczej: dziwny. ale nie tylko to jest dziwne. Kiedy go przeszukiwałem pierwszy raz, miał w wewnętrznej kieszeni ciemno-żółtą kopertę. Nie mogłem jej wydostać.

- Ale później, po rozsunięciu suwaka, mogłeś?

- Nie. Nie było jej.

- Myślisz, że to sprawka Poulsona i spółki?

- Tak wygląda.

- Dziwne to wszystko - podsumował Mackenzie.

Jim Brady był tego samego zdania. Po zrelacjonowaniu wyników dochodzenia Dermott i Mackenzie wycofali się wraz z nim do pokoju, który przydzielono mu do spania.

-Dlaczego nie wspomnieliście o tym Blackowi i Finlaysonowi?

- spytał Brady. - O dziwnie wyłamany palcu, zaginionej kopercie?

To są niepodważalne fakty.

- Niepodważalne fakty? Jest na to tylko moje słowo. Zresztą nie mam pojęcia, co było w tej kopercie i chociaż moim zdaniem ten palec został wyłamany umyślnie, to przecież nie jestem specjalistą od kości.

- Ale na pewno nie zaszkodziłoby o tym wspomnieć.

- Byli tam też Bronowski i Houston.

- Ty rzeczywiście nikomu nie ufasz, prawda, George? - spytał

Brady z podziwem, a bez wyrzutu.

- Sam mnie tego nauczyłeś, co zresztą podkreślasz pr._ k_żdej okazji.

- Święta prawda - odparł zadowolony z siebie Brady. - Znakomi-

cie, wezwij ich. Ja wypełnię swój olimpijski obowiązek, a wy zaaplikujcie im trochę pytań i coś mocniejszego.

Dermott odbył rozmowę przez telefon; nie upłynęła minuta, kiedy

Bronowski z Houstonem zapukali do drzwi, weszli do pokoju i usiedli.

- Witam, panowie, witam - powiedział dobrodusznie Brady.

- Wiem, dzień był długi i musicie być na pewno straszliwie zmęczeni.

Ale jesteśmy tu jak dzieci zgubione w lesie. Niedobór informacji to

mało, my ich w ogóle nie mamy, a wierzymy, że od panów dowiemy się

najwięcej. Przepraszam, zapomniałem się. Przed badaniem proponuję

środek wzmacniający.

- Pan Brady ma na myśli alkohol - wyjaśnił Mackenzie.

- Przecież mówię. Może być szkocka?

- Owszem, po służbie. Zna pan przecież zarządzenia firmy i wie pan,

jak ściśle interpretuje je pan Finlayson.

- Ściśle? Jestem nieprzejednany w interpretacji moich własnych

zarządzeń. - Brady wykonał władczy gest ręką. - Skończyliście służbę.

A w każdym razie normalną służbę. George, daj coś na wzmocnienie. Pan

Dermott będzie zadawał pytania, jak sądzę, na zmianę z panem Mackenzie.

A panowie, jeśli łaska, wypełnicie luki naszej wiedzy.

Brady wziął z rąk Dermotta daiquiri, posmakował, odstawił szklaneczkę,

rozluźnił się w fotelu i złożonymi rękami podparł brodę.

- A teraz zamieniam się w słuch i będę oceniał - powiedział. Nie

było najmniejszej wątpliwości, kto jest najważniejszy z ich trójki. - Na

zdrowie.

Bronowski podniósł swoją szklaneczkę, którą przyjął bez zbytniej niechęci.

- Za pomieszanie szyków naszym wrogom - rzekł.

- O to właśnie chodzi - powiedział Dermott. - Na razie to nam pomieszano szyki. Wyłączenie czwartej stacji pomp jest wstępną po-
tyczką w tym, co zanosi się na krwawą bitwę. Oni - nieprzyjaciele
- wiedzą, gdzie uderzyć ponownie. My nie mamy zielonego pojęcia.

Za to wy, panowie, musicie coś wiedzieć, musicie z racji swego zajęcia
lepiej niż ktokolwiek pomiędzy zatoką Prudhoe a Valdez zdawać sobie
sprawę, jakie punkty rurociągu są najbardziej zagrożone. Wyjdźcie ze
swoich ról strażników i wcielcie się w nieprzyjaciół. Gdzie zadalibyście
drugi cios?

- Rany boskie! - wykrzyknął Bronowski, pokrzepiając się whisky
Brady'ego. - To pytanie za więcej niż sześćdziesiąt cztery dolary. To
pytanie za tysiąc trzysta kilometrów, z których każdy jest potencjalnie
łatwym celem.

- Szef ma rację - włączył się do rozmowy Tim Houston. - Siedząc
tu, popijając pańską whisky i udając, że pomagamy, tylko nadużywamy
pańskiej gościnności. Ani my, ani nikt inny nic tutaj nie pomoże.

więcej tyle co zastęp harcerek. To niewykonalne zadanie, rurociąg jest nie do obrony.

- Widzisz, George, tu przynajmniej działamy na większą skalę niż wśród speców od ropośnych piasków Athabaski - rzekł Mackenzie.

- Tam mówiono nam, że do ochrony ich urządzeń nie wystarczyłby

batalion wojska. Natomiast tu się mówi o dywizji. - Obrócił się do

Bronowskiego. - Postawmy się na miejscu nieprzyjaciela. Gdzie zadałby następny cios?

- Nie zaatakowałbym żadnej ze stacji pomp, bo bym przypuszczał,

że dopóki się wszystko nie wyjaśni, będą silnie strzeżone - odparł

Bronowski. - Bardzo by mnie korciło dobrać się do stacji dziesiątej na

Przełęczy Izabeli w górach Alaska albo do stacji dwunastej na Przełęczy

Thompsona w górach Chugach. Wszystkie stacje pomp są niezbędne,

ale niektóre szczególnie, jak chociażby dziesiąta i dwunasta, nie mówiąc

o tej czwartej. - Zastanawiał się przez chwilę. - A może właśnie bym

ją zaatakował... może bylibyście tak bardzo pewni, że nie uderzę drugi

raz w to samo miejsce, że nie dbalibyście za bardzo....

Dermott podniósł rękę.

- Jeżeli będziemy się bawić w co by było, gdyby, to mamy z głowy

całą noc. Proszę mówić dalej o zagrożonych punktach... to znaczy tych

najmniej zagrożonych.

- Nie zaatakowałbym dwóch ośrodków sterowania w zatoce Prud-

hoe. Można by je wyłączyć dość łatwo, co z pewnością natychmiast

wstrzymałoby eksploatację wszystkich szybów, ale nie na długo. Nie jest tajemnicą, że są już plany skierowania ropy tak, żeby omijała ośrodki w razie ich awarii. Remont ośrodków nie zajęłby aż tak wiele czasu. W każdym razie środki bezpieczeństwa będą wzmocnione do tego stopnia, że gra nie jest warta świeczki. A więc z całą pewnością nie będzie próby sabotażu urządzeń doprowadzających ropę do rurociągu. To samo dotyczy Valdez, gdzie opuszcza ona rurociąg. Najwięcej szkód można spowodować w ośrodku kontroli ruchów ropy, gdzie kontroler może śledzić i kontrolować przepływ ropy od Prudhoe do Valdez, a kontroler stacji końcowej - siedzą oni zresztą w tym samym pomieszczeniu - nadzoruje praktycznie wszystko, co porusza się na stacji. Ci dwaj polegają z kolei na urządzeniu nazywanym głównym komputerem nadzoru zdalnego. Wyeliminowanie któregoś z tych trzech urządzeń oznacza śmiertelne niebezpieczeństwo. Jednakże przy obecnym zabezpieczeniu nic im nie grozi, a od dziś są praktycznie niedostępne. Poza tym, nie opłaca się ich atakować.

- A co ze zbiornikami ropy? - spytał Dermott.

- Wygląda to tak: gdyby zaatakowano czy przedziurawiono jeden lub dwa - a nie można tego zrobić jednocześnie - rozlaniu się ropy zapobiegłyby wały ochronne. Ogień to inna sprawa, ale i tak śnieg pomógłby go stłumić - tu w ciągu roku zbiera się cienka warstewka śniegu, ale tam suma rocznych opadów wynosi ponad siedem i pół

metra. Zresztą zbiorniki stoją na całkowicie otwartym terenie i spośród wszystkich zespołów produkcyjnych rurociągu są najłatwiejsze do upilnowania. Żeby je uszkodzić, trzeba by zbombardować okolicę, a to jest raczej mało prawdopodobne.

- A co ze stacjami załadunku ropy na tankowce?

- Też łatwe do upilnowania. Nie sądzę, żeby sabotażyści posunęli się aż do tego, żeby do wysadzenia posłać nurków. R gdyby nawet, to nurkowie nie byłiby w stanie wyrządzić dużych szkód, łatwych zresztą do usunięcia.

- A same tankowce?

- Zatopi pan tuzin, zawsze znajdzie się trzynasty. Atakując tankowce w żaden sposób nie da się przerwać transportu ropy.

- A cieśnina Valdez?

- Zablokować ją?

Dermott potaknął w milczeniu, ale Bronowski tylko potrząsnął głową.

- Cieśnina nie jest taka wąska, jak to wygląda na małej mapie.

Minimalna szerokość kanału, pomiędzy Skałą Środkową a wschodnim brzegiem, wynosi dziewięćset metrów. Musiałby pan zatopić mnóstwo statków, żeby go zablokować.

- A więc wykreśliliśmy mało prawdopodobne cele ataku. Co nam pozostaje?

- Pozostaje nam te tysiąc trzysta kilometrów rurociągu - podsumo-

wał Bronowski.

- Czynnikiem nadrzędnym jest temperatura powietrza - powiedział

Houston. - Każdy sabotażysta godny tego miana będzie myślał tylko

o tym, jak uszkodzić rurociąg. O tej porze roku atak musi odbyć się na

świeżym powietrzu.

- Dlaczego?

- Proszę pamiętać, że to dopiero początek lutego i faktycznie sam

środek zimy. Prawie zawsze temperatura zjeżdża dobrze poniżej minus

trzydziestu pięciu stopni, a trzydzieści pięć stopni poniżej zera jest

w tych stronach temperaturą krytyczną. Przerywa pan rurociąg przy

temperaturze, powiedzmy, minus czterdziestu stopni i nic się nie da

62 63

zrobić. Remont jest praktycznie niemożliwy. Ludzie mogą pracować,

choć ze znacznie mniejszą wydajnością, ale metal, który będą się starali

załatać, ani narzędzia, których do tego użyją, niestety, nie będą z nimi

współdziałać. W skrajnych temperaturach w metalach zachodzą głębo-

kie zmiany cząsteczkowe zmniejszające ich użyteczność. W odpowied-

nich - czy raczej nieodpowiednich - warunkach dosyć jest stuknąć

w żelazny pręt, żeby rozprysł się jak szkło.

- To znaczy, że wystarczy uderzyć parę razy młotkiem w rurociąg...

- Niezupełnie - wyjaśniał cierpliwie Houston. - Kiedy w rurach

płynie gorąca ropa, a z wierzchu są zaizolowane, stal jest zawsze ciepła

i kowalna. To narzędzia używane do reperacji się łamią.

- Ale na pewno można zawiesić brezent albo zasłony z nieprzemakalnego płótna i za pomocą dmuchaw ciepłego powietrza podnieść

temperaturę do poziomu umożliwiającego pracę - rzekł Dermott.

- Wie pan, tak jak to zrobił Poulson na czwartej stacji.

- Oczywiście. Dlatego nie zaatakowałbym samego rurociągu. Za-

atakowałbym konstrukcję, która go wspiera, zamrożoną w tej tem-

peraturze na kamień; trzeba by dni, może tygodni, żeby ją ogrzać do

temperatury umożliwiającej naprawy.

- Konstrukcję?

- Tak jest. Teren, przez który biegnie rurociąg pomiędzy Prudhoe

a Valdez, jest bardzo nierówny, przecinają go niezliczone potoki, które

musiano jakoś pokonać albo połączyć ich brzegi. Po drodze jest ponad

sześćset strumieni i rzek. Wymarzonym celem byłby dwustumetrowy

bezprzęsłowy most wiszący na rzece Tazlina. Jeszcze lepszy byłby

trzystusześćdziesięciometrowy most - o identycznej konstrukcji - na

rzece Tanana. Ale nie potrzeba działać w aż tak imponującej skali i ja

osobiście wolałbym tego nie robić - powiedział Houston i popatrzył na

Bronowskiego. - Zgadzasz się ze mną?

- Całkowicie. Działałbym ze znacznie większym umiarem i mniej

widowiskowo, ale równie skutecznie. Ja bym bezwarunkowo zaatako-

wał PEN-y.

- PEN-y? spytał Dermott.

- Pionowe elementy nośne. Z grubsza połowa rurociągu biegnie nad ziemią i leży na poprzecznych kołyskach czy też siodłach podtrzymywanych przez pionowe metalowe słupy. Stwarza to całkiem niezłą liczbę celów do ataku, a ściślej, siedemdziesiąt osiem tysięcy. Bajecznie łatwo je usunąć - wystarczy wiązka ładunków plastikowych, na której umocowanie potrzeba minuty. Usuniesz dwadzieścia i cały rurociąg zawala się pod ciężarem własnym i ciężarem ropy w środku. Naprawa wymaga tygodni.

- Tu też można użyć brezentowych schronów ogrzewanych gorącym powietrzem.

- A co by pomogło, gdyby nie mogli sprowadzić dźwigów i sprzętu na gąsienicach niezbędnego dla dokonania naprawy - powiedział Bronowski. - Zresztą są takie miejsca, gdzie o tej porze roku byłoby to niewykonalne. Jest, na przykład, szczególnie newralgiczny odcinek, który przyprawił projektantów o ból głowy, budowniczych o bezsenne noce, a strażników o złe sny. Ten stromy i niebezpieczny odcinek znajduje się pomiędzy piątą stacją pomp a szczytem przełęczy Atigun, która ma pomiędzy tysiąc dwieście i tysiąc pięćset metrów wysokości.

- Tysiąc czterysta czterdzieści dwa metry - odpowiedział Houston.

- Tysiąc czterysta czterdzieści dwa metry. Na przestrzeni stu sześćdziesięciu kilometrów od przełęczy rurociąg opada w dół o trzysta sześćdziesiąt metrów, więc jest to znaczny spadek.

- Któremu odpowiada wzrost ciśnienia w rurach?

- Z tym nie ma problemu. w razie przerwania rurociągu specjalne

łącze komputerowe pomiędzy czwórką a piątką automatycznie wyłączy

pompy na stacji czwartej i zamknie wszystkie zdalnie sterowane

zawory pomiędzy tymi stacjami. Procedury zabezpieczenia rurociągu

w razie uszkodzenia są ogromnie skomplikowane i zdają egzamin.

W najgorszym razie wyciek ropy da się ograniczyć do pięćdziesięciu

tysięcy baryłek. Rzecz jednak w tym, że w zimie nie można naprawiać

rurociągu.

Brady zakasłał, jakby przeproszał, że wtrąca się do rozmowy, i zstąpił

ze swoich olimpijskich wyżyn.

- A więc o tej porze roku przerwa na tym konkretnym odcinku

mogłaby unieruchomić rurociąg na wiele tygodni?

- Bezsprzecznie.

- To można to sobie darować.

- Nie rozumiem, panie Brady.

- Boże, jakie to ciężary muszę dźwigać na swoich barkach - powie-

dział z westchnieniem Brady. - Otocz mnie ludźmi, którzy potrafią

myśleć. Zaczynam rozumieć, dlaczego jestem tym, kim jestem. Dziwię

się, że ta firma budowlana nigdy nie przeprowadziła testu spraw-

dzającego, co się dzieje z lepkością ropy w niskich temperaturach.

Dlaczego nie zapieczętowali kilkudziesięciu metrów doświadczalnej

rury z ropą w środku i nie zobaczyli, ile czasu potrzeba, żeby zmieniła

się do tego stopnia, że przestaje płynąć?

- Chyba nie przyszło im to do głowy - odparł Bronowski. - Nie przypuszczali, że coś takiego mogłoby się stać.

64 65

5 - Rthabaska

- ale stało się. Podobno wystarcza na to trzy tygodnie. Zakładam, że liczba ta oparta jest na naukowych wyliczeniach?

- Nie wiem. To nie moja branża - odparł Bronowski. - Może pan Black albo pan Finlayson to wiedzą.

- Pan Black nie zna się ani trochę na ropie, a pan Finlayson czy jakkolwiek zawodowy nafcjarz pracujący przy rurociągu ma na ten temat najwyżej mgliste pojęcie. Może to być dziesięć dni. Może być trzydzieści. Wiesz, o co mi chodzi, George?

- Tak. Szantaż, groźby, wymuszenie, osiągnięcie jakichś konkretnych i bardzo materialnych korzyści. Przerwanie rurociągu to jedno, wstrzymanie produkcji co innego. Potrzebna im jest przewaga, pozycja do przetargu. Gdyby na dobre unieruchomili rurociąg, towarzystwa naftowe kichałyby na ich groźby, bo nie miałyby już nic do stracenia. Znikłaby podstawa do szantażu. Kidnaper niewiele zyska na porwanym dla okupu, jeżeli wiadomo, że porwany nie żyje.

- Wątpię, czy wyraziłbym to lepiej - pochwalił go Brady. Promie-

niował wielkodusznym samozadowoleniem. - To jasne, że nie mamy do czynienia z błaznami. Nasi "przyjaciele" na pewno wzięliby pod uwagę takie nieuchwytnie subtelności i raczej byliby przesadnie ostrożni. Rozumie pan, o czym mówię, panie Bronowski?

- Teraz tak. Ale kiedy mówiłem o ryzykownych celach ataku, tej strony zagadnienia nie brałem pod uwagę.

- Wiem o tym. Nikt nie brał. Tak, myślę, że to wystarczy, panowie.

Wydaje mi się, że ustaliliśmy dwie rzeczy. Jest mało prawdopodobne, żeby przypuszczono atak na którąś z głównych instalacji, to znaczy w Prudhoe czy Valdez albo na którejś z dwunastu głównych pośredniczących stacji pomp. Poza tym jest nieprawdopodobne, żeby atak przeprowadzono w rejonach, które są tak niedostępne, że naprawa byłaby niemożliwa przez szereg tygodni. Tak więc pozostaje nam prawdopodobieństwo, że każdy następny sabotaż to będzie atak na dostępne odcinki z pionowymi elementami nośnymi albo zniszczenie mostów - możliwość zburzenia mostów na rzekach Tanana i Tazlina jest znikoma, bo ich naprawa zajęłaby tygodnie. Być może niewiele posunęliśmy się naprzód, ale przynajmniej coś niecoś sobie wyjaśniliśmy i ustaliliśmy, co jest bardziej, a co mniej prawdopodobne.

Nie bez trudności Brady podźwignął się z fotela, żeby dać do zrozumienia, że spotkanie dobiegło końca.

- Dziękuję wam, panowie, i za poświęcenie mi czasu, i za informacje.

Do zobaczenia rano o, rzecz jasna, jakiejś chrześcijańskiej godzinie.

Za Bronowskim i Houstonem zamknęły się drzwi.

- No i co wy na to? - spytał Brady.

- Tak jak powiedziałeś, po prostu ograniczyliśmy możliwości, które, niestety, pozostają nadal prawie nieograniczone. Chciałbym zrobić trzy rzeczy. Po pierwsze, chciałbym, żeby FBI lub ktokolwiek inny wnikliwie zbadał przeszłość Poulsona i jego kumpli z czwartej stacji pomp.

- Masz powód ich podejrzewać?

- Właściwie nie. Ale mam dziwne uczucie, że na stacji czwartej coś jest nie tak. Don podziela je, ale nie mamy do czego się przyczepić, poza ciemnożółtą kopertą, która znikła z kieszeni zamordowanego technika. Ale i co do tego zaczynam się zastanawiać, czy moje oczy albo wyobraźnia nie spletały mi figla - światło było niezwykle ostre i mogłem pomylić kolory.

Mniejsza z tym... Jakbyś pierwszy przyznał, każdy pracownik rurociągu jest podejrzany, dopóki nie dowiedzie się jego niewinności.

- Mowa! Wspomniałeś, że Poulson i Bronowski są w dobrej komitywie.

- Bronowski to taki typ, który, jak się zdaje, jest w dobrej komitywie ze wszystkimi. Jeżeli sugerujesz to, o czym myślę, to dodam, że według Finlaysona przeszłość Bronowskiego sprawdzano trzykrotnie.

- I na pewno wyszedł z tego czysty. Czy Finlayson zna się na takim sprawozdaniu i potrafi je ocenić? Czy ma jakąś gwarancję, że żaden z tych trzech rzekomo bezstronnych detektywów nie był w rzeczywistości serdecznym kolegą Bronowskiego? Ale, ale, mam bardzo dobrego

i bardzo dyskretnego kolegę w Nowym Jorku. Jak sam powiedziałeś, wszyscy pracownicy rurociągu są podejrzani, dopóki się nie udowodni, że mają czyste ręce.

- Ująłem to trochę inaczej.

- Dzielisz włos na czworo. A ta druga rzecz, którą chcesz zrobić?

- Chciałbym mieć orzeczenie lekarskie, najlepiej wystawione przez doktora, który zna się trochę na kościach, w jaki sposób wyłamano zabitemu technikowi palec.

- I co to da?

- Skąd mogę wiedzieć - odparł prawie poirytowanym tonem Dermott. - Bóg świadkiem, jim, że dostatecznie często podkreślałeś, żeby nigdy nie przeoczyć nic, co wydaje się dziwne.

- To prawda, prawda - przyznał pojednawczo Brady. - Miałeś jeszcze trzecią sprawę.

- Dowiedzmy się, jak spece od daktyloskopii radzą sobie z tą budką telefoniczną w Anchorage. Wiem, że są to trzy drobiazgi, ale nic więcej nie mamy, żeby posunąć się naprzód.

- Mamy ich cztery. Jest jeszcze Bronowski. I co teraz?

Zadzwonił telefon. Brady podniósł słuchawkę, posłuchał przez chwilę, zachmurzył się i wręczył ją Dermottowi.

- Do ciebie - powiedział.

Dermott, zdziwiony, uniósł brwi.

- Znowu ten cholerny szyfr.

Dermott spojrzał na niego wymownie, przyłożył słuchawkę do ucha, sięgnął po blok papieru i zaczął notować. Zaledwie po minucie odłożył słuchawkę i spytał:

- I co teraz? Czy nie tak brzmiało twoje ostatnie pytanie?

- Że co? Tak. No więc?

- Teraz wracamy do naszego miłego odrzutowca i hajda do Kanady

- powiedział Dermott i posłał Brady'emu zachęcający uśmiech. - Powinno być dobrze. W twoim powietrznym barze jest jeszcze pod dostatkiem daiquiri.

- A co to, do diabła, ma znaczyć?

- Tylko jedno, szanowny panie - odparł Dermott i przestał się uśmiechać. - Przypominasz sobie nasz wspaniały trust mózgów w biurze Sanmobilu - jak dochodziliśmy do jednomyślnego wniosku, że jest sześć punktów narażonych na atak: koparki zgarniakowe, koparki wielonaczyniowe, ich mosty, płyty oddzielacza, zwałowarki promieniowe, a przede wszystkim taśmociągi? Jakiś figlarz stamtąd widział to zupełnie inaczej. Wyłączył główną przetwórnę.

Rozdział szósty

Cztery godziny później zespół firmy Brady stał dygocząc w przetwórni Sanmobilu w Athabasce, gdzie dokonano sabotażu. Brady był spowity w swój tradycyjny kokon z płaszczy i szalików, a fakt, że lot z Alaski pozbawił go kolacji, nie poprawiał mu humoru.

- Jak to się stało? - powtórzył. - Teren łatwy do patrolowania, rzęsiście oświetlony, jak sam pan podkreślił, a załoga składa się w stu - przepraszam, w dziewięćdziesięciu ośmiu - procentach z lojalnych i patriotycznych Kanadyjczyków. - Zajrzał przez wielką dziurę, wyrwaną w cylindrycznym pojemniku. - Jak to w ogóle możliwe?

- Chyba nie jest pan całkiem sprawiedliwy, panie Brady - odparł Bill Reynolds, jasnowłosy i rumiany dyrektor kopalni, w imieniu swojego kolegi, Terry'ego Brinckmana, szefa straży przemysłowej, do którego odnosiły się te uwagi. - Zeszłej nocy Terry miał na służbie tylko ośmiu ludzi, a była to już druga jego zmiana tego dnia. Innymi słowy, kiedy wydarzył się ten wypadek, miał za sobą piętnaście godzin ciągłej służby. A więc widzi pan, że robił, co mógł.

Brady skinął głową potwierdzająco.

- Pamiętaj pan, że wspólnie ustaliliśmy, co należy chronić przede wszystkim: rejon zagrożony najbardziej. Rejonów tych Terry i jego strażnicy pilnowali najlepiej, jak mogli, dlatego do patrolowania samej przetwórni nie zostało nikogo. Pamiętaj pan, panie Brady, że zgodził się pan z tym całkowicie? Powiedział pan też, że Terry nie ma sobie nic do

wyrzucenia. Jeżeli już mamy szukać winnego, nie zapominajmy o sobie.

- Przecież nikt nie szuka winnego, panie Reynolds. Jak duże są szkody?

- Dosyć znaczne. Terry i ja oceniamy, że ci goście odpalili tu trzy

ładunki - to jest aparat do uwodorniania oleju gazowego - i tyle samo

przy uwodornianiu nafty. Na dobrą sprawę mieliśmy ogromne szczęś-

cie, mógł przecież wybuchnąć gaz, a paliwo zapalić się. Nic takiego się

nie stało. Tak więc szkody są stosunkowo niewielkie. Za czterdzieści

osiem godzin powinniśmy ruszyć całą parą.

69

- A na razie wszystko stoi?

- Koparki pracują. Ale reszta nie. Zwałowarki są pełne.

- Sądzi pan, że to robota kogoś z przetwórnii?

- Niestety, to pewne - odparł Brinckman. - Przetwórnia jest duża,

ale jej obsługa wymaga zadziwiająco mało ludzi i wszyscy na zmianie

się znają. Obcego zauważono by natychmiast. A poza tym jesteśmy

pewni, że zrobił to ktoś z pracowników, bo zeszłego wieczoru z maga-

zynku minerskiego zabrano sześć pięciodekowych ładunków.

- Z magazynku minerskiego?

- Używamy materiałów wybuchowych do kruszenia dużych brył

piachu smołowego, które są za bardzo zbite. Ale mamy tylko małe

ładunki.

- Małe, ale wystarczające. Czy magazynek minerski jest z reguły

zamknięty na zamek?

- Na dwa zamki.

- Wyłamano drzwi?

- Nic nie wyłamano. Dlatego Brinckaman powiedział panu, że jesteśmy pewni, że jest to robota od wewnątrz. Użyto kluczy.

- Kto przechowuje te klucze? - spytał Dermott.

- Są trzy komplety. Jeden mam ja, a dwa Brinckman - odparł Reynolds.

- Dlaczego dwa?

- Jeden noszę przy sobie. Drugi bierze szef straży z nocnej zmiany i przekazuje go szefowi zmiany rannej i popołudniowej - wyjaśnił Brinckman.

- Kim są pozostali szefowie zmian?

-Jeden to mój zastępca, Jorgensen, właśnie teraz pełni służbę,

i Napier - odparł Brinckman. - Nie sądzę, żeby któryś z nas trzech miał powody kraść materiały wybuchowe.

- Oczywiście, chyba że jesteście umyślowo chorzy. Ale do rzeczy, nie wygląda na to, żeby ktoś ryzykował wykradzenie kluczy i zrobienie duplikatów. Najprawdopodobniej odkryto by ich brak, ale mielibyśmy spore szanse na wytropienie ślusarza, który dorabiał klucze, a tym samym - złodzieja.

- Klucze można dorobić nielegalnie.

- Mimo wszystko wątpię, żeby je zabrano. Bardziej prawdopodobne, że ktoś zrobił odcisk - na to wystarczy kilka sekund. I tu właśnie zaczyna się nielegalna strona całego interesu: żaden uczciwy ślusarz nie podejmie się dorobienia kluczy na podstawie odcisków. Czy łatwo jest wejść w posiadanie kluczy, choćby na krótko?

- Co do Jorgensena i Napiera, nie wiem. Swoje noszę przy pasie

- odparł Brinckman.

- Każdy musi spać - rzekł Mackenzie.

- I co z tego?

- To, że zdejmuję pan pas, prawda?

- Oczywiście - potwierdził Brinckman wzruszając ramionami. - Jeżeli chce pan teraz spytać, czy śpię mocno, to owszem, śpię mocno.

Rzecz jeśli chce pan wiedzieć, czy to możliwe, żeby ktoś wśliznął się do mojego pokoju, kiedy śpię, wypożyczył klucze na kilka minut i zwrócił je niepostrzeżenie, to owszem, też byłoby to całkiem możliwe.

- Niewiele nam to da - odezwał się Brady. - Typów o lepkich łapach, których korcą klucze, jest na kopy. Czy w przetwórni był dziś w ogóle jakiś strażnik?

- To wie Jorgensen - odparł Brinckman. - Mam go sprowadzić?

- A czy nie patroluje w tej chwili taśmociągów lub czegoś takiego?

- Jest w stołówce.

- jak to, przecież jako szef zmiany powinien być na służbie.

- A czego ma pilnować, panie Brady? Czterech strażników ma oko na koparki. Reszta kopalni stoi. Naszym zdaniem to nieprawdopodobne, żeby zamachowiec zaatakował dziś jeszcze raz.

- Niewiele jest rzeczy nieprawdopodobnych.

- Niech pan go przyprowadzi do mojego biura - polecił Reynolds

i Brinckman wyszedł. - Myślę, że będzie tam panu cieplej i wygodniej, panie Brady.

Poszli za Reynoldsem do biur, przechodząc przez sekretariat, gdzie siedząca przy biurku jasnooka, ładna, młoda kobieta posłała im czarującej uśmiech, i weszli do gabinetu. Zanim jeszcze Reynolds zdążył zamknąć drzwi, Brady zaczął zdejmować z siebie kilka warstw wierzchniej odzieży. Gospodarz zajął miejsce na krześle przy biurku, a Brady opadł na jedyny fotel w pokoju.

- Przepraszam, że tak panów ściągnąłem prosto z północnego zachodu - powiedział Reynolds. - Bez snu, bez jedzenia, wciąż w samolocie, wszystko to bardzo przykre. Czuję się uprawniony do odstąpienia od przepisów firmy. A na dobrą sprawę jestem jedyną osobą w Sanmobilu, która może to zrobić. Napijcie się czegoś?

- Ha! - wykrzyknął Brady i zamyślił się. - Jest wcześnie rano. Nie dość, że zostaliśmy bez kolacji, to jeszcze nie jedliśmy śniadania. Ma pan może daiquiri? - spytał, a w jego oczach zagościła nadzieja.

- Ależ myślałem, że pan zawsze...

- Nad Jukonem mieliśmy pechowe zdarzenie - wyjaśnił Dermott.

- Skończył się rum.

70 71

Brady spojrział na niego groźnie. Reynolds uśmiechnął się.

- Daiquiri nie mamy - powiedział. -- Ale mamy naprawdę wspaniałą dwunastoletnią whisky.

W parę sekund potem Brady odjął szklaneczkę od ust i skinął z uznaniem głową.

- Całkiem, całkiem. Kolej na was dwóch - powiedział zwracając się do Dermotta i Mackenziego. - Jak dotąd ja załatwiałem całą robotę.

- Tak jest, szefie - odparł Mackenzie, ale się nie uśmiechnął.

- Trzy pytania, jeśli można. Kto podsunął myślenie o sprawdzeniu ilości materiałów wybuchowych w magazynku minerskim?

- Nikt. Terry Brinckman zrobił to z własnej inicjatywy. Mamy dwa systemy kontroli: drobiazgowy i pobieżny. Stan materiałów zapisuje się na bieżąco dwa razy dziennie. Po prostu liczymy materiały wybuchowe, odejmujemy otrzymaną sumę od ostatniego zapisu w książce, co daje liczbę materiałów zużytych w ciągu tego dnia. Albo ukradzionych, jak być może w tym przypadku.

- Tak, to na pewno dobrze świadczy o szefie waszej straży.

- Ma pan wobec niego zastrzeżenia?

- Ależ skąd, nie. Z jakiej okazji? Pytanie drugie: gdzie wiesz pan na

noc swoje klucze?

- Nie wiem ich - odparł Reynolds i skinął głową w stronę masywnej szafy pancерnej w kącie. - Trzymam je tam w dzień i noc.

- Ach tak! W takim razie muszę przeredagować moje trzecie pytanie. Czy tylko pan ma klucz do tej kasy?

- Jest jeszcze jeden. Ma go Corirme.

- Ach tak. Ta ślicznotka w sąsiednim pokoju?

- Ta, jak pan mówi, ślicznotka w sąsiednim pokoju jest moją sekretarką.

- A dlaczego właśnie ona ma ten klucz?

- Z różnych powodów. Wszystkie wielkie firmy, jak pan na pewno wie, mają swoje szyfry. Nie jesteśmy wyjątkiem. Książkę szyfrów trzymamy w kasie. Corinne jest moją szyfrantką. A poza tym, nie mogę tu być przez cały czas. Kierownicy działów, księgowi, nasi prawnicy, szef straży - oni wszyscy mają dostęp do tej kasy. Zapewniam pana, że są w niej nieporównywalnie ważniejsze rzeczy niż klucze do magazynku minerskiego. Jak dotąd nic nie zginęło.

- Ludzie po prostu wchodzą, biorą, co im potrzeba, i wychodzą?

Reynolds uniósł brwi i spojrzał twardo na Mackenziego.

- Niezupełnie. Znamy do pewnego stopnia zasady bezpieczeństwa.

Muszą się wpisać, pokazać Corinne, co wzięli, a potem się wypisać.

- A co, jeśli schowają parę kluczy do kieszeni?

- Naturalnie, że Corinne ich nie obszukuje. Ludziom na kierowniczych stanowiskach należy się trochę zaufania.

- Tak. Sądzi pan, że możemy z nią porozmawiać?

Reynolds przemówił do skrzynki telefonu wewnętrznego stojącego na biurku. Weszła Corinne, która stojąc świetnie prezentowała się w sztruksowych lewisach koloru khaki i sympatycznie rozchełstanej koszuli w kratkę - osoba mająca uśmiech dla każdego.

- Wiesz, kim są ci panowie, Corinne? - spytał Reynolds.

- Tak, panie dyrektorze. Chyba wszyscy wiedzą.

= Zdaje się, że pan Mackenzie chciałby ci zadać parę pytań.

- Słucham.

- jak długo pracuje pani u pana Reynoldsa?

- Właśnie minęły dwa lata.

- R przedtem?

- Przyszłam tu prosto po szkole sekretarek.

- Zajmuje pani chyba bardzo trudne i odpowiedzialne stanowisko?

Znowu się uśmiechnęła, ale tym razem trochę niepewnie, jak gdyby nie wiedziała, dokąd zmierzają te pytania.

- jestem osobistą sekretarką pana Reynoldsa - odparła.

- Wolno spytać, ile pani ma lat?

- Dwadzieścia dwa.

- Pierwszy raz spotykam się z tak młodą osobistą sekretarką w dużej firmie.

Dziewczyna przygryzła wargę i zerknęła na Reynoldsa, który siedział odchylony do tyłu, z rękami leniwie splecionymi za głową, i sprawiał wrażenie, jakby się dobrze bawił. Uśmiechnął się i powiedział:

- Pan Mackenzie prowadzi śledztwo w sprawie sabotażu. Musi wykonać swoją pracę, a jej częścią jest zadawanie pytań. Wiem, że to był jego pogląd, a nie pytanie, ale jest to akurat pogląd, który wymaga komentarza.

Corinne obróciła się do Mackenziego, wprawiając w ruch swoje długie kasztanowate włosy.

- Widocznie miałam dużo szczęścia -- odparła. Mackenzie wyczuł jej rozmyślnie chłodny ton.

- Żadne z moich pytań nie jest wymierzone przeciwko pani, zgoda, Corinne? - - powiedział. -- A więc do rzeczy. Na pewno zna pani bardzo dobrze ludzi z kierownictwa?

- Nic na to nie poradzę. Chcąc się dostać do pana Reynoldsa, muszą się zetknąć ze mną.

72 73

- Także ci, którzy korzystają z tej kasy?

- Oczywiście. Znam ich wszystkich dobrze.

- Wszyscy są z panią zaprzyjaźnieni, o ile się nie mylę?

- No cóż - powiedziała z uśmiechem, ale nieco urażona. - Wielu

z nich zajmuje zbyt poważne stanowiska, żeby się ze mną przyjaźnić.

- Ale są z panią, powiedzmy, w dobrych stosunkach?

- O, tak - odparła i znów się uśmiechnęła. - Nie mam wielu wrogów.

- Boże uchowaj! - zawołał George Dermott, który przejął zadawanie pytań i prowadził przesłuchanie dalej żywszym tonem. - Czy miała pani kłopoty z kimkolwiek, kto korzysta z tej kasy? Z próbą wyniesienia czegoś, czego nie powinno się wynosić?

- Nieczęsto, a to tylko przez roztargnienie albo dlatego, że wynoszący nie zapoznali się z listą rzeczy tajnych. Zresztą gdyby ktoś chciał coś wynieść w mojej obecności, to na pewno ukryłby to pod ubraniem, panie Dermott.

Dermott potwierdził skinieniem głowy.

- Ma pani rację, panno Delorme - rzekł.

Dziewczyna z iskierkami humoru w oczach obserwowała jego prostą, miłą twarz, jak gdyby rozbawiona jego bezpośredniością. Zauważył jej minę i sam z kolei przyglądał się jej przez krótką chwilę.

- A o czym teraz pani myśli? - spytał. - Sądzi pani, że ktoś mógł w pani obecności przesmuglować coś, co wyjął z kasy?

Spojrzała mu w oczy.

- Mógł, ale wątpię, żeby to zrobił - odparła.

- Czy mogę dostać listę ludzi, którzy korzystali z kasy w ciągu ostatnich czterech-pięciu dni?

- Oczywiście.

Wstała i wróciła z wykazem, który Dermott szybko przejrzał.

- Rany boskie! Wygląda na to, że ta kasa jest Mekką dla połowy

Sanmobilu. Co najmniej dwadzieścia wpisów w ciągu ostatnich czterech

dni. - Podniósł wzrok na dziewczynę. - To kopia. Mogę ją zatrzymać?

- Oczywiście.

- Dziękuję.

Corinne Delorme uśmiechnęła się do wszystkich w pokoju, ale zanim

wyszła, jej niebieskie oczy spoczęły ponownie na Dermocie.

- Czarująca - powiedział Brady.

- Dziewczyna z charakterem - dodał ze smutkiem Mackenzie.

- Tak na ciebie spojrzała, że poczułem się jak twój ojciec, George.

- Zmarszczył brwi. - Skąd wiedziałeś, że ma na nazwisko Delorme?

- Z plakietki na jej biurku, na której było napisane "Corinne Delorme".

-Dermott Sokole Oko - powiedział Mackenzie potrząsnąwszy
głową.

Pozostali roześmiali się. Napięcie, które zapanowało w pokoju w czasie przepytывania dziewczyny, nieco opadło.

- Czy mogę panom jeszcze w czymś pomóc? - spytał Reynolds.

- Tak, bardzo proszę - odparł Dermott. - Czy możemy dostać listę
nazwisk strażników?

Reynolds pochylił się nad telefonem wewnętrznym i wydał polecenie

Corinne. Właśnie skończył, kiedy zjawił się Brinckman w towarzystwie

rudego mężczyzny, którego przedstawił jako Carla Jorgensena.

- Podobno dowodził pan nocną zmianą straży - powiedział Der-

mott. - Czy był pan dziś choć raz na terenie, gdzie dokonano sabotażu?

- Kilka razy.

- Rż tyle? Myślałem, że koncentruje się pan na strzeżeniu punktów

bardziej zagrożonych, jak błędnie ocenialiśmy.

- Objeżdżałem je kilka razy samochodem. Miałem jednak dziwne

uczucie, że pilnujemy być może nie tych miejsc, co trzeba. Proszę mnie

nie pytać, dlaczego.

- Pańskie dziwne uczucie nie okazało się w końcu aż tak dziwne. Nie

zauważył pan nic niezwykłego, nic podejrzanego?

- Nie, nic. Znam wszystkich z nocnej zmiany i wiem, gdzie kto

pracuje. Nie było nikogo, kogo nie powinno tam być, nigdzie nikogo,

kto nie miałby prawa tam przebywać.

- Pan ma klucz do magazynku minerskiego. Gdzie go pan trzyma?

- Terry Brinckman wspominał mi o tym. Mam go przy sobie tylko

w czasie służby, potem go przekazuję. Zawsze noszę go w tej samej

kieszoni na piersiach, zapinanej na guzik.

- Czy ktoś mógłby go panu wyjąć?

- Tylko zawodowy kieszonkowiec, ale i tak bym się spostrzegł.

Dwóch strażników opuściło pokój i weszła Corinne z kartką.

- Szybko - pochwalił ją Reynolds.

- Nie bardzo. Były przepisane już dawno.

- Musi pani odwiedzić nas i poznać moją córkę Stellę - powiedział do niej Brady. - Na pewno się polubicie. Jesteście w jednym wieku.

Stella jest nawet bardzo do pani podobna.

- Dziękuję za zaproszenie, panie Brady. Z przyjemnością poznam pana córkę.

- Jak to jest podobna do twojej córki? - spytał Dermott po jej wyjściu. - Trudno o kogoś mniej podobnego do Stelli.

74 75

- Nie widziałeś tych roztańczonych oczu, mój drogi? Musisz nauczyć się widzieć więcej, niż ci pokazują - rzekł Brady i podźwignął się na nogi. - Latka lecą. A teraz śniadanie i do łóżka. Na dziś koniec ze śledztwem. To cięższe niż gaszenie szybów.

Dermott wracał wynajętym samochodem do hotelu, obok niego siedział Mackenzie. Brady rozsiadł się swobodnie, wypełniając sobą całe tylne siedzenie.

- Niestety, nie byłem całkiem uczciwy wobec Reynoldsa. Śniadanie owszem, zjem. Ale odpocznę... odpoczniemy za kilka godzin. Mam pewien plan - powiedział i zamilkł.

- Słuchamy - rzekł uprzejmie Dermott.

- To raczej ja najpierw posłucham. Jak myślicie, po co was za-
trudniam?

- Słuszne pytanie - powiedział Mackenzie. - Po co?

- Żebyście śledzili, wykrywali, myśleli, knuli, projektowali, pla-
nowali.

- Wszystko naraz? - spytał Mackenzie.

Brady zignorował to pytanie.

- Nie chcę nic proponować, żeby potem, jeżeli mój pomysł nie
wypali, do końca życia nie wysłuchiwać waszych naigrawań. Chciał-
bym, żebyście we dwójkę coś zaproponowali, to w razie niewypału
wszyscy trzej podzielimy winę. Przy okazji, Donald, wzięłeś chyba ze
sobą "odpluskiewicz"?

- Elektroniczny ustalacz-wykrywacz podsłuchu?

- Przecież mówię.

- Tak.

- Doskonale. A teraz, George, przedstaw nam, jak widzisz sytuację.

- Według mnie, żebyśmy nie wiem jak się starali, nie mamy naj-
mniejszej szansy powstrzymać tych łajdaków od zrobienia tego, co
chcą i kiedy chcą. Nie da się w żadnym razie przeszkodzić atakom na
Sanmobil i na rurociąg na Alasce. Oni strzelają, a my służymy, wybacz
metaforę, za tarcze strzelnicze. Oni nam grają, a my tańczymy. Oni są
aktywni, my bierni. Oni są w ataku, my się bronimy. Jeżeli w ogóle

mamy jakąś taktykę, to moim zdaniem najwyższy czas ją zmienić.

- Mów dalej - ponaglił go siedzący z tyłu wódz.

- Jeżeli to ma być zachęta, to nie wiem po co - rzekł Dermott.

- A co powiecie na taką propozycję? Zamiast oni nam, to my im

będziemy bruździć. To my ich nękać, a nie oni nas.

- Mów, mów - napomniano Dermotta z tyłu.

- Zaatakujmy ich i zmusimy do obrony. Niech to oni mają kłopot.

- Dermott urwał. - Poruszam się w ciemnościach, ale proponuję

zapalić światło na końcu tunelu. To znaczy sprowokować ich. Sprowo-

kować jakąś reakcję. Doprowadzić ich do białej gorączki. Wykorzys-

tamy jedną okoliczność: to, że naszą przeszłość, nasze życiorysy można

badać choćby do sądnego dnia i nic się nie wykryje. A o ilu ludziach

można to powiedzieć?

Dermott odwrócił na chwilę głowę, żeby ustalić źródło dziwnego dźwięku,

który dochodził z tylnego siedzenia. Brady właśnie zacierał ręce.

- A co ty na to, Donald? - spytał.

- Można to zrobić całkiem prosto - odparł Mackenzie. - Wystarczy

skłócić jak wszyscy diabli kilkadziesiąt osób, zupełnie otwarcie zbadać

ich przeszłość i zrobić to tak niedyskretnie, jak się tylko da.

Brady rozpromienił się.

- Przeszłość jakich kilkadziesiąt osób trzeba zbadać? - spytał.

- Na Alasce, wszystkich strażników. I tutaj też strażników i wszyst-

kich, którzy mieli dostęp do kasy Reynoldsa w ciągu ostatnich kilku dni.

Reynoldsa też w to wliczasz?

- Nie, skądże znowu.

- Ta dziewczyna jest naprawdę śliczna - odezwał się bez związku

Mackenzie.

Brady zachował niewzruszoną minę.

- Rzeczywiście spodziewasz się złowić wśród nich swoją grubą
rybę?

- Grubą rybę?

- Główną sprężynę. Szefa. Albo szefów.

- Bynajmniej. Ale jeżeli w beczce jest zgniłe jabłko, to może samo
nam go wskaże.

- Tak jest - zgodził się Mackenzie. - Więc musimy zdobyć wszyst-

kie nazwiska i życiorysy. Potem - raczej prędzej niż później - wziąć

odciski palców całej grupy. Jasne, że będą powoływać się na prawa

obywatelskie i podniosą wrzask, ale to tym lepiej dla ciebie - odmowa

współpracy rzuci podejrzenie na odmawiającego, jeśli to jest właściwe

określenie. Potem przekażesz swoim detektywom w Houston, Waszyng-

tonie i Nowym Jorku wiadomość, że mniejsza o koszty, sprawa bardzo

pilna. Wcale nie dlatego, żeby ci zależało choć trochę, czy cokolwiek

znajdą. Po prostu podejrzani mają się dowiedzieć, że takie śledztwo już

się toczy. To ich dostatecznie sprowokuje.

- A jakie reakcje chcemy sprowokować? - spytał Dermott.

- Mam nadzieję, że przykre. Oczywiście dla łajdaków.

76 77

- Przede wszystkim na twoim miejscu odesłałbym do Houston rodzinę - powiedział Dermott. - Jean i Stella mogą znaleźć się w niebezpieczeństwie, a cały plan obrócić się przeciwko tobie. A jakbyś tak dostał wiadomość: "Spływaj, Brady, bo twoją rodzinę może spotkać coś złego"? Oni grają o wysoką stawkę. Już raz zabili, więc nie zawahają się zabić jeszcze raz. Dwa razy nie można ich powiesić.

- Pomyślałem o tym samym - powiedział Mackenzie i obrócił się, żeby spojrzeć na tylne siedzenie. - Natychmiast odeślij dziewczyny do domu albo poproś kanadyjską policję o ochronę.

- Do diabła, przecież one są mi potrzebne! - zaprotestował Brady z oburzeniem i usiadł prosto. - Po pierwsze, wymagam opieki. Po drugie, Stella prowadzi dla mnie sprawę Ekofisku.

- Ekofisku? - spytał Dermott i omal się nie odwrócił. - Co to jest?

- Wielki pożar na Morzu Północnym, w norweskiej części. Wybuchł po waszym wyjeździe na północ. Dzisiaj jedzie tam nasza ekipa.

- No dobrze - powiedział Dermott nieco bardziej ustępliwym tonem. - Więc musisz być z nimi w kontakcie. ale można to przecież zrobić z pomocą miejscowych pracowników. Jest na przykład ta ruda dziewczyna od Reynoldsa, Corinne. Mogłaby ci załatwiać telefony.

- A co będzie, jak wrócimy na Alaskę?

- Skorzysta się tam z czyjejs pomocy. Finlayson na pewno ma sekretarza.

- Nic nie zastąpi osobistego kontaktu - zawyrokował Brady. Za-

głębił się na powrót w siedzeniu, jak gdyby spór dobiegł końca. Jego dwóch zawodników wagi ciężkiej wymieniło spojrzenia i od-

wróciło się przodem do kierunku jazdy. Ponieważ doświadczyli tego

setki razy, wiedzieli, że dalsze naciski są chwilowo bezcelowe. Gdzie-

kolwiek wyjeżdżali, Brady podtrzymywał mit, że żona i córka są mu

niezbędne do życia, i nie rozstawał się z nimi bez względu na koszty.

Lub niebezpieczeństwa.

Dermott i Mackenzie bynajmniej nie mieli nic przeciwko obecności Jean i Stelli. Jaka matka, taka córka - Jean była uderzająco przystojną

kobietą po czterdziestce, z pięknymi, naturalnymi włosami blond i in-

teligentnymi szarymi oczami, Stella zaś stanowiła wierną kopię matki,

tylko młodszą i żywszą, i miała, jak to z lubością powtarzał ojciec,

rozańczone oczy.

Jean czekała na nich w barze hotelu Peter Pond. Wysoka i elegancka,

z wyrozumiałą i dobrotliwie rozbawioną miną wyszła im na spotkanie.

Dermott wiedział z doświadczenia, że ta mina wyraża jej prawdziwe

uczucia: zrównoważone usposobienie to nie mała zaleta u kogoś, kto

spędzał życie na dogadzaniu Jimowi Brady'emu.

-- Cześć, kochanie! - przywitał ją Brady. Uniósł się lekko na palcach, żeby pocałować ją w czoło. - Gdzie Stella?

- W twoim pokoju. Ma dla ciebie kilka wiadomości, była bardzo zajęta telefonowaniem.

- Wobec tego przepraszam, panowie. Może któryś z was zechce

uprzejmie zamówić coś do picia mojej żonie. Kołysząc się w biodrach odszedł korytarzem, a Dermott i Mackenzie usadowili się wygodnie w ciepłym barze. W odróżnieniu od swojego

męża Jean prawie nie brała alkoholu do ust, kiedy więc oni popijali

whisky, ona sączyła sok ananasowy. Pod nieobecność męża nie roz-

mawiała też o sprawach zawodowych, zamiast tego aż do jego powrotu

gawędziła miło o Forcie McMurray i skromnych rozrywkach dostęp-

nych tu w środku zimy.

Brady przyprowadził ze sobą Stellę; szła swobodnym, rozkołysanym

krokiem kręcąc biodrami. Dermotta - zazwyczaj nieskłonny do

żartów - uderzył nagle niedorzeczny kontrast pomiędzy tymi dwiema

postaciami. Rany boskie, pomyślał, hipopotam i gazela. Co za para!

Z bardzo dużą szklaneczką daiquiri w pulchnej dłoni Brady zagłębił

się w fotelu i w tym samym momencie dał lekki znak Dermottowi

i Mackenziem, którzy mruknęli coś i wymknęli się z baru.

Brady, który był najwyraźniej w optymistycznym nastroju, zaczął

raczyć rodzinę odpowiednio spreparowaną relacją o swoich wyczynach na północy.

- Zdaje się, żeście niewiele zwojowali = powiedziała z powątpiewaniem Jean po chwili milczenia.

Brady nie stracił pogody ducha.

- Dziewięćdziesiąt procent naszych zajęć to praca umysłowa, kochanie - odparł. - Kiedy przystępujemy do akcji, to to, co robimy, jest zwykłą, prawie mechaniczną konsekwencją tej całej niewidocznej harówki, którą wykonaliśmy wcześniej. - Postukał się w głowę. - Mądry generał nie rzuca swoich oddziałów do bitwy bez uprzedniego rozpoznania. Robiliśmy rozpoznanie.

Jean uśmiechnęła się.

- Zawiadom nas, kiedy ustalisz, kim jest nieprzyjaciel - powiedziała i nagle spoważniała. - To paskudna sprawa, prawda?

- jak każde morderstwo, kochanie.

- Nie podoba mi się to. Nie podoba mi się, że się tym zajmujesz.

To zadanie dla policji. Jeszcze nigdy nie miałeś do czynienia z morderstwem.

- Mam uciec?

Spojrzała na jego obfite kształty i roześmiała się.

- Do tego jednego akurat nie jesteś stworzony - odparła.

- Uciec? - powiedziała z szyderstwem Stella. - Tata nie byłby

w stanie dobiec stąd do wygodki!

- Przestańcie, proszę - powiedział rozpromieniony Brady. - Mam

nadzieję, że taki pośpiech nie będzie konieczny.

- Gdzie poszedł Donald? - spytała Stella.

- Na górę, załatwić dla mnie pewną drobną sprawę.

Mackenzie poruszał się w tej chwili wolno po pokojach Brady'ego

z kalibrowaną metalową skrzynką w jednej ręce, przenośną anteną

w drugiej i w słuchawkach na uszach. Poruszał się świadom celu, jak

ktoś, kto wie, co robi. Wkrótce znalazł to, czego szukał.

Wróciwszy do baru skierował się prosto do rodzinnego obozowiska

Bradych.

- Dwie sztuki -- oznajmił.

- Dwie sztuki czego, wujku Donaldzie? - spytała słodziutko Stella.

- Kiedy wreszcie zaczniesz tresować swoją niepoprawnie wścibską

córkę? - zwrócił się Mackenzie do szefa.

- Zrezygnowałem z tresury. Nie dałem rady. A zresztą, to sprawa

matki --- odparł Brady i głową wskazał sufit. -- Znalazłeś wszystkie?

- Tak sędzę.

Nadszedł również Dermott z meldunkiem.

- O, George. Jak ci poszło? - spytał Brady.

- Reynolds robi wrażenie chętnego do współpracy. Niestety, wszys-

tkie akta są trzymane w dyrekcji w Edmonton. Twierdzi, że dokopanie

się do nich i przewiezienie ich tu potrwa do późnego wieczora albo i do

jutra rana.

- Jakie akta? - spytała Stella.

- Tajemnica państwowa - odrzekł Brady. - Trudno, nie ma rady.

Jeszcze coś?

- Oczywiście nie ma sprzętu do daktyloskopii.

- Załatw to po obiedzie.

- Mówi, że sam go załatwi. Najwidoczniej szef policji to jego kumpel.

Jego zdaniem szef policji może być trochę wkurzony, że nie zgłoszono

mu przestępstwa od razu - powiedział Dermott i uśmiechnął się do

Stelli. - Nie pytasz "jakiego przestępstwa"?

- Melduję posłusznie, że nie, panie Dermott, według rozkazu! - od-

parła, ściągając ponętnie usta. - Ja nigdy o nic nie pytam! Wolno mi

tylko usługiwać, cerować i sprzątać.

- Reynolds może przecież powiedzieć, że z początku uważał to za

wypadek - rzekł Brady

- Ten szef policji ma pewnie sokoli wzrok i jest do tego odpowied-

nio bystry.

- Tak... Reynolds będzie się musiał gęsto tłumaczyć. A co z zatoką

Prudhoe?

- Połączenie będzie za godzinę. Dadzą mi znać.

- Dobrze - powiedział Brady i skupił uwagę na Stelli. - Dziś rano

poznaliśmy czarującą dziewczynę, no nie, George? Zapiera dech, jak

się na nią patrzy. Prawda, panowie?

- Bezsprzecznie - potwierdził Mackenzie.
- Ale wstręciuchy - powiedziała Stella patrząc na Dermotta.
- Jeden wart drugiego - odparł Dermott. - Ale ona jest naprawdę miła.
- To sekretarka dyrektora kopalni - wyjaśnił Brady. - Corinne Delorme. Pomyślałem, że może chciałabyś ją poznać. Powiedziała, że chce poznać ciebie. Musi znać wszystkie nocne kluby, dyskoteki i inne spelunki w Forcie McMurray.
- Powiem ci coś, tato - odrzekła Stella. - To nie tu. Nie wiem, jak tu jest w lecie, ale w środku zimy to miasto jest martwe. Mogłeś nas ostrzec, że leży pod biegunem.

6 -- Athabaska

- Co za celne spostrzeżenie. Jakaż wspaniała znajomość geografii. To mi wykształcenie - powiedział Brady nie adresując tych słów do nikogo. - Może jednak powinnaś była zostać w Houston. Stella spojrzała na matkę.
- Mamo, czy ja dobrze słyszę? - spytała, z wyrzutem wskazując głową ojca, tak że jasne włosy spadły jej na twarz.

Jean uśmiechnęła się.

- Tak. Prędzej czy później, moja droga, musisz spojrzeć prawdzie w oczy: twój ojciec jest ni mniej, ni więcej tylko przeraźliwym starym hipokrytą.

- Ale on zawlókł nas aż tu, zmuszając nas do tego narzekaniem i krzykiem, a teraz O dziwo, zabrakło jej słów.

Jeżeli rumiana twarz Brady'ego mogła odzwierciedlać jakieś uczucia, to w tej chwili malowało się na niej zmartwienie.

- No proszę, skoro stwierdziłaś, że ci się tu nie podoba, to może wrócisz do Houston - powiedział głosem, do którego wkradła się nuta smutku. - Jest tam teraz prawie dwadzieścia stopni ciepła.

Zapadła cisza. Brady spojrział na Dermotta, a Dermott na Brady'ego.

Jean popatrzyła na nich obu.

- Dzieje się coś, czego nie rozumiem - powiedziała. Brady spuścił oczy, więc zwróciła się do Dermotta. - George?

- Słucham panią?

- George! - powtórzyła. Spojrział na nią. - Nie nazywaj mnie panią.

- Tak, Jean - powiedział, westchnął i z pewnym przejęciem dodał:

- Szef firmy Brady jest nie tylko przeraźliwym starym hipokrytą, ale i przeraźliwym starym tchórzem. Chce, używając staroświeckiego wyrażenia z westernu, żebyście wyniosły się z miasta.

- Dlaczego? A co myśmy takiego zrobiły?

Dermott spojrział z nadzieją na Mackenziego.

- Nic nie zrobiliście. To on zrobił. . . albo zrobi lada chwila - powiedział Mackenzie i skinął głową na Dermotta. - To dość skomplikowane - dodał.

- Postanowiliśmy wykurzyć łotrów z ukrycia, zmusić do wyłożenia kart na stół - powiedział Dermott. - Don i ja mamy niemiłe przecucie, że mogą się zwrócić przeciwko firmie Brady, a zwłaszcza przeciwko jej szefowi. Ich reakcja może być gwałtowna - ci ludzie przestrzegają tylko własnych zasad. Myślimy, że Jima nie zaatakują. Świetnie wiadomo, że on nie da się zastraszyć. Tak samo jak wiadomo, czym jest dla niego rodzina. Jeżeli porwą ciebie, Stellę albo was obie, mogą wykombinować sobie, że zmuszą go do wyjazdu.

Jean wzięła Stellę za rękę.

- Bzdury - powiedziała. - Dramatyzowanie. Takie rzeczy już się nie zdarzają. Don, błagam cię...

Popatrzyła z niepokojem na córkę, potrząsnęła jej ręką i puściła ją.

Ale Mackenzie był niezłomny.

- Nie błagaj mnie, Jean. Kiedy odetną ci palec, na którym masz obrączkę, też będziesz powtarzać, że takie rzeczy już się nie zdarzają?

- spytał.

Zrobiła urażoną minę.

- Przepraszam, jeżeli zabrzmiało to brutalnie, ale takie rzeczy zda-

rzają się bez przerwy. Może nic aż tak złego się nie stanie, ale

nastawiam się na najgorsze. Inna postawa nie ma sensu. Musimy znaleźć

bezpieczne schronienie dla ciebie i córki. Jak Jim może działać spraw-

nie, jeżeli będzie miał was na głowie?

- On ma rację - mruknął Brady. - Pakujcie, proszę, manatki.

Podczas przemowy Mackenziego Stella siedziała z rękami splecionymi

na kolanach, jak uczennica, i przysłuchiwała się temu z posępną miną.

- Nie zrobię tego, tato - oświadczyła.

- Dlaczego?

- A kto będzie ci podawał daiquiri?

- Chodzi o coś więcej niż o ten przeklęty rum - wtrąciła ostro jej

matka. - Kto stanie się dla nich głównym celem, jeżeli my wyjedziemy?

- Tato - odpowiedziała bezbarwnym tonem Stella. Spojrzała groź-

nie na Dermotta. - Wiesz o tym dobrze, George.

- Wiem - odparł łagodnie. - Ale Donald i ja umiemy pilnować ludzi.

- To by dopiero było! Ktoś by was zastrzelił, wysadził w powietrze

czy coś w tym guście - wykrzyknęła i z pałającymi oczami rzuciła się

na oparcie fotela.

- Martwienie się nic nie pomoże - powiedziała uspokajająco Jean.

- Ale logika tak. - Przeniosła uwagę na Brady'ego. - Gdybyśmy

wyjechały, i tak byś się o nas zamartwiał, a my o ciebie. Więc

co by to dało?

Ponieważ Brady nie odpowiedział, mówiła dalej:

- Tak naprawdę liczy się tylko jedno. Nie tylko nie ucieknę od swojego męża, ale niech mnie diabli, jeżeli Jean Brady ucieknie przed kimkolwiek.

- A mnie niech wszyscy diabli, jeżeli ucieknie przed kimkolwiek

Stella Brady - powiedziała Stella. - No bo na przykład kto będzie dzwonił i przyjmował telefony? Czy wiesz, ile czasu spędziłam dziś przy telefonie.... Dzwoniąc do Anglii i tepe? Czte-ry-go-dzi-ny! - Wstała,

83

ostatecznie zdecydowana. - Jeszcze szklaneczkę, tato? - spytała, ostentacyjnie nastawiając ucho w jego stronę. - Przepraszam, nie dosłyszałam.

- Mówiłem o potworności babskich rządów.

- Coś takiego! - powiedziała z uśmiechem i poszła do baru.

Brady spojrzał spode łba na Dermotta i Mackenziego.

- Łładnie mi pomagacie. Dlaczego mnie nie poparliście? - spytał,

westchnął i zmienił temat. - A może byśmy coś zjedli? Obiad, a potem utnę sobie drzemkę. Co proponujecie na dzisiejsze popołudnie, dziewczyny?

Stella wróciła z napełnionymi szklaneczkami.

- Wybieramy się na sanki - odparła. - To będzie frajda!

- O mój Boże! To znaczy na dwór! - spytał Brady, posepnie patrząc na

śnieżne płatki przelatujące za olmem. - Pewnie, dla niektórych to frajda,

ale nie dla tych, co są przy zdrowych zmysłach. - Wstał z wysiłkiem.

- Wobec tego za dwie minuty w restauracji. Pozwól, George.

Odprowadził Dermotta na bok.

Z wielkim befsztykiem z polędwicy karibu, ćwiartką placka z borówkami i wspaniałym kalifornijskim burgundem z żołądku Brady przypatrywał się, jak ubrane w futra żona i córka wychodzą z hotelu głównymi drzwiami, i westchnął z zadowolenia czując symptomy fizycznego błogostanu.

- Tak, panowie, naprawdę myślę, że mimo wszystko mogę sobie pozwolić na krótką drzemkę. Wy też?

- Z przerwami - odparł Dermott. - Donald i ja pomyśleliśmy sobie, że weźmiemy do galopu Sanmobil i żeby dłużej nie zwlekać, przelecimy te nazwiska i akta.

- No, to dziękuję wam. Bardzo to ładnie z waszej strony. Nie budźcie mnie, chyba że będzie sądny dzień. O! Proszę, wracają nasze panie, co wcale nie jest niespodzianką. - Odczekał, aż żona podejdzie do stolika.

- Coś się stało?

- Coś się stało! - odparła z niezadowoleniem Jean. - W saniach, na siedzeniu woźnicy, siedzi dwóch mężczyzn. Dlaczego dwóch?

- Kochanie, nie znam się na tutejszych zwyczajach. Boisz się, że to homoseksualiści?

- Obaj mają pistolety - odrzekła ściszym głosem. - Niby ich nie

widać, ale jednak widać, rozumiesz.

- Funkcjonariusze Królewskiej Kanadyjskiej Policji Konnej mają prawo do noszenia broni. Zagwarantowane konstytucją.

Jean zmierzyła go wzrokiem, prychnęła z rezygnacją, odwróciła się

i wyszła. Brady rozpromienił się z zadowolenia.

- Podobno w kanadyjskiej policji mają bardzo przystojnych młodych policjantów - powiedział od niechcienia Mackenzie.

Poza pogawędką z pilotem Brady'ego, Fergusonem, Dermott spędził

popołudnie samotnie, siedząc w barze i pijąc jedną kawę za drugą.

Gdzieś w środku popołudnia wróciły Jean i Stella, z zarumienionymi

policzkami i w świetnych humorach. Okazało się, że Stella dowiedziała

się od ich eskorty o lokalu, w którym wieczorami zbiera się młodzież,

i zadzwoniła do Corinne Delorme do biura, zapraszając ją na wspólny

wypad. Nie wspomniała jednak, czy zamierzają zaprosić eskortujących

ją wcześniej policjantów, a Dermott o to nie pytał. Ustalono, że Brady

dokładnie sprawdzi lokal, zanim pozwoli im choćby się do niego

zbliżyć. Wkrótce potem Dermott przyjął telefon z Alaski. Z Prudhoe

dzwonił Bronowski. Powiedział, że John Finlayson wyjechał na stację

czwartą, ale spodziewają się, że wkrótce wróci. Że on, Bronowski, może

natychmiast podjąć starania o to, co chce Dermott, i załatwić w An-

chorage usługi fachowca od daktyloskopii.

O piątej zadzwonił Reynolds z wiadomością, że zdejmowanie odcisków palców posuwa się naprzód. Akta, których zażądał Dermott, dostarczono mimo wszystko na lotnisko w Edmonton i z lotniska w Forcie McMurray przewiezione zostaną prosto do hotelu. O wpół do siódmej zjawił się Mackenzie, wyglądający na wypoczętego, ale i pełen wyrzutów.

- Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś? - spytał. - Miałem zejść na dół kilka godzin temu.

- Prześpię się wieczorem - odparł Dermott. - Jesteś mi winien cztery godziny snu.

- Trzy i pół. Rozmawiałem z Houston, wytłumaczyłem im, o co nam chodzi, kazałem zaalarmować Waszyngton i Nowy Jork i podkreśliłem, jakie to pilne.

- Mam nadzieję, że ktoś, kto cię nieoficjalnie słuchał, wszystko to sobie zapisał.

- Na pewno zapisał - rzekł Mackenzie. - W podstawce telefonuzainstalowali podsłuch.

- To powinno ostatecznie poruszyć to gniazdo szerszeni. Miejmy nadzieję, że nie użądla Bogu ducha winnych ludzi. Co z Jimem?

- Schodząc zajrzałem do niego. Spał jak zabity.

O siódmej zadzwoniono z Sanmobilu. Dermott dał znak Mackenziemu, żeby posłuchał rozmowy przez dodatkową słuchawkę podłączoną z tyłu aparatu.

- Pan Reynolds? Mam nadzieję, że nie dzwoni pan ze złymi wiadomościami?
- Dla mnie one są złe. Kazali mi zamknąć przetwórnię na tydzień.
- Kiedy?
- Teraz. To znaczy, kilka minut temu. Mają się ze mną skontaktować za czterdzieści osiem godzin, żeby sprawdzić, czy wypełniłem rozkaz.
- Wiadomość przyszła z Anchorage?
- Tak.
- Telefonowali?
- Nie. To był teleks.
- Przesłali ją jawnie?
- Nie. Szyfrem. Szyfrem naszej firmy.
- Są bardzo pewni siebie, nie sądzisz? - spytał Dermott spojrzawszy na Mackenziego.
- Słucham? - odezwał się Reynolds.
- Mówiłem do Donalda Mackenziego. Przysłuchuje się naszej rozmowie. A więc orientują się, że wiemy, że zrobił to któryś z pracowników. Kto ma dostęp do szyfru?
- Wszyscy, którzy mają dostęp do kasy pancerniej. -
- To znaczy, ile osób?
- Dwadzieścia. Mniej więcej.

- Co pan zamierza?

- Porozmawiam z Edmonton. Jeżeli się zgodzą, to chcę wznowić produkcję w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

- Życzę powodzenia - rzekł Dermott, odłożył słuchawkę i spojrzał na Mackenziego. - I co teraz?

- Myślisz, że sądny dzień jest na tyle blisko, że należy obudzić szefa?

- Jeszcze nie. Ani on, ani my nie możemy nic zrobić. Wściec się można. Zadzwońmy do Anchorage. Założę się, że dostali list z identycznymi pogrózkami, domagający się zamknięcia rurociągu. - Dermott ujął słuchawkę, zamówił połączenie, słuchał przez chwilę i odłożył słuchawkę na widełki. - Każą czekać. Godzinę, dwie. Nie wiedzą.

chorage są doskonałe. Ale nie mogą ich dopasować do żadnej z osób figurujących w policyjnych kartotekach.

- Wszystko nam sprzyja - powiedział ponuro Mackenzie.

- Nie jest aż tak źle. Przyrzekli, że jutro dostaniemy odbitki fotograficzne tych odcisków. Mogą pasować do tych, które zamierzamy zebrać. Tych z Alaski.

- Na pewno z Alaski?

- A skąd?

Bo gdyby ktoś stąd zatrzymał się na krótko w Anchorage, to

byłoby to łatwo sprawdzić.

Zadzwoił telefon. Dermott podniósł słuchawkę.

- Anchorage? Nie, niemożliwe. Właśnie powiedziano mi... ach tak, rozumiem. - Spojrzał wymownie na Mackenziego.

- Policja - rzekł.

Mackenzie wziął dodatkową słuchawkę. Obaj słuchali w milczeniu.

Do baru weszła wyszykowana na tańce Stella, w czarnej jedwabnej sukience z cekinami i w kolorowych rajstopach, z płaszczem w rękę.

- A ty dokąd się wybierasz? - spytał Dermott.

- Wypuszczamy się z Corinne - odparła. - Najpierw coś przekąsimy, a potem tańce w dyskotecę.

- Ograniczysz swoją taneczną działalność wyłącznie do tego hotelu.

Nigdzie nie pójdziesz.

Kiedy skończyła krytyczną tyradę, nazywając go nadętym ważniakiem i mądryką, dodała: pan Reynolds powiedział, że możemy iść.

- Kiedy to powiedział?

kiem i mądryką, dodała:

- Dzwoniłyśmy jakąś godzinę temu.

- Pan Reynolds może ci dużo pozwalać.

- _e on wie, że idę tam z Corinne. Ona mieszka blisko hotelu.

Chyba nie myślisz, że pozwoliłby swojej sekretarce narażać się na niebezpieczeństwo?

- To nie ona się naraża. Ona nikogo nie obchodzi. Chodzi o ciebie. - Mówisz, jakbyś był przekonany, że mnie spotka coś złego - powiedziała Stella.

- Jedyne sposoby, żeby mieć pewność, że nic ci się nie stanie, to ostrożność. Zresztą przekonamy się, co powie twój ojciec.

- A skąd będzie wiedział, co jest bezpieczne, a co nie? Jak to sprawdzi?

- Na pewno zwróci się do czynników najwyższych, do szefa policji.

- przecież my już z nim rozmawialiśmy - oznajmiła Stella z olśniewającym uśmiechem.

- Przez telefon. Był u Reynoldsa. Mówi, że możemy iść. - Jeszcze raz uśmiechnęła się szelmowsko. - A poza tym będziemy pod opieką.

- Dziękuję. Bardzo dziękuję - powiedział Dermott i obaj odłożyli słuchawki.

- Wygląda, jakby nie mieli wątpliwości

- Są najzupełniej pewni. Odciski palców z budki telefonicznej w An-

- przyjaciół poznanych dziś po południu?

- Johna Carmody'ego i Billa Jonesa.

- rzekł Mackenzie. - Tak, to chyba zmienia postać rzeczy. O, jest Corinne - powiedział Dermott, skinął jej ręką, przedstawił dziewczyny sobie i przyjrzał się

im, kiedy odchodziły. - Tak, chyba trochę przesadzamy. - Spojrzał na drzwi. - Kiedy patrzę na ten duet, który właśnie wszedł, to myślę, że właściwie nie mamy się o co martwić.

"Ten duet" była to dwójka groźnie wyglądających, potężnych mężczyzn przed albo tuż po trzydziestce, sprawiających wrażenie, że nie tylko sami potrafią się obronić, ale również każdego, kto jest w ich towarzystwie. Dermott i Mackenzie wstali i poszli zapoznać się z nimi.

- Mogę się mylić, ale czy panowie nie są przypadkiem policjantami przebranymi za cywilów? - spytał Dermott.

- No proszę - odparł blondyn. - Jak tu wykonywać tajne zadania, jeżeli to się aż tak rzuca w oczy. Nazywam się John Carmody. A to Bill Jones. Mamy pewnie do czynienia z panami Dermottem i Mackenzie.

Panna Brady opisała nam panów.

- Wzięliście dzisiaj nadgodziny? - spytał Mackenzie, na co Carmody uśmiechnął się szeroko i odparł:

- Nadgodziny? Ma pan przed sobą dwóch rycerskich ochotników.

My kochamy naszą pracę. Zresztą dzisiejszą służbę trudno nazwać ciężką.

- Uważajcie na nie. Stella to piękna dziewczyna, ale kokietka i sprytcia. I jeszcze jedno: Jak panowie wiecie, obawiamy się, że ktoś może chcieć jej zrobić krzywdę. Albo uprowadzić. To tylko podejrzenie, ale nigdy nic nie wiadomo.

- Damy sobie radę.

- Jestem o tym przekonany. To bardzo miło z waszej strony. Naprawdę bardzo sobie to cenimy. Wiem, że pan Brady chciałby wam podziękować osobiście, ale ponieważ bawi w krainie snów, robię to w jego imieniu. Dziewczęta są tam. Mam nadzieję, że wieczór będzie udany.

Dermott i Mackenzie wrócili do stolika, gdzie zaczęli rozmawiać o wszystkim i o niczym. Potem znowu odezwał się telefon. Tym razem dzwoniło z Alaski, z zatoki Prudhoe.

- Mówi Tom Houston. Niestety, mam złe wiadomości. Sam Bronowski jest w szpitalu. Znalazłem go nieprzytomnego na podłodze w gabinecie Finlaysona. Wygląda, że uderzono go w głowę ciężkim przedmiotem.

Dostał w skroń, tam gdzie kości czaszki są najcieńsze. Doktor mówi, że może być pęknięta; właśnie kończą robić prześwietlenie. Sam na pewno ma wstrząs mózgu.

- Kiedy to się stało?

- Pół godziny temu. Nie więcej. Ale to nie wszystko. Nie ma Johna Finlaysona, zniknął wkrótce po powrocie z czwartej stacji pomp. Szukaliśmy wszędzie. Ani śladu. Nie ma go w żadnym budynku. Jeżeli jest na dworze w taką noc, to Zapadła złowieszczą cisza. - Długo nie wytrzyma. Silnie wieje i mocno sypie, a temperatura jest od minus trzydziestu do minus trzydziestu pięciu stopni. Wszyscy go szukają.

Może napadł go ten sam co Bronowskiego. Może, zamroczony, wyszedł

na dwór. A może zabrano go siłą, chociaż nie wyobrażam sobie, jak to

możliwe przy tylu ludziach. Przylecicie?

- Czy FBI i policja stanowa już są?

- Tak. Ale sprawy przyjęły nowy obrót.

- Wiadomość z Edmonton?

-- Tak.

- Każą wam zamknąć rurociąg?

- Tak, skąd pan wie?

- Wyszukają identyczne żądania, przysłali takie i tutaj. Pomówię

z panem Bradym. Jeżeli nie zadzwonię, to znaczy, że jesteśmy w drodze.

Dermott odłożył słuchawkę.

- Sądny dzień? Wystarczy, żeby budzić Jima? - spytał Mackenzie.

- Aż nadto.

Pilot Brady'ego Ferguson był nieszczęśliwy i miał po temu powód.

Przez większość lotu utrzymywał na ogół stały kontakt z ośrodkiem sterowania w Prudhoe i wiedział, że warunki meteorologiczne są niebezpieczne. Porywisty wiatr dął z prędkością sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę, pędzący śnieg ograniczał widoczność do paru metrów, a grubość śnieżnego tumanu oceniano do paru metrów lub więcej - nie były to więc idealne warunki do lądowania w ciemnościach szybkim odrzutowcem.

Ferguson miał wszelkie nowoczesne przyrządy pomocne przy nawigacji i lądowaniu, ale chociaż potrafiłby wylądować z założonymi rękami, gdyby musiał, to jednak wolał - zanim dotknie kołami ziemi - zobaczyć stały ląd. Na jego korzyść przemawiał fakt, że był skrajnym pesymistą - jego trzech pasażerów dobrze wiedziało, że nie byłby skłonny narażać własnego życia, nie mówiąc już o innych ludziach na pokładzie, i że by zawrócił, gdyby ryzyko było zbyt wielkie.

Brady, którego zbudzono z głębokiego snu i który był w podłym nastroju, prawie się nie odzywał podczas lotu na północ. Mackenzie i Dermott przespali większość podróży wiedząc, że ten lot jest dla nich być może na długo ostatnią okazją do snu.

Lądowanie, obfitujące w naciskanie i cofanie przepustnic, trudne, pełne podskoków, skończyło się jednak pomyślnie.

Widoczność zmaląła do sześciu metrów i Ferguson ostrożnie pełzał samolotem, aż zobaczył światła jakiegoś pojazdu. Kiedy otworzyły się

drzwi kabiny i wpadł tuman lodowatego śniegu, Brady nie stracił chwili czasu i puścił się swoim zwykłym słoniowatym kłusem do czekającego minibusu. Za kierownicą samochodu siedział Tim Houston, zastępca poszkodowanego Bronowskiego.

- Dobry wieczór, panie Brady - powiedział. Na jego twarzy nie było uśmiechu. - Parszywa noc. Nie pytam, czy mieliście panowie

dobry lot, bo wiem, że nie. Obawiam się, że nie pospaliście sobie, odkąd przyjechaliście na północny zachód.

- Jestem wykończony - poskarżył się Brady, nie wspomniawszy, że zanim wyleciał z Fortu McMurray, spał sześć godzin. - Są jakieś wiadomości o Finlaysonie?

- Żadnych. Przeszukaliśmy dokładnie wszystkie budynki, wszystkie pompownie, wszystko, do ostatniej szopy, w promieniu kilometra.

Dopuszczaliśmy nikłą szansę, że pojechał do ośrodka ARCO, ale i tam go nie znaleźli.

- Co pan przypuszcza?

- Że nie żyje. Na pewno zginął - odparł Houston potrząsając głową. - Jeżeli nie schował się gdzieś pod dachem, to nie przeżył nawet jednej czwartej czasu, jaki minął od jego zniknięcia. Jeszcze bardziej upewnia o tym to, że nie miał na sobie futra, w którym wychodził na dwór. A bez futra można przeżyć najwyżej dziesięć minut, jeżeli w ogóle.

- FBI i policja coś znalazły?

- Nic. Fatalna pogoda, panie Brady.

- Widzę - powiedział Brady z przejęciem i zadygotał. - Z właściwym poszukiwaniem będziecie chyba musieli poczekać do świtu?

- Jutro będzie za późno. Nawet teraz jest już za późno. Zresztą jeżeli nawet jest gdzieś tutaj, to i tak mało prawdopodobne, że go znajdziemy.

Możemy go nie znaleźć aż do ocieplenia i stajania śniegów.

- Myśli pan, że go przysypało? - spytał Mackenzie.

- Tak. Może leżeć w wąwozie albo przy drodze, nasze drogi są zbudowane na piętnastometrowym żwirowym nasypie, i spoczywać na dnie rowu, gdzie nawet najmniejszy wzgórek nie zdradzi tego miejsca.

Houston wzruszył ramionami.

- Co za śmierć - powiedział Mackenzie.

- Pogodziłem się z faktem, że nie żyje, i może to zabrzmieć niestosownie, ale taka śmierć nie jest najgorsza - rzekł Houston. - Być może jest ona najłżejsza. Nie cierpi się, po prostu się zasypia i już nie budzi.

- Mówi pan o tym tak, jakby to była niemal przyjemność - powiedział Dermott. - Co z Bronowskim?

- Czaszkę ma całą. Silne stłuczenie. Doktor Blake sądzi, że to tylko lekki wstrząs mózgu. Kiedy wyjeżdżałem z obozu, Bronowski zaczynał się ruszać, jakby wracał do przytomności.

- Nic się nie wyjaśniło w jego sprawie?

- Nie. Bardzo wątpię, czy się wyjaśni. Tylko Sam mógłby coś powie-

dzieć albo zidentyfikować napastnika. Stawiam tysiąc do jednego, że

90 91

został zaatakowany z tyłu i wcale go nie zobaczył. Gdyby zobaczył, to napastnik zapewne uciszyłby go na zawsze. Co znaczy trzecie zabójstwo po dokonaniu dwóch?

- Pana zdaniem to ci sami ludzie?

Houston spojrział na Brady'ego ze zdumieniem.

- Zbyt duża zbieżność faktów, żeby to był kto inny, panie Brady

- odparł.

- Chyba tak. A ten teleks z Edmonton?

Houston podrapał się w głowę.

- Kazali nam zamknąć rurociągi na tydzień =- rzekł. --- Mówią, że sprawdzą to za czterdzieści osiem godzin.

- Użyli szyfru waszej firmy? - spytał Dermott.

- Wcale nie kryli się z tym, że są pracownikami firmy. Są niesamowicie bezczelni. A teleks był adresowany do pana Blacka. Tylko pracownik rurociągu mógł wiedzieć, że on tu jest. Przeważnie siedzi w Anchorage.

- Jak to przyjął? - spytał Dermott.

- Trudno powiedzieć. To skryty gość, nie zdradza swoich uczuć. Ale wiem, jak bym się sam czuł na jego miejscu. Jest dyrektorem naczelnym rurociągu na Alasce i to on za wszystko odpowiada.

Houston nie oddał Blackowi całej sprawiedliwości. Kiedy przyjechali do jego biura w ośrodku sterowania, był wyraźnie nieszczęśliwy i roz-targniony.

- Dziękuję, że pan przyleciał, panie Brady powiedział. - Domyś-lam się, że podróż nie była najprzyjemniejsza, zwłaszcza w środku zimowej nocy. - Obrócił się do wysokiego opalonego mężczyzny ze szpakowatymi włosami. - To pan Morrison z FBI - przedstawił go.

Morrison uściskał wszystkim trzem dłonie.

- Oczywiście słyszałem o panu, panie Brady. Założę się, że w Emira-tach nieczęsto stykał się pan z czymś takim.

- Nigdy. Tam nie ma ani tego przeklętego śniegu, ani zimna. Hous-ton mówi, że zabrnęliście w ślepą uliczkę. Finlayson przepadł jak kamień w wodę.

- Mieliśmy nadzieję, że przyda się ktoś ze świeżymi pomysłami.

-Niestety, źle pan ulokował te nadzieje. Śledztwo pozostawiam zawodowcom. Ja, a także moi koledzy, zajmuję się wyłącznie dochodze-niem w sprawach sabotażu, chociaż w tym przypadku jasne jest, że sabotaż i przemoc mają wspólne źródło. Oczywiście zdjęliście odciski palców w biurze Finlaysona?

- Od dołu do góry. Setki odcisków, a chyba żadnego z nich pożytku.

Są tylko te, które powinny tam być.

- To znaczy, że ich właściciele są wszyscy upoważnieni do od-

wiedzenia tego biura?

- Tak - potwierdził Morrison kiwając głową.

Brady nachmurzył się.

- A ponieważ jesteśmy pewni, że ten typ to pracownik rurociągu,

każdy z tych odcisków może należeć do niego.

- Czy trafiono na ślad przedmiotu, którym uderzono Bronowskiego?

- spytał funkcjonariusza FBI Mackenzie.

- Nie. Doktor Blake uważa, że cios zadano kolbą pistoletu.

- Gdzie jest ten doktor? -- spytał Dermott.

- W izbie chorych, z Bronowskim, który właśnie odzyskał przytomność. Jest nadal oszołomiony i mówi od rzeczy, ale chyba wydobrzeje.

- Możemy się z nim zobaczyć?

- Nie wiem - odparł Black. - Z doktorem na pewno. Ale nie wiem, czy pozwoli panom na rozmowę z Bronowskim.

- Nie jest z nim najgorzej, skoro jest przytomny - rzekł Dermott.

- To barażo pilne. Tylko Bronowski może nam dostarczyć wskazówek, co się stało z Finlaysonem.

Kiedy przybyli do izby chorych, Bronowski rozmawiał całkiem przytomnie z doktorem Blake'em. Był bardzo blady, prawą stronę głowy miał wygoloną, a na skroni wielki plaster od czubka głowy aż do ucha.

Dermott popatrzył na doktora, wysokiego, śniadego mężczyznę z prawie trupią twarzą i haczykowatym nosem.

- Jak się czuje pacjent? - spytał.

- Przychodzi do siebie. Rana nie jest groźna. Solidnie go ogłuszono;

każdego by to zamroczyło. Będzie go bolała głowa przez kilka dni.

- Mam do Bronowskiego kilka pytań.

- Dobrze, ale krótkich.

Doktor Blake skinieniem głowy powitał towarzyszy Dermotta.

- Widział pan, kto pana stuknął? - spytał Dermott.

- Czy widziałem?! - wykrzyknął Bronowski. - Nawet go nie słysza-
łem. Zacząłem zdawać sobie sprawę z czegokolwiek dopiero, kiedy
ocknąłem się w tym łóżku.

- Wie pan, że zaginał Finlayson?

- Nie. Jak długo go nie ma?

- Kilka godzin. Musiał zaginać, zanim pana rąbnięto w głowę. A czy
w ogóle widział go pan? Rozmawiał pan z nim?

- Tak. Opracowywałem te raporty, o które pan prosił. Pytał o naszą
rozmowę przez telefon, a potem wyszedł. - Bronowski zastanowił się.

93

- Więcej go nie widziałem - powiedział i spojrzał na Blacka. - Czy te
dokumenty, które opracowywałem, leżą jeszcze na stole?

- Tak. Widziałem je.

- A czy mógłby pan z łaski swojej schować je do kasy pancерnej? Są
poufne.

- Schowam je - przyrzekł Black.

- Moglibyśmy porozmawiać, panie doktorze? - spytał Dermott.

- Przecież rozmawiamy - odparł Blake, patrząc na niego z góry krytycznym okiem.

= Chce pan, żebym mówił przy wszystkich o moich odmrożeniach i gościu? - spytał Dermott, uśmiechając się z przymusem.

- Wygląda pan na zupełnie zdrowego - powiedział doktor Blake, kiedy znaleźli się w gabinecie przyjęć.

- Dokucza mi tylko mój zaawansowany wiek. Był pan na stacji pomp numer cztery?

- A, więc o to chodzi. Dlaczego nie chciał pan mówić o tym tam?

- Ponieważ z natury jestem ostrożny, nieufny i podejrzliwy.

- Pojechałem tam z Finlaysonem - wyjaśnił doktor Blake, krzywiąc się na to wspomnienie. - Wszystko było w strasznym stanie. Również dwóch zamordowanych.

- Istotnie - potwierdził Dermott. - Zrobił pan sekcję zwłok?

- Ma pan prawo o to pytać? - spytał Blake po chwili.

Dermott potwierdził skinieniem głowy.

- Owszem, panie doktorze. Wszyscy jesteśmy zainteresowani zwycięstwem sprawiedliwości. Staram się ustalić, kto zamordował tamtych dwóch. Teraz już być może trzech, jeśli Finlayson się nie znajdzie.

- No więc dobrze - powiedział Blake. - Zrobiłem sekcję zwłok.

Przyznam, że była bardzo powierzchowna. Jeżeli ktoś dostaje kulę

w czoło, nie ma sensu sprawdzać, czy przypadkiem zamiast tego nie umarł na atak serca. A sądząc z ich zmasakrowanych ciał, już sam podmuch wybuchu wystarczyłby, żeby ich zabić.

- Kule tkwiły w głowach?

- Tkwiły i nadal tkwią. Pistolet o małej prędkości strzału. Wiem, że powinny być wyciągnięte, ale to zadanie lekarza policyjnego, a nie moje.

- Przeszukał ich pan?

Blake z posępną miną uniósł brwi.

- Mój drogi panie, jestem lekarzem, a nie detektywem. Po co miałbym ich przeszukiwać? Zauważyłem, że jeden z nich ma jakieś dokumenty w wewnętrznej kieszeni kurtki, ale ich nie przeglądałem. To wszystko.

- Nie miał broni? Olstra?

94

- Nie, mogę to zaświadczyć. Musiałem mu ściągnąć kurtkę i koszulę.

Nic takiego nie miał.

- Jeszcze jedno pytanie - powiedział Dermott. - Czy zauważył pan palec wskazujący prawej ręki tego mężczyzny?

- Złamany tuż pod kostką? Na swój sposób to dziwne złamanie, ale mogło powstać z różnych przyczyn. Proszę pamiętać, że podmuch cisnął ich z całą siłą na maszyny.

- Dziękuję, że okazał mi pan cierpliwość - powiedział Dermott,

ruszył do drzwi i odwrócił się. - Zabici są nadal na stacji czwartej?

- Nie. Przewieźliśmy ich tutaj. O ile wiem, ich rodziny chcą ich pochować w Anchorage i jutro zostaną przewiezieni samolotem.

Dermott rozejrzył się po gabinecie Finlaysona.

- Czy od znalezienia Bronowskiego coś tu się zmieniło? - spytał Blacka.

- Musiałby pan spytać Finlaysona. W tym czasie byłem po drugiej stronie pola naftowego u mojego odpowiednika z ARCO i dotarłem tu po dwudziestu minutach.

- Niektórych rzeczy oczywiście dotykano - wtrącił się do rozmowy agent FBI. - Moi ludzie musieli to zrobić, kiedy zdejmowali odciski palców.

Mackenzie wskazał głową żółtawe teczki na biurku Finlaysona.

- Czy to są te raporty o strażnikach? - spytał. - Te, o których Bronowski mówi, że je przeglądał, kiedy go uderzono w głowę?

Black spojrzał na Houstona.

- Tak = potwierdził strażnik.

- Były tu też odciski palców - powiedział Mackenzie unosząc brwi.

- Są w kasie pancernej -- odrzekł Houston.

-Chcielibyśmy zobaczyć je oraz akta - powiedział Dermott.

- A właściwie wszystko, co jest w tej kasie.

- Ależ w tej kasie przechowuje się wszystkie tajne dokumenty naszej

firmy - zaproponował Black.

- Właśnie dlatego chcemy je zbadać.

Black zacisnął usta.

- Z tym będzie trudno, panie Dermott - powiedział.

- Jeżeli będziemy mieli związane ręce, możemy wracać do Houston.

A może ma pan coś do ukrycia?

- Pan mnie obraża.

- Wcale nie - odezwał się Brady z głębi jedyne fotela w gabine-

cie. - Jeżeli ma pan coś do ukrycia, chcielibyśmy wiedzieć, co. A jeśli

95

nie, to proszę otworzyć kasę. Może pan być sobie szefem na Alasce, ale liczą się tylko ci z Londynu, a oni przyrzekli mi, że otrzymamy wszelką pomoc. Pan natomiast jest wyraźnie niechętny do współpracy. Muszę stwierdzić, że to mi daje do myślenia.

Usta Blacka mocno pobleadły.

- Można to odczytać jako zawołowaną groźbę, panie Brady - rzekł.

-- Niech pan to odczytuje, jak pan chce. Rozmawialiśmy już na ten

temat wcześniej z Johnem Finlaysonem, który wybrał się na pieszą

wycieczkę albo na coś jeszcze mniej przyjemnego. Pomaga nam pan

albo wyjeżdżamy... a pan będzie się musiał wytłumaczyć przed Lon-

dynem ze swojej tajemniczości.

- Ja nie mam tajemnic. W najlepszym interesie firmy...

- Najlepszym interesem dla pańskiej firmy jest utrzymać produkcję ropy i odciąć odwrót mordercom. Jeżeli nie da nam pan przejrzeć zawartości tej kasy, nasuwa się tylko jeden wniosek: że z jakiegoś powodu utrudnia nam pan działanie w najlepszym interesie pańskiej firmy.

Brady nalał sobie daiquiri, jak gdyby na znak, że zakończył udział w dyskusji.

Black poddał się.

- A więc dobrze - powiedział i zacisnął wargi tak, że stały się prawie niewidoczne. - Będąc, że tak powiem, pod przymusem i protestując, zgadzam się na to, moim zdaniem, oburzające żądanie. Klucze są w biurku pana Finlaysona. Życzę panom dobrej nocy.

- Chwileczkę - powiedział Dermott tonem ani odrobinę bardziej przyjaznym niż Black. - Czy ma pan akta wszystkich pracowników rurociągu?

Widać było, że Black rozważa wystąpienie z kolejnym protestem, ale rozmyślił się.

- Tak. Ale bardzo skąpe. Trudno je nazwać aktami, to po prostu krótkie notatki, głównie na temat poprzedniego zatrudnienia.

- Gdzie one są? Tutaj?

- Nie. Tu trzymamy tylko akta strażników, a to dlatego, że Bronowski uważa Prudhoe za swoją bazę. Resztę akt trzymamy w Anchorage.

- Chcielibyśmy je obejrzeć. Czy może nam pan załatwić dostęp

do nich?

- Załatwię.

- Od doktora Blake'a dowiedziałem się, że leci pan jutro do Anchorage. Czy to duży samolot?

- Za duży - odparł Black, w którym odezwał się księgowy. - Boeing 737. Innego na jutro nie można załatwić. A dlaczego pan pyta?

- Przynajmniej jeden z nas zechce być może zabrać się przy okazji tym samolotem - odparł Dermott. - Moglibyśmy, na przykład, wziąć te raporty. Znajdą się wolne miejsca?

- Tak - odparł Black. - Nie ma więcej pytań, jak sądzę?

- Jedno. Otrzymał pan dziś z Edmonton teleks z pogrózkami, nakazujący panu wyłączyć rurociąg. Co pan zamierza zrobić?

- Oczywiście kontynuować produkcję - odrzekł Black, starając się uśmiechnąć sarkastycznie, ale nie była to odpowiednia chwila. - Zakładając, że przestępcy zostaną aresztowani.

- Gdzie jest ten teleks?

- Ma go Bronowski. Być może przy sobie. Albo w swoim biurku.

- Znajdę go.

- Wątpię, żeby Bronowski był zadowolony z tego, że szpera pan w jego rzeczach.

- Nie ma go tutaj, tak czy nie? A poza tym to pracownik straży. On to zrozumie - powiedział Dermott i potrząsnął głową. - A pan pewnie

nigdy.

- Nie - odparł Black. - Dobranoc.

Obrócił się na pięcie i wyszedł. Nikt nie odpowiedział mu "dobranoc".

- No, no, no! - wykrzyknął Brady. - W ciągu trzech minut z zegar-

kiem w rękę zyskałeś sobie przyjaciela na całe życie. Nie wiem, jak ty

to robisz, George. Szkoda, że zachowuje się tak podejrzanie, bo inaczej

byłby wymarzonym podejrzany.

- Strasznie obrażalski, ale jego specjalnością jest obrażanie innych

- rzekł Morrison. - Podobno słuźbista pierwszej klasy, ale przy tym

nadzwyczaj utalentowany.

- Chyba nie jest powszechnie lubiany. Ma przyjaciół?

- Tylko znajomych z kontaktów zawodowych. Na płaszczyźnie towa-

rzyskiej nikogo. Jeżeli ma jakichś przyjaciół, to dobrze ich ukrywa

- powiedział Morrison, starając się stłumić ziewnięcie. - Normalnie

już dawno powinienem być w łóżku. My z FBI staramy się kłaść do łóżka

o dziesiątej. Czy jeszcze na coś panom się przydam?

- Mamy dwie sprawy - powiedział Dermott. - Chodzi o ekipę

konserwatorów ze stacji czwartej. Ich szefem jest niejaki Poulson. Czy

mógłby pan sprawdzić ich przeszłość możliwie dokładnie?

- Prosi pan o to z konkretnego powodu? - spytał pracownik FBI

z nadzieją w głosie.

- Nie. Po prostu byli tam, kiedy dokonano sabotażu. Chwytam się

brzytwy. Zresztą mamy strasznie mały wybór - odparł z wymuszonym

uśmiechem Dermott.

96 97

7 - Athabaska

sprawa?

- Doktor Blake mbwi, że wczoraj przewieziono tu tych dwóch zabitych. Wie pan, gdzie ich umieszczono?

Morrison powiedział im gdzie, życzył dobrej nocy i wyszedł.

- Chyba pójde trochę odpocząć - oznajmił Brady. - Gdyby się niebo oberwało, to mnie zawiadomicie, byle nie w ciągu najbliższej półgodziny. A wy, jak się domyślam, dacie upust niezdrowej ciekawości i pójdziecie obejrzyć nieboszczyków.

Dermott i Mackenzie popatrzyli na ciała dwóch zamordowanych techników. Przykryto je białymi prześcieradłami. Nie oczyszczono ich nawet od czasu, kiedy widzieli je na czwartej stacji pomp. Być może było to niemożliwe. Być może nie znalazł się nikt z żołądkiem na tyle silnym, żeby to wykonać.

- Mam nadzieję, że przed zabraniem ich do Anchorage zaszyją ich w płótno albo coś, bo inaczej ich krewni wpadną w histerię - powiedział Mackenzie. - Jeżeli czegoś szukasz, to rób to szybko. Mnie to nie bawi. Nie bawiło również i Dermotta. Nie tylko widok był odrażający, ale

i odór przyprawiał o mdłości. Dermott podniósł rękę zabitego, którą przedtem krótko badał.

- Jak, twoim zdaniem, ten palec znalazł się w takiej pozycji? - spytał.

Mackenzie ukląkł i zmarszczył nos.

- Może to zabrzmie głupio, ale mógł zostać wyłamany szczypcami

- odparł. - Tylko że spalenizna zatarła wszelkie ślady, które mogły być na skórze.

Dermott podszedł do umywalki, zmoczył chusteczkę i oczyścił przypalone miejsce na palcu, na ile się dało. Czarna zwęglona warstwa zesza zaskakująco łatwo. Skóry nie udało się oczyścić - przypaliła się zbyt głęboko - ale została oczyszczona na tyle, że pozwoliło to na bliższe oględziny.

- To nie szczypce - zawyrokował Mackenzie. - Żeby złamać kość, szczypce musiałyby wbić się w ciało i zostawić ślady. Śladów nie ma, więc to nie szczypce. Ale zgadzam się z tobą: kość złamano umyślnie.

Dermott zdjął trochę węgla z nadpalonego ubrania i rozmazał go na oczyszczonym kawałku skóry tak, że nie było widać, że ją wycierano.

Rozpiął kurtkę zabitego i wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni - była pusta.

- Dokumenty i legitymacje dostały skrzydeł i wyfrunęły. Z czyjąś pomocą oczywiście - powiedział Mackenzie.

- Tak. Może to robota Poulsona albo któregoś z jego kumpli. Mógł to zrobić Bronowski, kiedy był tu wczoraj. Albo nasz sympatyczny lekarz we własnej osobie.

-- Blake? Wygląda jak bliski krewny Drakuli - rzekł Mackenzie.

Dermott ponownie wziął wilgotną chusteczkę i oczyścił miejsce na czole zabitego, wokół dziury po kuli. Przyjrzał się uważnie ranie.

- Widzisz to co ja? - spytał.

Mackenzie pochylił się nisko i przyjrzał się uważnie.

- Ponieważ bezpowrotnie straciłem sokoli wzrok, jaki miałem w młodości - powiedział, pochylony - mógłbym to dojrzeć za pomocą szkła powiększającego. - Wyprostował się. - Zdaje mi się, że widzę brązowe plamki od oparzeń po spalonym prochu.

Jak poprzednio, Dermott posmarował węglem oczyszczone miejsce.

- Dziwne, ale moja wyobraźnia pracuje tak samo jak twoja. Tego gościa zastrzelono z bliska. Scenariusz wskazuje, że nawet z bardzo bliska.

Morderca prawdopodobnie trzymał technika pod lufą i go obszukiwał. Nie wiedział jednak nie tylko tego, że technik ma pistolet, ale że go wyjmie.

Jakkolwiek było, musiał to zauważyć na czas i strzelić - być może nie starczyło mu czasu na bardziej wyszukane użycie broni. W ręce technika, tej z pistoletem, musiał nastąpić skurcz mięśni, nieodwracalny, co się zdarza przy gwałtownej śmierci. Chcąc usunąć pistolet, morderca szarpnął tak mocno, że złamał facetowi palec wskazujący. Nie sądzisz, że to tłumaczy dziwny kąt, pod którym wyłamano palec?

- Chyba masz rację. W każdym razie jest to jakieś wytłumaczenie

- powiedział Mackenzie marszcząc brwi. - W twoim scenariuszu tylko

jedno się nie zgadza. Przede wszystkim, po co był mordercy ten

pistolet? Przecież miał własny.

- Oczywiście, ale nie mógł go użyć drugi raz - odparł Dermott.

- A ściślej, nie mógł go zachować. Zobaczył, że z tyłu głowy nie ma

dziur po kulach, i zrozumiał, że utkwiły gdzieś w potylicy i że policja

może je porównać z jego bronią. A więc musiał się jej pozbyć. A to

oznaczało, że zostanie bez broni, przynajmniej na jakiś czas. Więc

zabrał pistolet technika. Domyślam się, że do tej pory pozbył się obu

i prawie na pewno ma już inną broń. W Stanach Zjednoczonych - a Rla-

ska to Stany - zdobycie broni krótkiej jest niezwykle proste.

- Wszystko się zgadza - powiedział wolno Mackenzie. - To może

być zawodowy morderca.

- To może być również psychopata.

- Naradźmy się z szefem - zaproponował Mackenzie. - Naradźmy

się, ale nie tylko. Jak znam naszego zacnego pryncypała, kazał już

przenieść połowę zawartości barku z odrzutowca do swojego pokoju.

9g 99

Interesuje cię jego zdanie?

Nie, interesuje mnie ta zawartość

Mackenzie cokolwiek przesadził. Ferguson przeniósł z samolotu najwyżej jedną dziesiątą zapasu alkoholu, co i tak było niemało. Mackenzie wypił już jedną szklaneczkę szkockiej i pił drugą. Spojrzał na Brady'ego, który siedział w łóżku podparty poduszkami i ubrany w niesamowicie purpurową piżamę, podkreślającą jeszcze jego korpulentne kształty.

- No i co myślisz o teorii George'a? - spytał.

- Wierzę w fakty i wierzę w tę teorię z tego prostego powodu, że nie widzę innej - odparł Brady przypatrując się swoim paznokciom.

- Moim zdaniem mamy do czynienia z wyszkolonym, bezwzględny i inteligentnym mordercą. Nie wątpię, że może to być grasujący bez przeszkód psychopata. Właściwie może ich być nawet dwóch, a to jeszcze mniej zachęcająca perspektywa. Problem polega na tym, że twoja teoria, George, niewiele nas posuwa naprzód. Nie wiemy, kiedy ten szaleniec znów zaatakuje. Jak mu w tym przeszkodzić?

- Możemy go przestraszyć, ot co - odparł Dermott. - Założę się, że już go zaniepokoiło to, że grzebiemy w odciskach palców i aktach, gdzie się tylko da. Jutro polecę do Anchorage, a ty i Mackenzie zostaniecie tu i coś załatwicie. - Dermott łyknął szkockiej. - Przynajmniej dla jednego powinno to być pewne urozmaicenie.

- Mógłbym się obrazić, ale strzały, którymi razi mnie mój niewdzięczny personel, to dla mnie nie pierwszozna. A właściwie, o czym

myślisz?

- O zdecydowanym zacieśnieniu kręgu podejrzanych. To jest naprawdę bardzo proste. Społeczność zatoki Prudhoe żyje w zagęszczeniu. Można powiedzieć, że zaglądają tu sobie do talerzy. To, co robi jeden, musi być znane przynajmniej kilku innym, a prawdopodobnie znacznie większej liczbie osób. Sprawdźcie wszystkich i ustalcie, kto ma pewne alibi na rano, kiedy w górach zamordowano techników. Jeżeli dwóch lub więcej ludzi, powiedzmy, uczciwie stwierdzi, że r był tutaj w czasie popełnienia zbrodni, to r-a można wyłączyć z grona podejrzanych. Do wieczora będzie wiadomo, ilu ich mamy. Założę się, że nie zostanie nawet garstka. Nie byłbym zaskoczony, gdyby nie został nikt. Pamiętajcie, że czwarta stacja pomp jest dwieście dwadzieścia pięć kilometrów stąd i można się do niej dostać tylko helikopterem. Wymaga to czasu, okazji i umiejętności latania śmigłowcem, a nie można odlecieć stąd niepostrzeżenie. Myślę, że będzie to bardzo proste zadanie.

Trudniejsze jest drugie śledztwo: dowiedzenie się, kto przebywał w Anchorage w dniu, kiedy po raz pierwszy dzwoniło stamtąd do Sanmobilu. Takich osób nie może być wiele. Pamiętajcie, że co trzy - cztery tygodnie pracownicy jadą na urlop, i to prawie wyłącznie do Fairbanks albo Anchorage. Ustalenie ich alibi będzie trudniejsze, bo niewielu znajdzie się takich, którzy mają świadków na to, co robili o szóstej w ciemny zimowy alaskański rano.

Jednak w tym wypadku bardziej interesują nas ci, którzy nie są wolni od podejrzeń, niż ci, którzy są od nich wolni. Przywiozę ze sobą fotokopie odcisków palców, które zdjęła policja. Odciski podejrzanych będziemy mogli zebrać bez większych kłopotów i jeżeli dopisze nam szczęście, porównać ich komplet z tymi z budki telefonicznej. Nie wiem, co myślicie o tym planie, ale mnie wydaje się on prosty.

- Mnie też - powiedział Brady. - Myślę, że we dwóch z Donem załatwimy tę robótkę bez problemu. Ale nie zapominaj, że Valdez to też spore miasto.

- Nie _zmiażdżę cię wzrokiem, ponieważ jesteś moim szefem - rzekł Dermott. - Kto z Valdez leciałby tam i z powrotem dwa tysiące sto kilometrów w zimową noc i lądując dla uzupełnienia paliwa zdradzał, kim jest? Kto leciałby samolotem albo helikopterem dwa tysiące sześćset kilometrów, jak obszył, żeby stuknąć Bronowskiego i być może uprowadzić Finlaysona, zwłaszcza że ledwo postawiłby tutaj nogę, natychmiast rozpoznano by, że to ktoś obcy?

- Muszę przyznać, że trafiłeś mi do przekonania - powiedział Mackenzie. - I to dwukrotnie.

- Tylko nie mów mi, że mogli przylecieć z którejś stacji pomp

- uprzedził Dermott. - Na stacjach nie mają helikopterów.

- Nic takiego nie powiedziałem - zaprotestował urażonym tonem

Brady. - Dobrze, przyjmujemy, że mordercy pochodzą z Prudhoe.

A co, jeżeli nic nie odkryjemy?

- Wtedy będzie twoja kolej wyskoczyć z następnym błyskotliwym pomysłem.

- Ciężki dzień - poskarżył się Brady. - Idziecie spać?

- Tak. Miałem zamiar przejrzeć dziś te odciski i akta, ale aż do powrotu z Anchorage nic mi one nie załatwią. Raporty też mogą poczekać. Odszukam tylko ten teleks z Edmonton, zawiozę go policji w Anchorage i przekonamy się, czy zdołają mi pomóc - powiedział Dermott i wstał. - Przy okazji, nie przyszło ci na myśl, że dziś może grozić ci w każdej chwili niebezpieczeństwo?

100 101

- Mnie!?! - wykrzyknął Brady, jakby Dermott proponował niesłychaną formę obrazy majestatu, po czym na jego twarzy pojawił się nieokreślony lęk.

- Zagrożona może być nie tylko twoja rodzina - ciągnął Dermott.

- Po co mieliby zawracać sobie głowę porwaniami, jeżeli mogą osiągnąć swoje strzelając ci w plecy, w które - mówiąc bez obrazy

- bardzo trudno chybić? Skąd wiesz, że w pokoju obok nie siedzi maniak o morderczych skłonnościach?

- Mój Boże! - zawołał Brady i pociągnął obficie daiquiri. Potem

usiadł prosto i uśmiechnął się. - Nareszcie zaczynamy działać! Donald,
wyjmij mi z walizki smitha-wesson. - Wziął pistolet, wcisnął go
głęboko pod poduszkę i z lekką nadzieją dodał: - A wam co, nic nie
grozi?

- Grozi - rzekł Mackenzie. - Ale nie tak bardzo jak tobie. Bez Jima
Brady'ego nie ma firmy Brady. Jesteś legendą. Gdyby nas zabrakło, ty
działałbyś nadal skutecznie. Ten maniak o morderczych instynktach nie
wygląda mi na takiego, co załatwia dwóch poruczników, mając pod
ręką kapitana.

- No, to dobranoc - powiedział Dermott. - Nie zapomnij zaraz po
naszym wyjściu zamknąć drzwi na klucz.

- Bez obawy. Macie broń, prawda?

- Oczywiście. Ale wątpię, żeby nam się przydała.

Rozdział dziewiąty

Dermott obudził się z tak ciężką głową i tak wyczerpany, że mógłby
przysiąc, że w ogóle nie spał. W rzeczywistości od chwili kiedy zgasił

światło, zamknął oczy i zasnął, minęła godzina. Nie obudził się sam.

Palilo się górne światło, a Morrison, poruszony tak, jak może być poruszony tylko agent FBI, potrząsał go za ramię. Dermott widział go jak przez mgłę.

- Przepraszam, że budzę - zaczął Morrison. - Ale pomyślałem, że zechce pan pójść. A właściwie to ja chcę, żeby pan poszedł.

Dermott spojrział na zegarek i skrzywił się.

- Jezus Maria, gdzie?

- Znaleźliśmy go.

Reszta snu i wszelka na niego ochota odeszły Dermottowi jak ręką

odjął.

- Finlaysona? - spytał.

- Tak.

- Nie żyje?

- Tak.

- Zamordowany?

- Nie wiemy. Musi się pan ciepło ubrać.

- Niech pan obudzi Mackenziego, dobrze?

- Oczywiście.

Morrison wyszedł. Dermott wstał i ubrał się odpowiednio do srogie-

go mrozu na dworze. Kiedy wciągał watowaną kurtkę z kapturem,

powrócił myślami do swojego pierwszego spotkania z Finlaysonem.

Przypomniały mu się jego starannie rozdzielone białe włosy, posiwiała jukońska broda, ubranie włóczęgi. Czy był dla niego za surowy? Teraz nie było sensu się o to martwić. Schował do kieszeni latarkę i wyszedł na korytarz. Stał tam Tim Houston.

- Więc pan też wie? - spytał Dermott.

103

- Ja go znalazłem.

- Zaprowadził mnie tam jakiś instynkt - odparł z wyraźną goryczą

Houston. - Taki świetnie wyostrzony instynkt, co to zaczyna działać o dziesięć godzin za późno.

- To znaczy, że gdyby pański instynkt zaczął działać dziesięć godzin temu, Finlayson byłby uratowany?

- Możliwe, ale prawie na pewno nie. Johna zamordowano.

- Zastrzelono go? Pchnięto nożem? Co się stało?

- Nic z tych rzeczy. Nie badałem go. Wiem, że pan Morrison i pan byście sobie nie życzyli, żebym go dotykał. Nie musiałem go badać.

Jest na dworze, temperatura minus trzydzieści pięć stopni, a on ma na sobie lnianą koszulę i dżinsy. W dodatku jest bez butów. Czyli że to morderstwo.

Dermott milczał, więc Houston mówił dalej:

- Poza tym, że nigdy by dobrowolnie nie wyszedł z budynku bez swojego polarnego ubrania, toby mu na to nie pozwolono. Zawsze ktoś jest w recepcji, oprócz osoby, która obsługuje czynną całą czas centralę telefoniczną. Z tego samego powodu nie jest też możliwe, żeby ktoś go stąd wyniósł.

- Ktoś, kto by taszczył trupa, od razu rzuciłby się w oczy. A więc?

- On mógł nawet jeszcze żyć. Myślę, że go ogłuszono w jego pokoju i wyrzucono przez okno. Zabiło go zimno. Idą pańscy przyjaciele.

Przyniosę więcej latarek.

Zimno na dworze zapierało oddech. Temperatura, jak powiedział Houston, wynosiła trzydzieści pięć stopni poniżej zera. Przy wiejącym z prędkością sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę wietrze spadała do minus pięćdziesięciu pięciu stopni. Nawet jeśli człowiek jest zabezpieczony przed chłodem jak niedźwiedź polarny, bez centymetra odkrytego ciała, musi oddychać, a w tych warunkach czynność ta, zanim organizm ogarnie odrętwienie, jest wyrafinowaną i rzadką katuszą.

Początkowo nie sposób odróżnić, czy wdycha się lodowate powietrze, czy przegrzaną parę - uczucie palenia przeważa nad wszystkim.

Jedyne, co można zrobić, żeby przetrwać, to oddychać czystym tlenem z odpowiednio izolowanego przed mrozem zbiornika, ale tych w Arktyce nie ma na zawołanie.

Houston zaprowadził ich za prawy róg głównego budynku. Po przejściu około dziesięciu metrów zatrzymał się, schylił i poświecił latarką

między podtrzymujące budynek słupy. Inne latarki skierowały się w tę samą stronę.

Ciało leżało twarzą do ziemi - nie rzucający się w oczy wzgórek, na pół przykryty sypiącym śniegiem.

- Ma pan bystry wzrok, panie Houston - krzyknął Dermott. -- Wiele by nie zauważyło. Wnieśmy go do środka.

- Nie chce pan dokonać oględzin tutaj, rozejrzeć się?

- Nie. Kiedy wiatr przycichnie, wrócimy i poszukamy śladów. A na razie nie chcę, żeby spotkał mnie los Finlaysona.

- Zgoda - powiedział Morrison. Trząsł się z zimna i szczął zębami.

Wydostanie ciała spod budynku nie sprawiło czterem mężczyznom żadnego kłopotu. Nawet gdyby Finlayson ważył dwa razy tyle, wyciągnęliby go dosłownie w kilka sekund, tak bardzo chcieli znaleźć się pod dachem. A Finlayson był chudy, przypominał siedemdziesięciokilogramową kłodę - tak mocno zamarzał. Kiedy wydostali go spomiędzy słupów, Dermott spojrział w górę na jasno oświetlone okno.

- Czyj to pokój?! - zawołał, przekrzykując wiatr.

- Jego! - odkrzyknął Houston.

- To by pasowało do pańskiej teorii!

- Owszem.

Kiedy wnieśli Finlaysona do recepcji, siedziało tam i stało kilku mężczyzn. Nikt się nie odezwał. Po chwili jeden z nich wysunął się

nieśmiało naprzód i spytał:

- Sprowadzić doktora Blake'a?

Mackenzie potrząsnął głową ze smutkiem.

- Nie wątpię, że to wspaniały lekarz, ale jeszcze żadna akademія medyczna nie prowadzi kursów wskrzeszania z martwych. Niemniej bardzo dziękuję.

- Czy jest tu jakiś pusty pokój, gdzie można by go ulokować?

- spytał Dermott. Houston popatrzył na niego zdziwiony, więc Dermott potrząsnął głową, jakby karmił się za gapiostwo. - Mózg stężał mi z zimna albo z niewyspania, albo z obu powodów naraz. Naturalnie, przecież jego pokój jest pusty. Macie tu jakąś gumową płachtę?

Zanieśli Finlaysona do jego pokoju i ułożyli na łóżku przykrytym podgumowaną płachtą.

- Czy jest tu osobny regulator ciepła? - spytał Dermott.

- Oczywiście - odparł Houston. - Jest nastawiony na dwadzieścia dwa i pół stopnia.

- Niech pan go podkreśli.

- Po co?

-Doktor Blake będzie chciał zrobić sekcję zwłok. Nie można zbadać kogoś, kto zamarznął na kamień. Nabywamy w tych sprawach

doświadczenia. Za dużo doświadczenia - powiedział Dermott i obrócił się do Mackenziego. - Pan Houston sądzi, że Finlaysona załatwiono w tym pokoju. Zabito, ogłuszono, nie wiemy. Sądzi też, że nasi "przyjaciele" pozbyli się go w prosty sposób: otworzyli okno i wyrzucili go w śnieżną zaspę.

Mackenzie podszedł do okna, otworzył je, zadrżał, kiedy podmuch lodowatego powietrza wpadł do środka, wychylił się i spojrzał w dół. W kilka sekund później okno było z powrotem szczelnie zamknięte.

- Na to wygląda - powiedział. - Znajdujemy się dokładnie nad miejscem, gdzie go znaleźliśmy. Tam w dole jest bardzo ciemno.

- Spojrzał na Houstona. - Czy w nocy ktoś tędy jeździ?

- Nikt. W dzień również. Nie ma po co. Droga się tu kończy.

- A więc mordercy wyszli przez frontowe drzwi albo przez to samo okno. Zrobili rzecz oczywistą: wepchnęli go pod budynek licząc, że do rana pokryje go śnieg - powiedział Mackenzie i westchnął. - A może zrobiło mu się niedobrze, otworzył okno, żeby łyknąć świeżego powietrza, wypadł i wczołgał się pod budynek?

- Wierzysz w to? - spytał Dermott.

- Nie. John Finlayson nie odetchnął świeżym powietrzem. On od niego umarł. To było morderstwo.

- No, to chyba trzeba zawiadomić szefa.

- Na pewno się ucieszy, nie sądzisz?

Brady był wściekły. Jego pochmurna mina zupełnie nie pasowała do purpurowej piżamy.

- Postęp na wszystkich frontach - powiedział. - Co wy dwaj zamierzacie zrobić?

- Właśnie po to tu przyszliśmy - odparł Mackenzie pojednawczym tonem. - Pomyśleliśmy, że może dasz nam jakieś wskazówki.

- Wskazówki? Jak mogę dać wam wskazówki, do cholery! Przecież spałem. No, zdrzemnąłem się na kilka minut - poprawił się Brady.

- Szkoda Finlaysona. Porządny człowiek, pod każdym względem. Co o tym myślisz, George?

- Jedno jest pewne. Podobieństwo pomiędzy tym, co tu się stało dzisiaj, a wypadkiem na czwartej stacji pomp jest zbyt wielkie, żeby było przypadkowe. Finlaysonowi przytrafiło się to samo co tym dwóm technikom. Za dużo zobaczyli albo usłyszeli, żeby im to wyszło na zdrowie. Rozpoznali osobę lub osoby, które dobrze znali i które znały ich, w momencie kiedy ci ludzie zajmowali się czymś, czego nie można łatwo wytłumaczyć. Musieli więc zostać uciszeni raz na zawsze.

106

Brady zastanawiał się nad czymś przez chwilę.

- Czy jest bezpośredni związek pomiędzy atakiem na Bronowskiego a śmiercią Finlaysona? - spytał.

- Za to bym nie dał głowy - odparł Dermott. - Związek wygląda na zbyt oczywisty. Można dowodzić, że Bronowski uszedł z życiem, bo nie przyłapał napastników na gorącym uczynku, cokolwiek to by było, a Finlayson zginął, ponieważ ich przyłapał. Ale to za łatwa argumentacja, za gładka.

- A co myśli Houston?

- Sprawia wrażenie, że nie wie nic więcej niż my.

"Wrażenie" - powtórzył Brady, chwytając się tego słowa. - Myślicie, że może wiedzieć więcej, niż mówi?

- W tej chwili nic nie mówi, ani nic nie twierdzi.

- Ale mu nie ufacie?

- Nie. I jeżeli już o tym mowa, nie ufam też Bronowskiemu.

- Ależ, człowieku, przecież jego bestialsko pobito.

- Pobito. Ale nie bestialsko. Blake'owi też nie ufam.

- Bo nie pomaga i nie współpracuje?

- To wystarczający powód.

Brady zmienił ton.

- Hm, nie powiem, żebyś liczył się z cudzymi uczuciami.

-Do diabła z cudzymi uczuciami. Popelniono trzy morderstwa!

A jeżeli już przy tym jesteśmy, to Blackowi też nie ufam.

- Nie ufasz Blackowi? Dyrektorowi naczelnemu rurociągu?

- Dla mnie on może być nawet królem Syjamu - odparł gwałtownie

Dermott. - Wśród ludzi, którzy zbili największe fortuny, znajdują się

najwięksi oszuści, jakich zna świat. Chcę tylko powiedzieć, że jest przebiegły, szczwany, zimny i nie chce z nami współpracować. Krótko mówiąc, nie ufam nikomu.

- Posłuchajcie, przyjaciele. Patrzmy na to ze złej strony - powiedział Brady. - Rozpatrujemy sprawę od wewnątrz, zamiast z zewnątrz.

Spróbujcie odpowiedzieć na takie pytania. Kto miałby interes w tym żeby zaatakować tutejszy rurociąg i piaski roponośne w Athabasce? Czy mówi wam coś fakt, że tutaj otrzymują polecenia z Edmonton, podczas gdy do Alberty przychodzą one z Anchorage?

- Nic - powiedział z przekonaniem Dermott. - Może to być zwykły przypadek, a w najlepszym razie prymitywna próba wprowadzenia nas w błąd. Oczywiście nie mogą być aż tak naiwni, żeby starać się o wywołanie wrażenia, że to Kanada próbuje przeszkadzać Ameryce w produkcji ropy, i na odwrót. To niedorzeczny pomysł. Przy obecnym

107

dotkliwym niedoborze ropy, co by zyskali dwaj sąsiedzi podryzując sobie nawzajem gardła?

- Więc kto może naprawdę na tym zyskać?

- OPEC - odparł cicho Mackenzie.

- Gdyby mogli położyć łapę na dostawach ropy z północy dla naszych dwóch krajów, zyskaliby na tym ogromnie zarówno pod wzglę-

dem dochodów, jak i wpływów politycznych. Oba nasze rządy jasno postawiły sprawę, że są gotowe na wszystko, żeby raz na zawsze uwolnić się od dokuczliwej zależności od ropy OPEC-u. To nie byłoby w smak naszym zagranicznym przyjaciółom. Trzymają nas pod lufą - lufą pistoletu nabitego ropą - i nie chcą z tego zrezygnować.

- Ale dlaczego właśnie teraz? - spytał Brady. - Chociaż znam odpowiedź równie dobrze jak wy.

- Bo mają w tej chwili w ręku potężne środki nacisku i za nic na świecie nie ustąpią z tej pozycji niemal dyktatorskiej siły. W obu krajach zapadają teraz decyzje. Gdyby Ameryka Północna stała się samowystarczalna w zaopatrzeniu w ropę, nasi szantażyści straciliby wszelkie atuty. Byliby zmuszeni wyrzec się swoich roszczeń do odgrywania w świecie roli dyktatorskiej, a ich dochody, co prawdopodobnie byłoby dla nich najgorsze, zaczęłyby kapać tak wolno, że musieliby porzucić plany przemysłowej i technicznej ekspansji, plany wywindowania swoich krajów na poziom końca dwudziestego wieku, z pominięciem etapów walki, pożyczek i procesów rozwojowych. Kiedy stawką jest przetrwanie, desperaci są gotowi do desperackich czynów.

Brady chodził jakiś czas po pokoju, wreszcie spytał:

-Naprawdę myślisz, że kraje OPEC podjęłyby przeciwko nam wspólną akcję?

- Ależ skąd. Połowa z nich ledwie odzywa się do drugiej połowy

i trudno sobie wyobrazić, żeby stosunkowo umiarkowane kraje, jak Arabia Saudyjska, brały udział w takiej połączonej akcji. Ale obaj dobrze wiemy, że wśród władców OPEC są kompletni szaleńcy, których nic nie powstrzyma przed zrealizowaniem własnych celów. Nie wolno też zapominać, że część z tych krajów udziela gościny instruktorom, którzy szkolą najbardziej bezwzględnych terrorystów.

- Co ty na to, George? - spytał Brady.

- Ta teoria da się świetnie obronić. Z drugiej strony od przyjazdu tutaj nie widziałem nikogo, kto choćby w najmniejszym stopniu przypominał Araba albo terrorystę ze Środkowego Wschodu.

- Więc co myślisz?

108

- Zgadując na chybił-trafił podejrzewałbym, że nasze kłopoty mają swoje źródło w dobrej, starej kapitalistycznej inicjatywie prywatnej.

A jeżeli tak, to źródeł tych kłopotów jest bez liku. Obawiam się, że nie ustalimy ich śledząc je z zewnątrz, musimy patrzeć na nie od środka.

- R co z motywem?

- Jasne, że to szantaż.

- Chodzi o gotówkę?

- Pozycję przetargową można jeszcze zdobyć tylko biorąc zakładników. Nikt nie trzyma zakładników. Więc co pozostaje? Są w trakcie

rozmiękczenia nas przez udowodnienie, że potrafimy spełniać swoje

groźby, kiedy tylko zechcą.

- Byle czym się nie obędą.

- Jasne. Przede wszystkim rurociąg i Sanmobil zainwestowały w sumie dziesięć miliardów dolarów. Każdy dzień przerwy w produkcji to dla nich strata kolejnych milionów. A najważniejsze, że oba nasze kraje na gwałt potrzebują ropy. Kimkolwiek są ci ludzie, trzymają nas nie pod lufą, ale pod armatą. Bezbronnych. Okup będzie wysoki. I mam wrażenie, że zostanie zapłacony.

- Kto go zapłaci? - spytał Mackenzie.

- Towarzystwa naftowe. Rządy. I jedno, i drugie włożyły w to pieniądze.

- Jeżeli raz się zapłaci szantażystom, to co ich powstrzyma przed powtórzeniem tego wszystkiego? - spytał Brady.

- Nic.

- Cholera, ale z ciebie pocieszyciel.

- Pozwolisz, że pocieszę cię jeszcze bardziej? Teorie Dona i moja mogą się ze sobą łączyć. Jeżeli to jest szantaż i mordercy dostaną pieniądze, to istnieje możliwość, że jakieś kraje OPEC zwrócą się do nich z propozycją, żeby za podwójną albo i potrójną cenę całkowicie zniszczyli źródło produkcji ropy i uciekli. Na twoich barkach spoczywa ogromna odpowiedzialność.

- W chwilach zmartwień i wielkich napięć jesteś, George, niewyczerpanym źródłem siły i współczucia - powiedział żałośnie Brady.

- Jeżeli nie zanosisz się na żadne twórcze pomysły, proponuję, żebyśmy wszyscy odpoczęli. Trzeba to przemyśleć i proponuję się poradzić samego siebie. W takie noce nie ma lepszego towarzystwa.

Kiedy budzik wyrwał go z głębokiego i dręczącego snu, Dermott nadal czuł się niewytłumaczalnie zmęczony. Nastąpiło to dokładnie o ósmej. Wstał niechętnie, wziął prysznic, ogolił się, poszedł do pokoju

109

Finlaysona i miał właśnie zapukać, kiedy drzwi otworzył doktor Blake.

O tej porze jego haczykowaty nos, zapadnięte policzki i oczy nadawały mu jeszcze bardziej trupi wygląd. Dermott pomyślał, że nie jest to twarz lekarza, który wzbudzałby nadzieję i zaufanie.

- O, proszę wejść, panie Dermott - powiedział Blake. - Skoń-

czyłem już sekcję Finlaysona. Miałem właśnie posłać po trumnę. Jego

i dwóch techników z czwartej stacji odsyłamy dziś o wpół do dziesiątej.

Podobno leci pan z nimi.

- Tak. Macie tu trumny?

- Uważa pan to za makabryczne? Owszem, przechowujemy kilka.

Poza tym, że ludzie umierają śmiercią naturalną, w tym fachu łatwo

o wypadki, dlatego musimy być przygotowani: na wszystko. Trudno sobie wyobrazić, że na każde skinienie przyleci tu przedsiębiorca pogrzebowy z Fairbanks czy Anchorage.

- Owszem - powiedział Dermott i skinął głową w stronę martwego mężczyzny. - Udało się panu ustalić przyczynę śmierci?

- Zazwyczaj potrzeba pełnej sekcji zwłok, żeby dowiedzieć się, czy ofiara umarła na wylew do mózgu, czy na atak serca. Na szczęście

- albo na nieszczęście - w tym przypadku nie było konieczne

- powiedział ponuro Blake. - Podejrzanie zamieniło się w pewność.

To, co w innych przypadkach byłoby naturalną przyczyną śmierci, tu jest nienaturalne. Johna Finlaysona zamordowano.

- Jak? Więc nie umarł z zimna?

-Nie posłużono się żadną ze zwykłych metod. Pozbawiono go

przytomności i zostawiono na mrozie, żeby umarł. W takim ubraniu

i w tak wyjątkowo niskiej temperaturze serce przestało, moim zdaniem,

pracować przed upływem minuty.

- Czym go uderzono?

-Workiem z piaskiem. W typowe miejsce, u podstawy czaszki.

Fachowo. Widać tu lekkie zasinienie i stłuczenie. Siniak pojawia się

tylko wtedy, kiedy krąży krew, a więc na pewno żył po uderzeniu.

Zabiło go zimno.

- A skąd w tej zakazanej i mroźnej dziurze napastnik wziąłby piach?

Doktor Blake uśmiechnął się. Dermott wolałby, żeby się nie uśmiechał

- długie, wąskie zęby jeszcze bardziej upodabniały jego twarz do trupiej czaszki.

- Jeżeli nie jest pan zbyt wrażliwy, może pan powąchać, czego użyli.

Dermott pochylił się i prawie natychmiast wyprostował.

- Sól - powiedział.

Blake skinął głową.

110

- Prawdopodobnie lekko wilgotna. Ogłusza nawet skuteczniej niż piach.

- Uczyli pana tego w akademii?

- Chodziłem swego czasu na kurs medycyny sądowej. Czy jeśli sporządzę i podpiszę akt zgonu, będzie pan uprzejmy oddać go w Anchorage?

- Oczywiście.

Potężny, krzepki, rumiany i nieodparcie pogodny John Ffoulkes

wyglądał raczej na zamożnego farmera niż fachowego, surowego starszego oficera policji. Wyciągnął butelkę whisky, dwie szklanki i uśmiechnął się do Dermotta.

- Wobec tej beznadziejnej prohibicji, której hołdują w Prudhoe,

może byśmy odbili to sobie w Anchorage...

- Mojemu szefowi spodobałby się pański styl pracy. Aż tak źle tam nie mieliśmy. Pan Brady twierdzi, że ma największy przenośny bar na północ od kręgu polarnego. I jest to szczerą prawdą.

- No, to żeby pomóc panu zatrzeć wspomnienia o podróży samolotem. Domyślam się, że nie była zbyt przyjemna?

- Strasznie rzucało, nie było ładnych stewardes, a w ładowni leciało trzech zamordowanych - trudno to nazwać przyjemnym lotem.

Ffoulkes przestał się uśmiechać.

- A, tak, ci zamordowani - powiedział. - To nie tylko tragiczna, ale i ogromnie nieprzyjemna sprawa. Otrzymałem meldunki od mojej policji stanowej i FBI. Ciekaw jestem, czy mógłby pan dodać coś do tego, co mi przekazali.

- Wątpię. Pan Morrison z FBI zrobił na mnie wrażenie znakomitego fachowca.

- Bo jest fachowcem, to mój bliski przyjaciel. Ale mimo to niech pan mi o tym opowie.

Relacja Dermotta była zarówno zwięzła, jak wyczerpująca.

- Zgadza się niemal dokładnie z innymi meldunkami - powiedział

Ffoulkes, kiedy Dermott skończył. - Ale niezbitych faktów nie ma?

- Niezbitych faktów brak. Są tylko podejrzenia.

- Tak więc jedyny ślad to odciski palców, które zdjęliśmy w budce

telefonicznej?

Dermott potwierdził skinieniem głowy. Ffoulkes wyjął z szuflady biurka żółtawą teczkę.

- Są tutaj. Niektóre dosyć zamazane, ale kilka jest nie najgorszych.

Jest pan ekspertem?

111

- Jak mam dużo szczęścia i potężną lupę, to je potrafię odczytać. Ale ekspertem nie jestem.

- Mam wspaniałego chłopaka. Pożyczyć go panu na dzień, dwa?

Dermott zawahał się.

- Bardzo pan uprzejmy. Ale nie chciałbym wchodzić na odciski panu Morrisonowi. Ma tam własnego specja od tych spraw.

- Nie tej klasy co nasz David Hendry. Pan Morrison nie będzie miał nic przeciwko temu.

Nacisnął guzik telefonu wewnętrznego i wydał polecenie.

David Hendry, uśmiechnięty blondyn, był zdumiewająco młody jak na pracownika policji.

- Ty masz szczęście - powiedział Ffoulkes, kiedy ich sobie przedstawił. - Co powiesz na wakacje w zimowej krainie czarów?

- W której zimowej krainie czarów, panie komendancie?

- Prudhoe.

- O Jezu!

- Doskonale, cieszę się, że sprawiłem ci miłą niespodziankę. A więc załatwione. Pakuj sprzęt i ubranie. Trzy futrzane kurtki powinny wystarczyć - włożone jedna na drugą. Kiedy odlatuje pański samolot, panie Dermott?

- Za dwie godziny.

- Zamelduj się za godzinę, David.

Hendry otworzył drzwi, żeby wyjść, ale ustąpił na bok, bo do pokoju wpadł właśnie chudy mężczyzna z białą jak u biblijnego proroka brodą.

- Stokrotnie cię przepraszam, John - powiedział nowo przybyły.

- Nie mogłeś gorzej trafić. Dwie sprawy w sądzie, dwa samobójstwa...

ludzie z dnia na dzień stają się coraz bardziej bezmyślni.

- Współczuję ci, Charles... tak jak, mam nadzieję, ty mnie. Doktor Parker, pan Dermott - przedstawił ich sobie.

- Aha! - wykrzyknął Parker patrząc na Dermotta ze źle ukrywanym brakiem entuzjazmu. - Więc to pan chce powiększyć ciężar moich nieszczęść?

- Nie z własnej woli, panie doktorze. Ściślej, chodzi o trzy ciężary.

- Niestety, dziś nie mogę się nimi zająć, panie Dermott. Jestem zawalony robotą, po prostu zawalony. Całkiem możliwe, że jutro też nie będę mógł się nimi zająć. Kompletni dyletanci.

- Kto?

- Moi dwaj asystenci. W najpracowitszym okresie roku złożyła ich

grypa. To młode pokolenie...

- To chyba nie ich wina.

- Lalusie. No, ale co z tymi trzema.

-- Co do dwóch jesteśmy pewni. Znajdowali się w najbliższym sąsiedztwie wybuchu. Potem zapaliła się ropa. Mocno ich pokiereszowało.

Już sam. dym mógłby ich wykończyć.

- Ale zginęli przedtem. No tak. Zabił ich wybuch, zostali spaleni, uduszeni. A więc niewiele pozostaje do roboty dla takiego starego konowała jak ja?

- Poza tym obaj mają gdzieś z tyłu czaszki kule wystrzelone z małą prędkością - rzekł Dermott.

- Ha! I chce pan, żebym je wyjął?

- Chcę nie ja, doktorze Parker. Chce tego policja stanowa i FBI.

Nie jestem policjantem, zajmuję się sprawami sabotażu na polach naftowych.

Parker miał zgorzkniałą minę.

- Mam nadzieję, że moje wysiłki nie pójdą jak zwykle na marne.

i Ffoulkes uśmiechnął się.

- Jakie daje pan szanse, że nie pójdą na marne, panie Dermott?

- spytał.

- Mniej więcej milion do jednego. Pistolet, z którego ich zastrzelono,

_ prawie na pewno wyrzucono z helikoptera gdzieś nad Górami Brooksa.

- A jednak poproszę cię o to, Charles - powiedział Ffoulkes.

Na doktorze Parkerze nie zrobiło to wrażenia.

- R co z tym trzecim? - spytał.

- To kierownik produkcji BP-Sohio w zatoce Prudhoe, John Finlayson.

- Boże święty! Dobrze go znam. A raczej... znałem.

- Tak - powiedział Dermott i skinął głową w stronę biurka Ffoulkesa. - Oto świadectwo jego zgonu.

Parker wziął je, nałożył binokle i przeczytał orzeczenie.

- Coś podobnego - powiedział z rozdrażnieniem. - Ależ to jest zwykle świadectwo lekarskie. Nie ma tu mowy o sekcji zwłok. - Wpatrzył się w Dermotta. - Sądząc z pańskiej miny, pan się z tym nie zgadza.

- Ani się zgadzam, ani nie zgadzam. Po prostu mnie ono nie zadowala.

- Miał pan do czynienia z medycyną, panie Dermott?

- Nie.

- A jednak pozwala pan sobie nie zgadzać się z moim kolegą po fachu?

- A więc pan go zna?

- Nawet o nim nie slyszalem - odparl doktor Parker i odetchnal glęboko. - Ale, do diaska, jest lekarzem.
 - Doktor Crippen tez nim byl.
 - Co pan chce przez to powiedziec?
 - Moze pan rozumiec moje slowa, jak pan chce - odparl beznamiety-nym tonem Dermott. - Ja nic nie sugeruje. Stwierdzam po prostu, ze jego badanie bylo pobiezne i pospieszne i ze mogle cos przeoczyć.
 - Chyba nie przyzna pan lekarzom boskiego prawa do nieomylnosci?
 - Nie - odrzekl Parker. Glos mial wciąz rozdrażniony, ale byl to juz tylko gniewny pomruk. - Czego pan chce?
 - Powtornej opinii.
 - To jest bardzo niezwykla prosba.
 - To jest bardzo niezwykle morderstwo.
- Ffoulkes popatrzył z zaciekawieniem na Dermotta i powiedzial:
- Wpadne jutro do Prudhoe. Nie ma to jak dodac do istniejacego balaganu odrobine chaosu.

Rozdzial_ dziesiaty

Dermott i David Hendry przylecieli z Anchorage do Prudhoe o zmierzchu jak ołów i stwierdzili, że pogoda znacznie się poprawiła, siła wiatru zmalała do dziesięciu węzłów, wierzchołek śnieżnego obłoku unosił się najwyżej półtora metra nad ziemią, widoczność w świetle reflektorów samolotu wróciła prawie do normy, a temperatura wzrosła od rana o przynajmniej dziesięć stopni. Pierwsza znajoma twarz, którą ujrzał Dermott w hallu budynku biurowego, należała do Morrisona z FBI, siedzącego z rudowłosym młodzieńcem ubranym bezsensownie w szare flanelowe spodnie i blezer. Morrison podniósł wzrok i uśmiechnął się.

- Wierzmy Johnowi Ffoulkesowi, nie ufamy FBI - powiedział i wskazał rudego towarzysza. - To Nick Turner. Niech pan nie zważa na jego ubranie, studiował w Orfordzie. Mój spec od odcisków palców. Po pana prawej ręce David Hendry, pański spec od odcisków palców.

- John Ffoulkes wyraził opinię, że co dwie pary oczu, to nie jedna

- powiedział spokojnie Dermott. - Nic nowego?

- Nic. R u pana?

- Właściwie strata czasu. Przyszło mi coś do głowy, kiedy wracałem.

Może byśmy zdjęli odciski palców w pokoju Finlaysona?

- Nic z tego. Już to zrobiliśmy.

- Czyściutki?

- Prawie. Sporo bezwartościowych zamazanych odcisków, które na pewno zostawił sam Finlayson, dwa należące do hydraulika, który robił przegląd, i jeden - da pan wiarę? - tylko jeden do "kocmołucha", który musi być prawdziwym geniuszem szmaty do kurzu i ścierki.

- Kocmołucha?

- Coś w rodzaju gospodarza. Sprząta i ściele łóżka

- A może jakiś inny pracuś działał tam ze ścierką?

Morrison wyjął dwa klucze.

115

- Klucz Finlaysona i klucz gospodarza - powiedział. - Odkąd zabrano stamtąd Finlaysona, noszę go w kieszeni.

- No to amen - powiedział Dermott i położył na niskim stoliku przed Morrisonem tekturową żółtawą teczkę. - Odciski palców z budki telefonicznej w Anchorage. A teraz muszę iść i zameldować się szefowi.

- Porównanie pańskich odcisków z Anchorage z tymi z biurowej kasy pancernej powinno rozerwać młodych dżentelmenów - powiedział Morrison.

- Nie wygląda pan na optymistę - rzekł Dermott.

Agent FBI uśmiechnął się.

- Z natury zawsze byłem optymistą - odparł. - Do chwili kiedy przekroczyłem czterdziesty dziewiąty równoleżnik.

Dermott zastał Brady'ego i Mackenziego oddającego się beczynności w dwóch jedynych fotelach, jakie stały w pokoju szefa. Popatrzył na nich bez życzliwości.

- Jakie to miłe i kojące widzieć was w tak dobrym samopoczuciu i wypoczętych.

- Miałeś ciężkie popołudnie, hmm? - zagadnął Brady i skinął ręką na zwarty szereg butelek na kredensie. - To ci przywróci ducha.

Dermott nalał sobie alkoholu i spytał:

- Są jakieś wieści z Athabaski? Jak rodzina?

- Świetnie, świetnie - odparł Brady ze śmiechem. - Stella przekazała mi sporo nowych szczegółów z Norwegii. O ile wiadomo, zdusili ten pożar. Już nie muszą być z nimi w kontakcie.

- To dobrze - powiedział Dermott popijając whisky. - Co porabiają dziewczyny?

- W tej chwili chyba zwiedzają kopalnię Sanmobilu, dzięki uprzejmości Billa Reynoldsa. Ci Kanadyjczycy są bardzo gościnni.

- Kto ich pilnuje?

- Brinckman, strażnik Reynoldsa, szef straży, pamiętasz, i jego zastępcę, Jorgensen.

Na Dermocie informacja ta nie zrobiła wrażenia.

- Wolałbym, żeby pilnowali ich ci dwaj młodzi policjanci.

- Z powodu? - spytał szybko Brady.

- Z trzech powodów. Po pierwsze, są znacznie sprawniejsi i bardziej kompetentni niż strażnicy Brinckmana. Po drugie, Brinckman, Jorgensen i Napier są najbardziej podejrzani.

- Dlaczego najbardziej?

- Bo mają klucze do zbrojowni Sanmobilu, bo mogli dać te klucze temu, kto dokonał sabotażu. Po trzecie, są strażnikami.

116

Brady uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Jesteś zmęczony, George - powiedział. - Zaczynasz mieć obsesję na punkcie strażników ze wspianego północnego zachodu.

- Mam nadzieję, że nie będziesz musiał żałować tych słów.

Brady spojrzał spode łba, ale nic nie powiedział, więc Dermott zmienił temat.

- Jak wam minął dzień? - spytał.

- Nie mamy nic nowego. Razem z Morrisonem przepytaliśmy wszystkich w bazie. Wszyscy mają żelazne alibi na tę noc, kiedy nastąpił wybuch na stacji czwartej. Tutaj wszystko jest jasne.

- Z wyjątkiem... - nie dał za wygraną Dermott.

- O kim mówisz?

- O Bronowskim i Houstonie.

Brady łypnął groźnie na swojego głównego agenta i potrząsnął głową.

- Powtarzam, George, masz obsesję. Do cholery, przecież wiemy, że obaj byli tam. Bronowski oberwał, a Houston wcale nie musiał znaleźć Finlaysona. Gdyby miał coś na sumieniu, to o wiele bardziej urządziłoby go, żeby padający śnieg usunął wszelki ślad po ofierze. Co ty na to?

- Mam trzy zastrzeżenia. To, że wiemy o ich obecności na stacji pomp, tym bardziej rzuca na nich podejrzenie.

- Gmatwasz sprawę - burknął Brady. - Jak ja nie znoszę takiego gmatwania.

- Nie wątpię. Ale zgodziliśmy się, że zamachowcy pracują przy rurociągu. Wyeliminowaliśmy wszystkich innych, więc to muszą być oni. . . tak czy nie?

Brady nie odpowiedział.

- A co do trzeciego - ciągnął Dermott. - Musi być jakiś powód, aczkolwiek pośredni, że Bronowski dostał po głowie, a Houston znalazł ciało. No, bo spójrzcie. Jaki dowód mamy na to, że Bronowskiego rzeczywiście napadnięto? Pewne jest tylko to, że leży w izbie chorych, z imponującym bandażem na głowie. Wątpię, żeby przytrafiło mu się cokolwiek złego. Wątpię, czy go uderzono. Podejrzewam, że gdyby zdjąć ten bandaż, okazałoby się, że skroń ma nie tkniętą, być może z wyjątkiem artystycznego pacnięcia gencjaną.

Brady zrobił minę, jakby modlił się o hart ducha.

- A więc poza tym, że nie ufasz strażnikom, nie ufasz też lekarzom?

- spytał.

- Niektórym ufam, niektórym nie. Już ci mówiłem, że podejrzewam

Blake ' a.

117

- A czy masz choć jeden niepodważalny fakt na potwierdzenie tych podejrzeń?

- Nie.

- No tak - rzekł Brady, nie rozwijając tego krótkiego stwierdzenia.

- Poza tym zrobiliśmy obławę na członków załogi Prudhoe, którzy byli w Anchorage w dniu, kiedy telefonowano - powiedział Mackenzie. - Zebrało się czternastu. Moim zdaniem nie wyglądają na ludzi, którzy mieliby coś na sumieniu. Ale Morrison z FBI połączył się z policją w Anchorage, podał ich nazwiska i adresy i poprosił, żeby sprawdzili, czy są notowani.

- Zebrałeś odciski palców tej czternastki, prawda?

- Tak. Zrobił to jeden z pomocników Morrisona. Taki chłopak po uniwersytecie.

- Nikt nie protestował?

- Nie. Byli bardzo chętni do współpracy.

- To żaden dowód. W każdym razie przywiozłem odciski palców znalezione w budce telefonicznej. Porównują je właśnie z odciskami palców tej czternastki.

- To nie potrwa długo - powiedział Mackenzie. - Może do nich zadzwonię? - Zadzwonił, słuchał przez chwilę, odłożył słuchawkę i rzekł do Dermotta: - Cassandra ze mnie.

- No tak - odezwał się Brady z marsem na czole, co było nie lada wyczynem u kogoś bez jednej zmarszczki na twarzy. - Wspaniali z Houston nadziali się na ślepy mur.

- Nie oceniajmy się za surowo - powiedział Dermott. Był mniej przygnębiony niż jego dwaj towarzysze. - Do nas należy śledztwo w sprawie sabotażu, a nie morderstwa, co jest domeną FBI i alaskańskiej policji. Wygląda na to, że oni nadziali się na ten sam ślepy mur. Może zresztą wpadniemy na ślad, który skieruje śledztwo na nowe tory... po sekcji zwłok Finlaysona.

- Ee! - parsknął Brady, wznosząc pogardliwie ręce. - Już się odbyła. Nie wykazała nic.

- Pierwsza. Ale druga może coś wykazać.

- Co takiego? Jeszcze jedna sekcja? - wykrzyknął Mackenzie.

- Pierwsza była bardzo powierzchowna i niedbała.

- Niesłychane - powiedział Brady, potrząsając głową. - Kto na to pozwolił?

- Nikt. Ja o nią poprosiłem, ale grzecznie.

Brady zaklął, może ze względu na to, co powiedział Dermott, a może dlatego, że rozlał obfitą porcję daiquiri na swoje nienagannie wyprasowane spodnie. Ponownie napełnił szklaneczkę i ciężko westchnął.

- Nie spieszyło ci się, żeby nam to wreszcie powiedzieć, co?

- spytał.

- Wszystko we właściwym czasie, Jim, trzeba wiedzieć, co jest mniej, a co bardziej ważne. Zanim poznamy wyniki tej sekcji, minie parę dni. Nie rozumiem, dlaczego się tak spierałeś.

- Powiem ci, dlaczego! Kto, do diabła, upoważnił cię do wysuwania takich żądań bez mojej zgody?

- Nikt.

- Miałeś czas, żeby to omówić ze mną przed odlotem.

- Pewnie, ale wtedy jeszcze o tym nie myślałem. Dopiero w połowie drogi do Anchorage wpadło mi do głowy, że może popełniamy gruby błąd. Wyobrażasz sobie, że rozmawiałbym z tobą w Prudhoe korzystając z publicznej linii?

- Mówisz tak, jakby to miejsce było gniazdem międzynarodowego szpiegostwa - odparł z ironią Brady.

- Wystarczy jedno nieprzychylnie nam ucho, a możemy pakować

manatki i wracać do Houston. Przekonaliśmy się już, jak dobrze ci ludzie zacierają po sobie ślady.

- George, powiedziałeś: po sobie - wtrącił się Mackenzie. - Co wzbudziło twoje podejrzenia?

- Doktor Blake. Wiesz, że miałem do niego zastrzeżenia już w przypadku tamtych dwóch techników ze stacji pomp i rzekomego wypadku Bronowskiego. Zacząłem się zastanawiać, czy Blake nie ma nic wspólnego ze śmiercią Finlaysona. Byłem jedyną osobą, która widziała zwłoki w czasie od zakończenia przez Blake'a sekcji do przykrycia wieka trumny.

Dermott przerwał, żeby się napić.

- Blake pokazał mi wtedy ślady na karku Finlaysona, gdzie go, jak powiedział, uderzono pozbawiając przytomności. W samolocie przyszło mi do głowy, że w życiu nie widziałem takiego stłuczenia czy siniaka. Na skórze nie było śladu zasinienia ani obrzęku. Jest co najmniej prawdopodobne, że skórę naruszono po śmierci. Blake powiedział, że Finlaysona uderzono workiem z wilgotną solą. Rzeczywiście, jego kark pachniał solą, ale mogła ona zostać wtarta w ciągu nocy, po przeniesieniu ciała do pokoju. Gdyby go naprawdę uderzono, kręgi byłyby wgniecione albo złamane.

- Oczywiście pytanie: były? --- spytał Mackenzie.

- Nie wiem. Wyglądały na całe. Ale doktor Parker to zbada.

- Doktor Parker?

- Lekarz sądowy współpracujący z policją. To starszy pan, ale uderzająco bystry. Z początku niezbyt dobrze przyjął moją prośbę.

118 119

Pomysł z ponowną sekcją zwłok uważał tak jak wy za niesłychany, sprzeczny z prawem i w ogóle. Przeczytał świadectwo Blake'a i uznał, że jest bez zarzutu.

- Ale wyperswadowałeś mu to?

- Niezupełnie. Nic nie przyrzekł. Ale zainteresował się chyba na tyle, żeby coś z tym zrobić.

- Perswadować to ty umiesz, George - powiedział Brady.

Dermott umilkł, namyślając się.

- Może to nic nie znaczy, a może jest to dla nas kolejny sygnał alarmowy... ale doktor Parker nie słyszał o doktorze Blake u

Brady przybrał na powrót swoją ulubioną wyniosłą, namaszczonego pozę.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że Alaska jest większa niż pół Europy Zachodniej? - spytał.

- Zdaję też sobie sprawę, że w Europie mieszka kilkaset milionów

ludzi. Na Alasce - kilkaset tysięcy. Zdziwiłbym się, gdyby, nie licząc

kilku szpitali, praktykowało tu więcej niż kilkudziesięciu lekarzy, a taki

stary weteran jak doktor Parker musi ich znać osobiście albo przynaj-

mniej ze słyszenia.

Brady rozłączył dłonie, zetknięte dotychczas koniuszkami palców

- To obiecujące - powiedział. - Trzeba natychmiast zbadać przeszłość doktora Blake_a.

- Natychmiast - podchwycił Mackenzie. - To zadanie dla Morrisona. A może byłoby też interesujące ustalić, kto polecił albo wyznaczył Blake owi na to stanowisko?

- Owszem - zgodził się Dermott. - To na pewno zawęziłoby krąg podejrzanych. Ciekawe. Pamiętacie, jak tuż po przyjeździe pytaliśmy, czy są jakieś domysły, czym uderzono Bronowskiego, na co Morrison powiedział - chyba cytuję jego słowa wiernie - "Doktor Blake mówi, że nie jest specjalistą od aktów przemocy".

Brady skinął głową.

- Właśnie. Dzisiaj rano, kiedy byłem z nim w pokoju Finlaysona i omawialiśmy przyczyny jego śmierci, napomknął, że był ekspertem od medycyny sądowej. Na pewno powiedział to, żeby uwiarygodnić swoją diagnozę. Tak czy owak, zrobił błąd. Kłamał albo za pierwszym, albo za drugim razem.

Dermott spojrzał na Brady_ego.

- Twoi agenci w Nowym Jorku, którzy badają sprawę firmy Bronowskiego, jak by to powiedzieć... nie spieszą się. Może by ich tak popędzić?

- Nic z tego. Sam powiedziałaś, że publiczna linia telefoniczna...

- A kto mówi o publicznej linii? Załatwimy to przez Houston, używając twojego szyfru.

- Ha! Ten przeklęty szyfr. Zaszzyfruj, co chcesz, i podpisz w moim imieniu.

Mackenzie mruknął dyskretnie, ale Dermott nie zareagował i zaczął podawać zaszyfrowany tekst telefonistce z centrali. Świadczyło to o jego mistrzowskim opanowaniu szyfru, bo szyfrował słowa prosto z głowy, bez uprzedniego sporządzenia transkrypcji.

Ledwo skończył, pukanie do drzwi oznajmiło przybycie Hamisha Blacka. Wąsik dyrektora naczelnego rurociągu był przystrzyżony jak zwykle nieskazitelnie, przedziałek na środku głowy w dalszym ciągu nakreślony jak przy linijce, a binokle tak nieruchomo osadzone na nosie, że nie zdmuchnąłby ich huragan. Nadal ubrany był jak pierwszorzędny księgowy z londyńskiej dzielnicy banków. Jednakże w tej chwili w jego zachowaniu zaszła zmiana: wyglądał jak pierwszorzędny księgowy, który natknął się właśnie na dowód niewątpliwej i skandalicznej malwersacji w księgach rachunkowych ulubionego klienta. A mimo to zachowywał się chłodno czy nawet oziębło.

- Dobry wieczór panom - przywitał się. Był specjalistą od lodowatych uśmiechów. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam, panie Brady?

- Proszę, proszę - odparł Brady, którego przesadna grzeczność

świadczyła o tym, że nie przepada za swoim gościem. - Proszę siadać.

- Rozejrzył się po ciasnym pokoju i popatrzył na wszystkie trzy zajęte

krzesła. - Może. . .

- Dziękuję, postoję. Nie zajmę panom dużo czasu.

- Napije się pan? Jednego z moich niezrównanych koktajli rumo-

wych? Może cygaro?

- Dziękuję. Nie piję i nie palę - odparł Black. Minimalny skurcz

lewego kącika górnej wargi jasno wskazywał, co sądzi o tych, którzy to

robią. - Przyszedłem, ponieważ jako dyrektor naczelny BP-Sohio czuję

się w obowiązku zapytać, jak daleko posunęło się do tej pory prowa-

dzone przez panów śledztwo.

- Co do tej pory odkryliśmy? - spytał Dermott. - Cóż...

- Zechce pan milczeć, proszę pana. Rozmawiam z...

- George! - powiedział Brady, uspokajającym gestem ręki pokazu-

jąc Dermottowi, który na wpół podniósł się z krzesła, że ma usiąść.

Spojrzał chłodno na Blacka. - Nie jesteśmy pańskimi pracownikami,

panie Black. I to nie pan nas wynajął, ale pańscy szefowie w Londynie.

Radzę panu, jeżeli chce pan opuścić ten pokój tą samą drogą, którą pan

tu wszedł, uważać na to, co pan mówi.

Usta Blacka nagle gdzieś zniknęły.

- Ależ proszę pana! Ja nie przywykłem...

- Dobrze, dobrze. Znamy to. Widać, że jest pan nie w humorze. Jak daleko się posunęliśmy? Niedaleko. Jeszcze coś?

Blacka najwyraźniej замуrowało. Trudno staremu żaglowemu okrętowi wojennemu atakować, kiedy wybrano mu wiatr z żagli.

- A więc przyznaje pan...

- Nie przyznaję. Po prostu wyraziliśmy opinię. Możemy czymś jeszcze służyć?

- Oczywiście. Proszę mi wytłumaczyć, co usprawiedliwia pobyt panów tutaj. Mojej firmy nie będzie stać na zapłacenie honorariów, których zapewne zażądacie, jeżeli nic na tym nie zyska. Do niczego nie doszliście i nie wygląda na to, żebyście do czegoś doszli. Prowadzicie śledztwo w sprawie sabotażu przemysłowego, a ściślej, w sprawie przerwania produkcji ropy. Moim zdaniem jest zasadnicza różnica pomiędzy rozlaniem się ropy a rozlewem krwi. Można stąd jedynie wysnuć wniosek, że sprawa ta przekracza kompetencje panów i że nie panujecie nad wypadkami. A ponadto, że dochodzenie powinno być powierzone tym, którzy są fachowcami od spraw kryminalnych: FBI i alaskańskiej policji stanowej.

- Bardzo chcielibyśmy wiedzieć, co oni takiego odkryli. A może nie jest pan upoważniony, żeby nam to zdradzić?

Black zacisnął wargi jeszcze mocniej.

- Mogę coś powiedzieć, szefie? - spytał Mackenzie.

- Oczywiście, Donald.

- Panie Black, pańskie zachowanie dziwnie przypomina postawę, jaką przyjął pan przy naszym pierwszym spotkaniu. Czy może nas pan zmusić do wyjazdu?

- Tak.

- Na stałe?

- Nie.

- Dlaczego?

- Panowie dobrze wiedzą, dlaczego. Dyrekcja w Londynie przyśle panów z powrotem.

- Prawdopodobnie wraz z warunkiem, że jeżeli sytuacja się powtórzy, to tym razem wyjedzie dyrektor rurociągu?

- Tego nie wiem.

- Ale ja wiem. Czyżby nie wiedział pan, że pan Brady jest osobistym przyjacielem prezesa pańskiej firmy?

Z tego, jak Black dotknął kołnierzyka, było oczywiste, że jest to dla niego nowina. Z tego, jak Jim Brady doświadczył nagłych trudności w przełknięciu daiquiri, było oczywiste, że dla niego również.

- Wracając do pana wcześniejszego zachowania, panie Black -- cią-

gnął Mackenzie. - Pan Dermott powiedział wtedy, że myśli, że ma pan coś do ukrycia. Pan Brady zwrócił uwagę, że jest pan przesadnie dyskretny i ma pan... zaraz... jak to brzmiało?... tajone i niegodne powody, żeby przeciwstawiać się najlepiej pojętym interesom swojej firmy. Nasze uzasadnione prośby uznał pan za niedorzeczne. Wreszcie, jak pamiętam, pan Dermott stwierdził, że albo pan zadziera nosa jako dyrektor naczelny rurociągu i jest ponad takie drobne zmartwienia, albo że przemilcza pan coś, o czym nie chce pan, żebyśmy wiedzieli. Mogło się wydawać, że Black zbladł cokolwiek, ale przyczyną tej błądności mógł równie dobrze być gniew. Sięgnął do klamki.

-To szczyt wszystkiego! Nie pozwolę, żeby mnie znieważano

- oświadczył.

- A ja ;zważam, że to niegrzecznie komuś przerywać - powiedział

tonem wymówki Mackenzie, kiedy Black pchnięciem otworzył drzwi.

Oczy dyrektora naczelnego harmonizowały z mroźną pogodą za oknami.

- O co panu chodzi? - spytał.

- Tylko o to, że chciałbym dokończyć to, o czym mówiłem.

Black spojrzął na zegarek.

- Proszę się streszczać - powiedział.

- Wiem, że jest pan niezwykle zajęty, panie Black. - Na białych

policzkach Blacka pojawiły się dwie małe różowe plamki, bo ton głosu

Mackenziego nie pozostawiał najmniejszej wątpliwości, że nie wierzy,

żeby Black miał w ogóle cokolwiek do roboty. - Więc będę się streszczał. Intryguje mnie pańska bezkompromisowość. Dał nam pan aż nadto jasno do zrozumienia, że z radością się nas pan pozbędzie. Jak sam pan jednak przyznał, bardzo szybko byśmy wrócili, może nawet za parę dni. Wniosek z tego, że chce pan nas usunąć z drogi, choćby tylko na krótko. Ciekawe, co pan zamierza albo musi zrobić w tak krótkim czasie?

- Rozumiem. Nie pozostawiacie mi panowie innego wyboru, jak tylko zameldować w zarządzie mojej firmy w Londynie o waszej skandalicznej nieudolności i bezczelności.

- Wyjście miał niezłe - powiedział Dermott, kiedy za Blackiem zamknęły się drzwi. - Oczywiście nie zrobi tego, kiedy będzie miał czas przemyśleć osobiste stosunki pana Brady_ego ze swoim prezesem.

- Spojrzał na Brady_ego. - Nie wiedziałem, że...

122 123

- Ja również - przerwał mu Brady, wyraźnie ubawiony. Uderzył tłustą pięścią w pulchną dłoń. - Powiedz mi, Donald, ile z tego, co mówiłeś, było serio?

- Kto wie? W każdym razie nie ja. Po prostu nie lubię tego typu.

- Nie jest to chyba podstawa do obiektywnych ocen - powiedział Dermott. - Ale wspaniale go zniszczyłeś, Donald. Są chwile, kiedy

człowiek przechodzi samego siebie. - Urwał i spojrzał na Brady_ego.

- Pamiętasz ostatnią potyczkę z naszym przyjacielem? Powiedziałeś, że szkoda, że zachowuje się tak podejrzanie, bo inaczej byłby wymarzo-
nym podejrzanym. Może jesteśmy za chytry. Trudno go o cokolwiek
podejrzewać. A może, co gorsza, on nas przechytrza. Z pewnością byś
to zauważył.

Brady ego opuściła wesołość.

- Znów gmatwasz sprawę - powiedział. - George, ile razy mam ci
powtarzać, że nie zniosę tego przekłętego gmatwania. Naczelny dyrek-
tor rurociągu! Rany boskie, ktoś przecież musi być poza podejrzeniem.

- Coś długo przesyłałeś tę zaszyfrowaną depezę do Houston - po-
wiedział Mackenzie w pokoju Dermotta. - Miałeś tylko poprosić, żeby
przesłali wcześniejsze polecenie szefa. Co do diabła im jeszcze powie-
działeś.

- Poprosiłem, żeby sprawdzili, czy ktoś zrezygnował z pracy w fir-
mie Bronowskiego w ciągu sześciu miesięcy przed i po jego odejściu.

- Brady może mieć rację. Może rzeczywiście zaczynasz mieć obsesję
na punkcie strażników. A gdyby nawet Bronowski pociągnął za sobą
kilku starych kolegów, to przecież mogli zmienić nazwiska.

- To mało istotne. Wystarczą rysopisy. A co do mojego bzika na tym
punkcie, to najwyższy czas, żebyście i wy go dostali. Jak wytłumaczycie
fakt, że ci dranie z Alberty znają szyfr towarzystwa naftowego z Alaski,

a łajdaki z Alaski znają szyfr z Alberty, używany wyłącznie przez Sanmobil? Już po pierwszych jednobrzmiących groźbach otrzymanych przez Prudhoe i Sanmobil wiedzieliśmy, że nasi "przyjaciele" z Alaski i Athabaski działają wspólnie, starannie koordynując wysiłki, żebyśmy robili wciąż fałszywe kroki i utwierdzali się w przekonaniu, że kiedy jesteśmy w punkcie A, powinniśmy być w punkcie B, i na odwrót. Dla mnie jest jasne, że obie formacje straży przemysłowej zostały zinfiltrowane. Jedyni, których podejrzewamy tu i tam, to strażnicy.

- A więc myślisz, że koordynatorem całości jest ktoś ze straży?

- Niekoniecznie. Ale jestem pewien, że usłyszymy o jakimś nowym nieszczęściu, jakie spadło na Athabaskę. Człowiek, który pociąga za

sznurki, uważa na pewno, że już pora znowu wprawić marionetki w ruch.

- Koordynacja - mruknął Mackenzie.

- To znaczy?

- Słyszałeś, co powiedziałem Blackowi. Że z jakiegoś powodu chce, żeby nas tu nie było przez kilka dni. Jeżeli nie może uwolnić się od nas w jeden sposób - żądając, żebyśmy wyjechali - to zrobi to w inny, aranżując w Athabasce nową katastrofę.

Dermott westchnął, podkreślił listę wydrukowanych nazwisk i podał ją Mackenziemu.

- Nazwiska do sprawdzenia, miejmy nadzieję, przez naszego kolegę

z FBI, Morrisona. Co o niej myślisz?

Meckenzie wziął listę i zaczął ją przeglądać. Uniósł brwi.

- Morrison podskoczy, jak to zobaczy, jestem pewien - powiedział.

- Może nawet przeskoczyć Księżyc, byleby zabrał się do roboty, jak

tylko spadnie - powiedział poważnym tonem Dermott. - Musimy

ruszyć sprawę.

Miał właśnie coś dodać, kiedy zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę

i w miarę jak słuchał, jego twarz stawała się biała jak kreda. Nie zwrócił

uwagi, że szklaneczka, którą trzymał w lewej dłoni, rozprysła się,

zmiądzona, a po ręce popłynął mu mały strumyczek krwi.

124

Rozdział jedenasty

- Ależ to ogrom! - wykrzyknęła Stella, kiedy wróciły do biura

Corinne. - Boże, nie miałam pojęcia, że ta kopalnia jest taka wielka.

Przejechałyśmy chyba z osiemdziesiąt kilometrów.

- Rzeczywiście, jest spora - powiedziała Corinne z uśmiechem,

zadowolona, że jej goście dobrze się bawią. - Mam nadzieję, że panią

też zainteresowała, pani Brady?

- Nieprawdopodobna! - odrzekła Jean, zdjęła z głowy futrzany kaptur

i otrząsnęła włosy. - Te koparki... coś takiego widzę po raz pierwszy. Są...

jak prehistoryczne potwory wgryzające się do wnętrza ziemi.

- Masz rację! - wykrzyknęła Steśa, której wyobraźnia była nie mniej rozpalona. - Tak, tak, zupełnie jak dinozaury. To bardzo uprzejmie ze strony pana Reynoldsa, że zorganizował nam tę wycieczkę.

I w dodatku zaprosił nas na kolację.

- Nie ma o czym mówić - powiedziała Corinne z wystudiowanym skromnym uśmiechem. - Bardzo lubimy gości, to zawsze jakaś odmiana. Mary Reynolds też się paniom spodoba. Ale zobaczymy, czy szef jest gotów do wyjścia.

Nacisnęła brzęczyk telefonu wewnętrznego i zawiadomiła, że panie wróciły.

- Doskonale, za chwilę będę gotów - usłyszały głos Reynoldsa.

- Ja też - powiedziała Corinne. - Wszystko załatwione?

Uprzątnęła biurko, pozamykała szuflady, schowała klucze do torebki

i nałożyła bardzo twarzowy puchaty kombinezon z pikowanego nie-

bieskoszarego nylonu oraz granatowe buty na futerku. W chwilę

później z gabinetu wyszedł Reynolds, tak jak ona ubrany na niebiesko-granatowo.

- Dobry wieczór paniom - przywitał się miło. - Mam nadzieję, że

wycieczka się udała. Nie wynudziły się panie?

- Skądże znowu! - wykrzyknęła Jean entuzjastycznie; przyszło jej to

bez trudu. - Było cudownie. Wspaniale. Jesteśmy zachwycone.

- To świetnie - powiedział i zwrócił się do Corinne. - A gdzie nasi

siłacze?

- Czekają w hallu.

- Doskonale. Trzeba ich zabrać ze sobą, bo inaczej pani ojciec zrobi nam piekło - powiedział, mrugnął do Stelli i wyprowadził ją przez drzwi.

Terry Brinckman, szef straży przemysłowej Sanmobilu, i jego zastępca Jorgensen przechadzali się po hallu frontowym. Kiedy grupka zbliżała się do nich, otworzyli zewnętrzne drzwi wpuszczając do środka podmuch wieczornego arktycznego powietrza. Przed budynkiem, na smołowanej żuźlowej drodze, stał z zapalonym silnikiem minibus firmy pomalowany w żółto-czarną szachownicę. Reynolds otworzył drzwi dla pasażerów, pomógł Jean i Stelli wsiąść na przednie siedzenie, obiegnął pędem samochód, wskoczył do szoferki i zatrzasnął drzwiczki, klnąc na ostry jak nóż wiatr. Corinne wskoczyła pomiędzy dwóch mężczyzn siedzących na tylnym siedzeniu.

Kiedy jechali w stronę bramy głównej, Reynolds połączył się przez radio z wartownikiem i podał, kto jedzie, żeby mu oszczędzić wychodzenia na mróz. Kiedy minibus podjeżdżał do wysokiej siatkowej bramy, która zaczęła się odsuwać poruszana elektrycznymi silnikami, w blasku oświetlających ogrodzenie lamp łukowych zobaczyli kotłujące się płatki śniegu. Reynolds kilka razy zatrąbił klaksonem na znak, że dziękuję, i w chwilę potem znaleźli się na otwartej przestrzeni przesywając ciemność przed samochodem snopami reflektorów.

W minibusie było ciepło i wygodnie. Mieli jechać dwadzieścia minut.

A jednak Corinne czuła się dziwnie nieswojo. Szef był przez cały dzień poirytowany i chociaż dziewczyna na zewnątrz okazywała pogodę ducha, nie cieszyła się na dzisiejszy wieczór - zapowiadał się nieprzyjemnie. Gdyby poszli na koncert albo pośpiewali - toby pomogło.

Pochyliła się i spytała Stellę, czy gra na gitarze.

- O, pewnie... kiedy nikt nie słucha.

- Och, nie żartuj! Może byśmy sobie pośpiewały.

- Oczywiście, że umie grać na gitarze - powiedziała z przekonaniem Jean. - Zagra wszystko, co pani zaśpiewa.

- To wspaniale.

Corinne usiadła z powrotem pomiędzy swoimi nieruchomymi strażnikami. Minibus minął zamieszkane przedmieście i jechał krętą drogą wśród niskich wzgórz, które oddzielały teren roponośnych piasków od Fortu McMurray. Reynolds prowadził wóz spokojnie, nie hamując gwałtownie ani nie przyspieszając, bo drogę pokrywała warstewka wiecznie

126 I 127

wędrującego śniegu, który błyszczał i skrzył się w snopach światła reflektorów.

Wzięli właśnie ostry wiraż, który nazywano, jak powiedział Brinckman, Zakrętem Kata, kiedy Reynolds nacisnął hamulce. Zaklął, bo

samochód zarzuciło w lewo, i wyprowadził wóz z poślizgu. Droga była zatarasowana przez stojącą w poprzek czarną ciężarówkę.

- Uwaga! - krzyknęła Corinne. - Ktoś leży na drodze!

Minibus zatrzymał się z dygotem o kilka metrów od postaci leżącej twarzą do ziemi. Padający śnieg na chwilę się przerzedził odsłaniając drugiego mężczyznę, który też leżał na brzuchu, ale się poruszał.

- O mój Boże! - krzyknęła z przedniego siedzenia Jean. - Wypadek !

- Panie niech siedzą - polecił ostrym tonem Reynolds. - Terry, zobacz, co się stało.

Brinckman otworzył drzwiczki i wysiadł. Corinne poczuła z prawej podmuch powietrza. Potem zobaczyła jeszcze jedną postać, która nadbiegała - czy raczej zataczała się - od strony tkwiącej w zaspie ciężarówki. Człowiek ten miał uniesione ręce, jakby osłaniał oczy przed światłami minibusu. Utykał i słał się na nogach. Pomyślała, że jest poważnie ranny.

Poczuła, że Brinckman wyszarpuje spod tylnego siedzenia apteczkę.

Zaraz potem spostrzegła, że upadł na bok, bo nogi umknęły spod niego na lodzie. Natychmiast się podniósł i ruszył ostrożnie, na szeroko rozstawionych nogach, najwyraźniej chcąc przyjść z pomocą rannemu.

A dalej wypadki potoczyły się tak szybko, że później zastanawiała się po stokroć, czy dobrze je zapamiętała. Obraz jakby się zamazał. W jednej chwili Brinckman podążył do rannego mężczyzny, a już w następnej

ranny jakby pozbył się obrażeń, wstał na równe nogi i zadał Brinckmanowi fachowo wymierzony cios, zwalając go jak drzewo. W tej samej chwili ów człowiek opuścił rękę, którą zasłaniał sobie twarz, i Corinne zobaczyła, że jest w masce z pończochy.

- Niech pan wraca, szybko! - wrzasnęła Stella.

Corinne również coś krzyknęła. Ale zanim ktokolwiek z nich zdołał się poruszyć, napastnik znalazł się przy oknie Reynoldsa. W jednej chwili otworzył szarpnięciem drzwiczki i wrzucił do środka coś, co syczało.

Corinne odruchowo padła na podłogę z tyłu minibusu. Z przodu dobiegły ją zduszone krzyki i okropne rżenie ludzi usiłujących złapać oddech. Potem gaz dotarł także do niej i zaczęła się dusić i rzucać, jakby walczyła o życie.

128

Mimo że brakowało jej tchu, zdała sobie sprawę, że pasażerów z przodu wyciągnięto na śnieg. Rozpłaszczyła się na podłodze, starając się pokonać pieczenie w gardle i w oczach.

- A gdzie jest jeszcze jedna? Są tylko dwie - usłyszała okrzyk jakiegoś mężczyzny.

W następnej chwili ktoś chwycił ją za kaptur kombinezonu i siłą wyciągnął na drogę.

Nie wiedząc, dlaczego to robi, udała, że jest nieprzytomna. Z jakiegoś powodu uznała, że tak będzie bezpieczniej. Czowała, że sunie po gładkiej, oblodzonej powierzchni, ciągnięta jak worek kartofli. Kiedy wleczono ją naokoło minibusu przed jego maskę, w światłach reflektorów spotrzegła, że rzekomi ranni zniknęli. Silnik samochodu wciąż pracował, ale pojazd blokujący drogę zdążył już ruszyć. Nagle podniesiono ją i wrzucono do odkrytej skrzyni ciężarówki.

Po raz pierwszy poczuła strach, nie dlatego, że ją porwano, ale że zamarnie na śmierć. Mimo grubego ubrania zaczęła dygotać na myśl, że jeżeli zamierzają ich wieźć przez wiele kilometrów otwartą ciężarówką, wkrótce zimno zabije wszystkich porwanych...

Jej obawy okazały się bezpodstawne. Zaledwie po kilku sekundach pełnej wstrząsów jazdy po nierównym terenie ciężarówka zatrzymała się z chrzęstem. Odgłos jej silnika utonął nagle w znacznie głośniejszym, potężniejszym ryku, który rozległ się wokół nich i nad nimi.

Corinne z przerażeniem otworzyła oczy i ujrzała, że podjechali do szarobiałego helikoptera. Właśnie kiedy patrzyła w górę, przed oczami przemknęła jej jedna z łopat wirnika.

Zdawało jej się, że powinna krzyczeć lub uciekać, ale co by to pomogło? Nie miała ani chwili na zastanowienie się. Poczuła, że chwytają ją za ręce i nogi i wrzucają do helikoptera, znowu jak bezwładny worek.

Hałas był przeraźliwy. Huk motoru wściekle się nasilił, ale dosłyszała

wśród niego krzyk kobiety i męskie głosy. Zobaczyła tobół, w którym rozpoznała Stellę, szarpiącą się zaczekle z jednym z porywaczy w masce z pończochy i toczącą się po stalowej podłodze. Drugi z nich przymknął zasuwane drzwi z boku kadłuba, ale wystawił głowę przez szparę, wrzeszcząc coś do kogoś stojącego jeszcze na ziemi.

Huk silnika wznosił się i opadał, wznosił się i opadał, jak gdyby pilot miał jakieś kłopoty techniczne. Potem wzniósł się i brzmiał równo, ale tylko przez kilka sekund. Znowu opadł. Corinne jeszcze nigdy nie leciała helikopterem i nie wiedziała, co nastąpi. Nie wiedziała, czy pilot wykonuje zwykłe czynności przed startem, czy też ma jakieś

kłopoty. Zauważyła jednak, że mężczyzna, który krzyczał do swojego kolegi na ziemi, nie zasunął drzwi do końca, tak że nadal była kilkucentymetrowa szpara. Błysnęła jej szalona myśl: kiedy helikopter wystartuje, dopaść drzwi, odciągnąć je i wyskoczyć.

Zanim miała czas ocenić ryzyko, uczuła, że podłoga przechyla się - odlatywali. Helikopterem zatrzęsło gwałtownie. Znowu w dół, pomyślała. Za kolejnym razem zaczęli się wznosić. Musiała decydować: teraz albo nigdy.

Przeturlała się, runęła do drzwi i odciągnęła je. Uderzył w nią oszałamiająco zimny podmuch wiatru. Zbyt późno zdała sobie sprawę, że już są nad ziemią. Strumień zaśmigłowy powietrza schwycił ją, okręcił i wessał. Uczepiła się kurczowo framugi drzwi, ale rękawiczki

ześliznęły się jej po nagiej stali. Resztą świadomości usłyszała krzyk mężczyzny:

- Zwariowałaś! Zabijesz się!

A potem już spadała pośród ciężkiego od śniegu wiatru. Koziółkując w powietrzu dostrzegła przez moment parę reflektorów, których światła kluczyły gdzieś w dole w ciemnościach nocy. Więcej już nic nie widziała. Kilka następnych przerażających sekund dostarczyło jej wspomnień na całe życie. Czas się zatrzymał. Spadała bez końca w mroźnym powietrzu, zdając sobie sprawę, że lada chwila się roztrzaska. Próbowła krzyczeć, ale nie mogła. Próbowła oddychać, ale nie mogła. Próbowała się odwrócić, ale nie była w stanie zmienić pozycji. Spadała bezradnie, zeszywniała z przerażenia.

Upadek był niewiarygodny. Zamiast rozbić się na twardej jak żelazo ziemi, wylądowała na czymś miękkim, co się pod nią zapadało. Uderzyła plecami i poleciała prosto w dół przez kilkumetrową warstwę błogosławionego puchu. Upadek pozbawił ją tchu, ale na tym się skończyło.

Leżała na plecach ciężko dysząc i łaknąc powietrza, ale kiedy odzyskała oddech, z ulgi zaczęła się trząść. Ku swojemu zaskoczeniu odkryła, że jednocześnie śmieje się i płacze. Wylądowała na plecach w ogromnej zaspie śniegu.

Jay Shore miał właśnie wyjść ze swojego biura w kopalni Sanmobilu, kiedy zadzwonił telefon.

- Słucham? - powiedział podniósłszy słuchawkę.

- Tu centrala - odezwał się napięty głos. - Mam pilną rozmowę.

Przez radiotelefon zgłosił się kierowca Pete Johnson. Chce natychmiast z panem mówić.

- Dobrze. Proszę go połączyć - powiedział Shore i zaczął czekać.

- Halo? Halo? - zatrzeszczał głos Johnsona, jeszcze bardziej podniecony niż głos telefonisty. - Pan Shore?

- Przy telefonie. Spokojnie. O co chodzi? ,

- Jadę do Fortu McMurray. Minibusem MB3. Właśnie przejechałem zakręt i na środku drogi znalazłem porzucony minibus MB5.

- Porzucony?!

- Tak jest. Drzwi otwarte, silnik zapalony, włączone światła. Tylko że nim wyjechał pan Reynolds?

- Cholera! Gdzie pan jest?

- Z pół kilometra za Zakrętem Kata. Półtora od Fortu McMurray.

- Dobra. Zaraz tam kogoś wyślę.

- Panie Shore?

- Słucham?

- Widziałem helikopter, odleciał z miejsca w pobliżu drogi i ktoś z niego wypadł! A dwaj strażnicy - Brinckman i Jorgensen - leżą na drodze, jakby byli ciężko ranni.

- Psiakrew!

- Tak, a tam, skąd odleciał helikopter, stoi ciężarówka zaryta w śniegu. Chce się cofnąć na drogę i odjechać w stronę miasta.

- Niech pan się trzyma od niej z daleka - poleciał Shore. - Niech pan siedzi w swoim samochodzie. I cofnie się kawałek. I niech pan się do niej nie zbliża. Zaraz tam kogoś pošlę.

- Dobrze, panie Shore.

Shore odłożył z trzaskiem słuchawkę i porwał inną, telefonu sieci miejskiej. Wykręcił numer i czekał. Wiedział, że Carmody i Jones, dwóch policjantów wyznaczonych do pilnowania rodziny Brady'ego, miało być również na kolacji u Reynoldsów, zadzwonił więc od razu do ich domu. Telefon odebrała pani Reynolds.

- Mary? Tu Jay Shore. Wiesz co, obawiam się, że doszło do pewnej... komplikacji. Bill i panie spóźnią się. O co chodzi? Nie... mam nadzieję. Nie masz się o co martwić. Czy są już ci dwaj policjanci? Świetnie. Tak, proszę. Obojętnie który.

Odezwał się John Carmody.

- Nagły wypadek - powiedział cicho Shore. - Chyba porwano panów podopieczne. Tak... oczywiście. - W kilku zdaniach wyjaśnił to, co wiedział. - Chcę, żebyście zaraz pojechali na drogę przy Zakręcie Kata. Zatrzymać każdego nadjeżdżającego z przeciwnej strony. Może to być szara ciężarówka, której szukamy. Dobrze?

- Dobrze.

- Doskonale. Pospieszcie się.

Wóz prowadził Carmody. Jones trzymał na kolanach karabin, a w ręku miał rewolwer kalibru 9,65 mm. Policyjny samochód do przewożenia aresztantów, który miał napęd na cztery koła, trzymał się drogi lepiej niż zwykły czterodrzwiowy, ale i tak musieli jechać ostrożnie.

Carmody, ściskając kierownicę, raz po raz klął.

- A niech to diabli -- pomrukiwał. -- Pierwszy raz zostawiliśmy je bez opieki i od razu je porwali. Ca robili ci strażnicy z Sanmobilu, do jasnej cholery?!

Jechali dalej; śnieg w:zował w świetlc: z-eflektorów. Nagle zobaczyli światła pojazdu nadjeżdżającego z naprzeciwka.

- Zablokuj dsogę! - polecił Jones. -- Stań w poprzek.

-- Lepiej przodem, do nich... oślepiemy żch. I tak nie przejadą.

Carmody zatrzymał się pośrodku drogi i włączył migacze. Nadjeżdżający kierowca minął zakręt, spostrzegł ich, zahamował i jego wóz zatoczył się qwałtownie, zanim wpadł w poślizg i stanął.

Jones wysiadł i ruszył w stronę pojazdu. Przeszedł zaledwie kilka metrów, kiedy z olma szoferki rozblęła struga ognia i niemal równocześnie rozległ się huk wystrzału z pistoletu. Jones zachwiał się i chwycił się za lewe ramię. Kierowca włączył bieg i zwolnił sprzęgło. Przez chwilę opony ciężarówki wirowały nie dotykając śniegu. A potem pomknął przed siebie,

zderzył się z wozem policyjnym, zepchnął go na bok tak, żeby się prześliznął obok, i przyspieszając odjechał w stronę Fortu McMurray.

Carmody spróbował otworzyć drzwiczki, ale okazało się, że się zaklinowały - cała karoseria z tej strony była wgnieciona. Rzucił się do przeciwległych drzwi i pobiegł na pomoc rannemu koledze. Jones był przytomny, ale rana piersi, u góry, mocno krwawiła, a na śniegu pod nim utworzyła się duża ciemna plama.

Carmody myślał szybko. Było za zimno na prowizoryczny opatrunek.

Gdyby zdjął Jonesowi choćby część ubrania, ranny umarłby z zimna i szoku. Przede wszystkim należało umieścić go w ciepłym miejscu, a potem w szpitalu. Powinien wezwać karetkę pogotowia.

- No, dalej, Bill - powiedział łagodnie. -- Musisz wstać.

- Dobrze - wymamrotał Jones. - Nic mi nie jest.

- No to wstań.

Carmody objął go w pasie, starając się nie dotykać jego ramion i piersi, żeby nic nie pogorszyć, i dźwignął go w górę. Potem delikatnie popychając podprowadził go do samochodu i otworzył tylne drzwi.

-- Wsiadaj tu - powiedział. - Przednie drzwi są zablokowane.

Pomógł mu wsiąść, zamknął drzwi, sam też wsiadł i podkręcił ogrzewanie do maksimum. Potem zajął się radiem. Ku swemu zmartwieniu nie mógł się połączyć. Aparat był włączony, ale nie przekazywał żadnych sygnałów. Coś musiało się w nim zepsuć podczas zderzenia z ciężarówką.

Przez chwilę Carmody rozważał, czy nie zawrócić i czy nie puścić się

za nią w pogoń. Ale uświadomił sobie, że jej kierowca zyskał już nad nim za dużą przewagę i że nawet przy napędzie na cztery koła nie doścignie go na trasie tak krótkiej jak stąd do Fortu McMurray. Bliżej miał do kopalni Sanmobilu. Lepiej było podjechać kawałek i skontaktować się z kierowcą minibusu, który podniósł alarm.

Pędził tak szybko, jak tylko pozwalała mu odwaga. Jones milczał niepokojąco i nie odpowiadał na pytania, jak się czuje. Carmody zacisnął zęby i jechał wśród padającego śniegu.

Po pięciu minutach zobaczył opuszczony minibus. Natychmiast rozpoznał MB5, pomalowany w żółto-czarną szachownicę, który dobrze znał i którym niejedną raz jechał. Za minibusem zebrał się sznur pojazdów, a ich kierowców powstrzymywał Johnson, oświadczający im, że lada chwila przyjedzie policja i że nikt nie może dotykać minibusu zanim nie zbadają go policjanci. Pobici strażnicy spoczywali przygarbieni na siedzeniach w minibusie Johnsona, nieprzytomni.

Carmody w lot ocenił sytuację.

- Zepchnijmy go z drogi - polecił. - Niech wszyscy przejadą.

Zepchnęli minibus Reynoldsa na bok i dali znak innym pojazdom, żeby przejechały. Trzeci z nich była to ciężarówka Sanmobilu wioząca dwóch pracowników magazynu, jedynych ludzi, jakich Shore'owi udało się ściągnąć o tak późnej porze. Przez radiotelefon w wozie Johnsona Carmody wezwał posiłki policji i zawiadomił izbę chorych Sanmobilu, że trzech rannych jest w drodze. Następnie polecił jednemu z pra-

owników Sanmobilu odwieźć do kopalni Jonesa jego policyjnym wozem, do którego wsiedli także chwiejący się na nogach Brinckman i Jorgensen.

- Zgrzejdzie się - powiedział do nich. - Porozmawiam z wami później. Dobra, no więc co się stało? - spytał Johnsona po ich odjeździe.

- Zobaczyłem, tak jak i pan, minibus na środku drogi. Tych dwóch strażników leżało przed samochodem i próbowało wstać. Wsiadłem zobaczyć, co się stało, i usłyszałem hałas silnika helikoptera, z bardzo bliska.

- Gdzie stał?

- O, tam. Pokażę panu.

Johnson zapalił wielką latarkę i poprowadził Carmody'ego przez zamarzną tundrę.

132 133

- Zdaje się, że pilot miał kłopoty z silnikiem, bo wciąż go zapalał i gasił. Wreszcie zaskoczył na dobre, unieśli się i polecieeli w tamtą stronę, na północ. Proszę, tu są ślady płóz.

W promieniu światła latarki odciski długich, ciężkich płóz były nadal widoczne, chociaż przyprószone śniegiem wzbitym przez strumień powietrza wytworzony przez wirnik śmigłowca.

- Helikopter był jakoś oznakowany, można go było zidentyfikować?

- spytał Carmody.

- Nie, był jak wielki cień na tle nieba. Nawet nie potrafiłbym

powiedzieć, jaki miał kolor, ale wyglądał białawo. I miał dwa małe

stateczniki na ogonie.

- A co potem? Gdzie wypadł ten człowiek?

- To była kobieta, strasznie głośno krzyczała. Gdzieś tam - powie-

dział Johnson, wskazując kierunek. - Niedaleko.

- Z wysoka spadła?

- Może z trzydziestu metrów. Może więcej.

- Na pewno się zabiła. Ale poszukajmy. Mój Boże! Jedna z pań Brady

nie żyje.

Zaczęli się wspinać po stoku, idąc pod wiatr. Na szczycie zbocza były

łagodne wzgórki. Przesuwający się po śniegu promień latarki nie

napotkał niczego.

- To musiało być gdzieś tutaj - powiedział niepewnie Johnson.

- Nie mogło być wiele dalej, bo w ogóle bym nie zauważył, że ktoś

spada. Spróbujmy może tam.

Przeszli kawałek w lewo. Nagle Carmody, który stąpał po całkowicie

zamarzniętej tundrze, zapadł w śnieg po pas. Krzyknął i kiedy z trudem

wygrzebał się z zasy, Johnson zawołał:

- Niech pan słucha, chyba coś usłyszałem.

Czekali, ale nie dotarło do nich nic, poza zawodzeniem wiatru.

A potem Johnson znowu usłyszał ten sam dźwięk - wołanie, ciche, ale z bardzo bliska.

- Jest! - krzyknął. - Jasne, ktoś woła. Tędy!

Skierowali się na wschód, ale ponownie ugrzęźli w głębokim śniegu i zdali sobie sprawę, że jest tam rozpadlina.

Powrócili na twarde grzbiet wzniesienia, nad niewidoczną miniaturową dolinką, i poszli jeszcze dwadzieścia kroków. I wtedy znowu usłyszeli wołanie, dochodzące niemal spod nich. Tym razem odkrzyknęli i otrzymali odpowiedź. Jeszcze kilka kroków i stanęli na krawędzi na mniej więcej metr studni o pionowych ścianach, wydrążonej w zaspie. Świecąc latarką w dół zobaczyli niebieskoszary kombinezon narciarski.

134

= Hej tam! Pani Brady?! Stella?! - zawołał Carmody. - Jest pani ranna?!

- Nie - dobiegła zduszona odpowiedź. - Nie jestem panią Brady ani Stellą i nie jestem ranna. Tylko utknęłam.

- Więc kim pani jest?

-- Corinne Delorme.

- Corinne Delorme.

- Corinne! Na miłość boską! Tu John Carmody. Proszę zaczekać, zaraz panią stąd wydostaniemy.

Posłał Johnsona biegiem do ciężarówki po łopatę i po linę i w ciągu pięciu minut odkopali i wyciągnęli dziewczynę. Jak na osobę, która przebywała ponad pół godziny pod gołym niebem, była w znakomitym stanie, głównie dlatego, że śnieg uchronił ją przed zamrożeniem i całkowicie osłonił od wiatru. Ale kiedy tylko doprowadzili ją do ciepłej kabiny ciężarówki, niedawne wydarzenia dały o sobie znać i zaczęła niepowstrzymanie dygotać.

W pierwszym odruchu Carmody chciał ją odwieźć do szpitala, ale się rozmyślił. Coś - nie potrafiłby powiedzieć co - kazało mu wybrać rozwiązanie nieoczekiwane. Ci z helikoptera na pewno sądzili, że dziewczyna nie żyje, że mają na swoim koncie jeszcze jedno morderstwo. Prawdopodobieństwo, że spadnie ona w wypełnioną śniegiem rozpadlinę, a nie na ziemię, było jak milion do jednego - pięć metrów w tę czy w tamtą stronę, a nie miałaby jednej całej kości. Może lepiej, pomyślał, żeby porywacze nie wiedzieli, że przeżyła. Dlatego też postanowił ukryć dziewczynę w bezpiecznym miejscu, przynajmniej do powrotu Brady'ego i jego ekipy.

- Wie pan co - rzekł do Johnsona. - Niech pan odwiezie pannę

Delorme do kopalni na oddział dla zakaźnie chorych. Tak, na oddział zakaźny! Kiedy dojedzie pan do bramy głównej, niech pan usunie ją z widoku, niech się położy na podłodze. Nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział, gdzie ona jest. W razie kłopotów, niech pan powie, że załatwia pan specjalny kurs dla pana Shore'a, dobrze?

Johnson skinął głową.

- Słyszała pani, Corinne? - spytał Carmody, unosząc jej brodę. - Ten pan zawiezie panią do Athabaski, w dobre miejsce. Przyjemne, ciepłe i wygodne. Poza tym ustronne. Przyjadę do pani, jak tylko będę mógł.

Szok i to wszystko, co przeżyła, zupełnie rozstroił dziewczynę, nie była w stanie odpowiedzieć.

-No, to proszę jechać - powiedział Carmody do Johnsona.

- W drogę.

135

Rozdział dwunasty

Było po północy i padał gęsty śnieg, kiedy Brady wrócił do Fortu McMurray, ale w hallu hotelu Peter Pond było tłoczno i rojno jak w południe. Brady znużonym ruchem zagłębił się w fotelu. Lot z Prudhoe przebiegł w ponurej atmosferze - Brady, Dermott i Mackenzie nie zamienili chyba ani słowa.

Podszedł do nich wysoki, szczupły, opalony mężczyzna z ciemnym wąsem.

- Pan Brady? - spytał. - Nazywam się Willoughby. Miło mi pana poznać, a jednocześnie przykro, że w tak r'eprzyjemnych okolicznościach.

- R, szef policji - powiedział Brady i uśmiechnął się niewesoło.

- Panu też nieprzyjemnie, że zdarzyło się to na pańskim podwórku.

Przykro mi, że zginął jeden z pańskich policjantów.

- Na szczęście, ten meldunek był przedwczesny. Kiedy do pana dzwoniśmy, było ogromne zamieszanie. Tego policjanta postrzelono w płuco i naprawdę źle wyglądał, ale teraz lekarz twierdzi, że najprawdopodobniej z tego wyjdzie.

- To już coś - powiedział Brady i jeszcze raz blado się uśmiechnął.

Willoughby odwrócił się do dwóch towarzyszących mu mężczyzn.

- Czy pan zna? . . .

- Poznałem już tych panów - odparł Brady. - Pan Brinckman, szef straży Sanmobilu, i jego zastępca, pan Jorgensen. Ciekawe, jak na ludzi ponoć rannych wyglądacie panowie zdumiewająco zdrowo.

- Ale wcale się tak nie czujemy - odparł Brinckman. - Tak jak powiedział pan Willoughby, pod wpływem chwili wyolbrzymiono całe wydarzenie. Kości mamy całe, nie zraniono nas nożem ani kulą, ale trochę oberwaliśmy.

- Pete Johnson, ten, który podniósł alarm, poświadczy to - rzekł Willoughby. - Kiedy tam nadszedł, Jorgensen leżał nieprzytomny na drodze, a Brinckman chodził zamroczony. Nie wiedział, co się z nim dzieje.

Brady obrócił się w stronę następnego przybysza, który pojawił się u jego boku.

- Dobry wieczór, panie Shore = powiedział. - A raczej dzień dobry. Wygląda na to, niestety, że rodzina Bradych zakłóciła spokojny sen wielu ludziom.

- Daj pan spokój -- odparł Shore, wyraźnie przygnębiony. - Wczoraj pomagałem odprowadzać pańską żonę i córkę po kopalni. Że też musiało się coś takiego przydarzyć. Że też musiało to spotkać pana, kiedy pan i pańska rodzina jesteście faktycznie naszymi gośćmi i stara się pan nam pomóc. To czarny dzień i ciężki cios dla Sanmobilu.

- Może nie aż tak zupełnie czarny - powiedział Dermott. - Porwanie to naturalnie nie lada wstrząs, ale nie wierzę, żeby komuś z tej czwórki groziło tak od razu śmiertelne niebezpieczeństwo. To nie są polityczni fanatycy, tak jak w Europie czy na Środkowym Wschodzie.

Mamy do czynienia z trzeźwymi ludźmi interesu, którzy nie czują osobistej urazy do swoich ofiar - prawie na pewno traktują je jak przedmiot przetargu. - Splótł i rozplótł palce. - W zamian za uwolnienie kobiet wysuną żądania, najprawdopodobniej bezczelnie wygórowane, i jeżeli się je spełni, dotrzymają warunków transakcji. Tak zwykle robią zawodowi porywacze. Traktują to w swoim pokrętnym rozumo-

waniu jako normalną transakcję opartą na zdrowym rozsądku.

- Na dobrą sprawę nie usłyszeliśmy jeszcze, co się stało - powiedział Brady, zwracając się do Willoughby'ego. - Domyślam się, że nie starczyło panu czasu na podjęcie szeroko zakrojonego śledztwa?

- Niestety.

- Po prostu rozplynęli się w powietrzu?

- Dosłownie. Jak pan słyszał, odlecieli helikopterem. W tej chwili mogą już być kilkaset kilometrów stąd, w dowolnym kierunku.

- Czy radary na lotniskach mogły przypadkiem wyłapać kierunek ich lotu?

- Nie, panie Brady. Milion do jednego, że lecieli poniżej pułapu dostępnego dla radaru. Poza tym w północnej Albercie jest więcej palm niż stacji radarowych. Na południu rzecz ma się inaczej. Zaalarmowaliśmy miejscowe stacje, żeby czuwały, ale na razie nic nam nie zgłoszono.

- Tak... - powiedział Brady, składając dłonie koniuszkami palców i zapadając się w fotelu. - Przydałoby się nam krótkie sprawozdanie z przebiegu wypadków.

- To nie zajmie wiele czasu. Jay?

- Tak. Widziałem je jako ostatni, oprócz tych dwóch panów... - powiedział Shore wskazując Brinckmana i Jorgensena. - Wyjechały naszym minibusem, który prowadził Bill Reynolds.

- Czy zanim wyjechali, ktoś telefonował? - spytał Mackenzie.

- Nie wiem. Dlaczego pan pyta?

- Mam jeszcze jedno pytanie - powiedział Mackenzie i spojrzał na

Brinckmana. - W jaki sposób porywacze zatrzymali wasz samochód?

- Ustawili w poprzek drogi ciężarówkę. Kompletnie ją zatarasowali.

-Długo nie mogli jej blokować. Na tej drodze jest spory ruch

i kierowcy nie byliby zadowoleni, że ich się zatrzymuje. Czy na drodze rzeczywiście był wtedy ruch?

- Chyba nie. Nie.

- Do czego pan zmierza, panie Mackenzie? - spytał Willoughby.

- To proste jak drut. Porywacze dostali wiadomość. Wiedzieli do-

kładnie, kiedy wyjechał minibus Reynoldsa i kiedy się go spodziewać

na miejscu porwania. Wystarczył telefon albo krótkofalówka, albo na-

wet zwykłe przerwanie łączności. Dwie rzeczy są pewne: że dostali

sygnał i że nadano go z Sanmobilu.

- Niemożliwe! - wykrzyknął wstrząśnięty Shore.

- Tylko to wytłumaczenie trzyma się kupy - powiedział Brady.

- Mackenzie ma rację.

- Rany boskie! - rzekł z urazą Shore. - Mówi pan tak, jakby

Sanrnobil był jaskinią zbójców.

- Nie jest to szkółka niedzielna - odparł z przygnębieniem Brady.

- A więc Reynolds zobaczył tę ciężarówkę i zatrzymał się? - spytał

Dermott, obróciwszy się do Brinckmana. - A potem?

- Wszystko stało się bardzo szybko. Na drodze leżało dwóch mężczyzn.

Jeden twarzą do ziemi, nieruchomo, jakby był poważnie ranny. Drugi szedł, z rękami przyciśniętymi do brzucha, zataczał się. Wyglądało, że kona z bólu. Dwóch innych biegło do nas, a właściwie nie biegło, słańiało się. Jeden mocno utykał i rękę miał wciśniętą pod kurtkę, tak jakby ją podtrzymywał. Obaj trzymali ręce przy twarzach i zasłaniali oczy.

- Nie zdziwiło to pana? - spytał Dermott.

- Ani trochę. Było ciemno, a mieliśmy zapalone reflektory. Wydawało się naturalne, że osłaniają oczy przed blaskiem.

Zapadła cisza.

- No i ten gość, jak myślałem, ranny w rękę, dotarł do minibusu od strony, gdzie siedziałem - ciągnął Brinckman. - Chwyciłem apteczkę i wyskoczyłem z wozu. Pośliznąłem się na lodzie i zanim odzyskałem równowagę, on opuścił rękę i zobaczyłem, że ma na twarzy maskę z pończochy. Potem zobaczyłem, że podnosi lewą rękę. Mignęła mi tylko, ale zauważyłem, że ma w niej jakiś woreczek. Nie zdążyłem zareagować. - Ostrożnie dotknął czoła. - To chyba wszystko.

Dermott podszedł do niego i obejrzał stłuczenie na jego czole.

- Paskudnie. Ale mogło być gorzej - powiedział. - Kilka centymetrów dalej i prawdopodobnie miałby pan pękniętą kość skroniową.

Pański napastnik użył chyba ołowianego śrutu. Skórzana pałka nie zostawiłaby takiego śladu.

Brinckman popatrzył na niego dziwnym wzrokiem.

- Myśli pan, że to był ołów?

- Tak - powiedział Dermott i obrócił się do Jorgensena. - Zdaje się, że panu nie lepiej się powiodło?

- Przynajmniej nie oberwałem po głowie. Myślałem, że mi pękła szczęka. Ten drugi albo był mistrzem wagi ciężkiej, albo ścisnął w pięści coś twardego. Nie dojrzałem. Przyskoczył do drzwiczek pana Reynoldsa, szarpnął za nie, otworzył, wrzucił do środka granat dymny i zatrzasnął drzwiczki.

- Gaz łzawiący - wyjaśnił Willoughby. - Jak pan widzi. Jorgensen ma jeszcze zaczerwienione oczy.

- Wsiadłem - ciągnął Jorgensen. - Zacząłem wywijać pistoletem, ale tyle miałem z niego pożytku co z pistoletu na wodę. Byłem oślepiony. Dalej nic nie pamiętam aż do chwili, kiedy Pete Johnson potrząsał nami, żeby nas docucić.

- A więc oczywiście nie wie pan, co się stało z Reynoldsem i resztą pasażerów - podsunął Brady, rozglądając się dookoła. Przejął na siebie zadawanie pytań. - A gdzie Carmody?

-Na posterunku policji - odparł Shore. - Jeszcze sporządza

meldunek. Jest z nim Peter Johnson. Niedługo tu będą.

- Dobrze. Czy ten człowiek, który pana napadł, miał rękawiczki?

- spytał Brinckmana.

- Nie jestem pewien - odparł Brinckman i zamyślił się. - Jak tylko

wyszedł poza zasięg reflektorów, znalazł się w głębokim cieniu, a jak

powiedziałem, wszystko odbyło się cholernie szybko. Ale chyba nie

miał rękawiczek.

- A pański napastnik, panie Jorgensen?

- Bardzo dobrze widziałem jego rękę, kiedy wrzucał pojemnik

z gazem. Nie, nie miał rękawiczek.

- Dziękuję panom. Panie Willoughby, pozwoli pan, że zadam kilka

pytań.

- Proszę - powiedział Willoughby i odchrząknął.

- Mówi pan, że ciężarówka porywaczy była skradziona?

- Tak jest.

- Zidentyfikowano ją?

139

- Należy do właściciela miejscowego garażu. Dowiedziałem się, że

wyjechał na kilka dni na polowanie.

- O tej porze roku?

- Prawdziwy zapaleniec poluje o każdej porze roku. Tak czy owak, widziano ją wczoraj po południu na ulicach i myśleliśmy, że właściciel zabiera ją ze sobą na polowanie.

- Stąd wniosek, że porywacze gruntownie znają miejscowe zwyczaje?

- Owszem, ale co z tego? - odparł Willoughby gładząc ciemne wąsy. - Fort McMurray to nie jest mała wioska.

- Zebrał pan odciski palców z zewnątrz i wewnątrz ciężarówki?

- Moi ludzie właśnie się tym zajmują. Trochę to potrwa, zanim skończą, odcisków są setki.

- Będziemy je mogli obejrzeć?

- Oczywiście. Każę je sfotografować. Ale... z całym szacunkiem, panie Brady... co takiego spodziewa się pan odkryć, czego myśmy nie odkryli?

- Nigdy nic nie wiadomo - odparł Brady z tajemniczym uśmiechem. - Pan Dermott jest międzynarodowym ekspertem w dziedzinie daktyloskopii.

- Nie wiedziałem! - zdziwił się Willoughby i uśmiechnął się do Dermotta, który odpowiedział mu uśmiechem. On też nie miał o tym pojęcia.

- Czy przypadkiem nie da się ustalić tożsamości helikoptera na podstawie odcisków jego płóz, które zmierzył Carmody? - spytał

Brady zmieniając temat.

Willoughby potrząsnął głową.

- Pomysł ze zmierzeniem odcisków był dobry, ale nic z tego - szanse zidentyfikowania śmigłowca na tej podstawie są niesłychanie małe, bo prawie na pewno w okolicy są tuziny maszyn tego typu. To kraj helikopterów, panie Brady, jak Alaska. U nas, w północnej Albercie, komunikacja jest w dalszym ciągu bardzo prymitywna. W tej części świata nie ma dwukierunkowych szos-autostrad. Właściwie na północ od Edmonton są tylko dwie brukowane drogi, które docierają na północ. Oprócz nich - nic. Poza naszym portem lotniczym oraz lotniskami w Peace River i Forcie Chipewyan na powierzchni pół miliona kilometrów kwadratowych nie ma innych.

- A więc latacie helikopterami - rzekł Brady i skinął głową.

- Najchętniej używany środek transportu o każdej porze roku. W zimie jedyny.

140

- A więc można śmiało przyjąć, że nawet intensywne poszukiwania z powietrza nie dają najmniejszych nadziei na odnalezienie tego zbiegłego śmigłowca?

- Żadnych. trochę studiowałem sprawy porwań i najlepiej odpowiem panu przez porównanie. Najczęściej _ porywa się ludzi na Sardynii.

Jest to tam narodowa rozrywka. Kiedy tylko porwą milionera, angażuje się wszystkie środki policyjne i włoskie wojsko. Marynarka blokuje zatoki i właściwie wszystkie nadmorskie wioski. Armia blokuje drogi, a specjalnie przeszkolone oddziały przeczesują wzgórza. Lotnictwo przeprowadza dokładne rozpoznanie samolotowe i helikopterowe. Ale przez wiele lat takich poszukiwań nie udało się odnaleźć kryjówek choćby jednego porwacza. A Alberta jest dwadzieścia siedem razy większa od Sardynii. Nasze środki stanowią zaledwie część ich środków. To panu wystarczy?

- Jeszcze chwila, a ogarnie mnie rozpacz. Ale proszę mi powiedzieć, panie Willoughby, gdyby pan miał w swoich rękach czwórkę porwanych, to gdzie by ich pan ukrył?

- W Edmonton albo Calgary.

- Ale to są miasta. Na pewno...

- Tak, duże miasta, każde z pewnością ma ponad pół miliona mieszkańców. Porwani nie byliby ukryci, po prostu by zniknęli...

- No tak - powiedział Brady i wyprostował się w fotelu. Był zmęczony.

- Dobrze. Sądzę, że zanim coś zrobimy, musimy poczekać na

wiadomość od porwacza. A co do panów -- zwrócił się do Brinckmana

i Jorgensena -- nie widzę potrzeby trzymać was dłużej. Dziękuję za

pomoc.

Dwóch strażników pożegnało się i wyszło. Brady podźwignął się

na nogi.

- Nie widać jeszcze Carmody'ego? - spytał. - Poczekamy na niego

w wygodniejszym miejscu. Recepcja da nam znać, jak przyjdzie. Tędy, panowie.

Kiedy znalazł się w zaciszu swojego pokoju, z pełną szklaneczką w ręku, uprzednie wyczerpanie jakby go nagle opuściło.

- Słuchaj, George - powiedział z ożywieniem. = Ty coś przed nami ukrywasz. Dlaczego?

- Jak to ukrywam?

- Nie czaj się. Powiedziałeś, że bardziej interesują cię żądania tych łajdaków niż moja rodzina. A przecież ty ją kochasz. Więc gadaj, o co chodzi?

141

- Po pierwsze, zażądają, żebyśmy ty, Don i ja odlecieli do Houston.

Trzeba ich przekonać, że jesteśmy bliscy rozwiązania zagadki. Po

drugie, zażądają okupu. Jeśli chcą go utrzymać w granicach rozsądku,

zażądają nie więcej niż paru milionów dolarów. Ale byłyby to nędzne

grosze wobec stawki, o którą grają. Po trzecie, ta większa stawka. Jasne,

że każą sobie zapłacić fortunę za to, że przestaną zakłócać produkcję

ropy na Alasce i w Sanmobilu oraz dalej niszczyć ich sprzęt. Oto gdzie

trzymają wszystkie swoje asy: jak się przekonaliśmy, i rurociąg, i kopal-

nie śmiesznie łatwo zaatakować. Jak długo przestępcy są nieznani, tak długo mogą niszczyć oba kompleksy kawałek po kawałku. Zaśpiewają wysoką cenę. Prawdopodobnie oprą ją na kosztach budowy obu przedsięwzięć - a to już jest dziesięć miliardów dolarów - oraz na dziennych dochodach, czyli cenie ponad dwóch milionów baryłek ropy. Mogą zażądać pięciu, dziesięciu procent tej sumy. Zależy, ile wytrzyma rynek. Jedno jest pewne: jeżeli zażądają za dużo i przekroczą granicę opłacalności, to towarzystwa naftowe zechcą zapobiec dalszym stratom i umyją ręce, zostawiając cały kłopot towarzystwom ubezpieczeniowym, a będzie to na pewno najdroższa impreza w historii ubezpieczeń.

- Dlaczego nie powiedziałeś o tym na dole? - spytał zrzędlawie

Brady.

- Nie lubię mówić za dużo w zatłoczonym hallu hotelowym - odparł

Dermott i pochylił się w stronę Jaya Shore'a. - Czy pańskie biuro

w Edmonton nadesłało odciski palców, o które prosiliśmy?

- Mam je w domu, w kasie pancерnej.

- Bardzo dobrze - powiedział Dermott i skinął głową z aprobatą.

- Jakie odciski? - zainteresował się Willoughby.

Shore zawahał się, ale kiedy otrzymał aż nadto wyraźny znak głową,

wyjaśnił:

- Pan Brady i jego współpracownicy są przeświadczeni, że mamy

w Sanmobilu jednego albo kilku sabotażystów, którzy aktywnie współ-

działają i pomagają ludziom pragnącym nas zniszczyć. Pan Dermott podejrzewa zwłaszcza naszych strażników i tych wszystkich, którzy mają dostęp do kasy pancерnej firmy.

Willoughby posłał Dermottowi dziwne spojrzenie. Było jasne, że uważa tę sprawę za zadanie dla kanadyjskiej policji, a nie dla cudzoziemskich amatorów.

- Czy byłby pan uprzejmy wytłumaczyć, dlaczego? - spytał.

- Bo są to jedyni nasi podejrzani, zwłaszcza dowódcy poszczególnych zmian straży przemysłowej. Nie tylko mają dostęp do kluczy od zbrojowni, skąd skradziono materiały wybuchowe, ale noszą je przy

142

sobie w czasie służby. Mało tego, mam uzasadnione powody podejrzewać straż przemysłową na Alasce. Co więcej, obie straże najprawdopodobniej blisko ze sobą współpracują i mają tego samego szefa albo szefów. Jak inaczej wytłumaczyć, że jacyś łajdacy stąd znają szyfr BP-Sohio, a łobuzy z Alaski szyfr Sanmobilu?

- To tylko domysł... - powiedział Willoughby.

- Oczywiście. Ale domysł noszący znamiona prawdopodobieństwa.

Czyż podstawową zasadą działania policji nie jest wysuwanie hipotez

i badanie ich ze wszystkich stron, zanim się je odrzuci? A więc my

wysunęliśmy swoją hipotezę, zbadaliśmy ją ze wszystkich stron i nie

mamy ochoty jej odrzucać.

Willoughby zmarszczył brwi.

- Nie ufacie panowie strażnikom? - spytał.

- Pozwoli pan, że to rozwinę. Nie wątpię, że większość z nich to uczciwi ludzie, ale zanim się o tym przekonamy, wszyscy są dla mnie podejrzani.

- Włącznie z Brinckmanem i Jorgensenem?

"Włącznie" to nie jest właściwe słowo. Przede wszystkim.

- Masz tobie! Pan bredzi, Dermott. Po tym, co przeszli?

- No, a co oni, pana zdaniem, przeszli?

- Przecież powiedzieli - odparł z niedowierzaniem Willoughby.

Dermott nie przejął się tym.

- Mam na to tylko ich słowo i jestem święcie przekonany, że w obu wypadkach jest bezwartościowe.

- Ich zeznania potwierdził Carmody, a raczej Johnson. Jemu też pan nie ufa?

- Zdecyduję o tym, kiedy go poznam. Rzecz jednak w tym, że

Johnson wcale nie potwierdził ich zeznań. Powiedział tylko - proszę

mnie poprawić, jeżeli coś przekręcę - że po przyjeździe na miejsce

porwania zastał Brinckmana nieprzytomnego, a Jorgensen słał się na

nogach. Nic więcej nie powiedział. Miał takie pojęcie o tym, co tam

zaszło, jak pan i ja.

- A jak pan wytłumaczy ich obrażenia?

- Obrażenia? - spytał Dermott z ironicznym uśmiechem. - Jorgensen nie ma na ciele żadnych śladów obrażeń. Brinckman co prawda ma ślad po uderzeniu, ale gdyby go pan obserwował, spostrzegłby pan, jak podskoczył, kiedy powiedziałem, że uderzono go woreczkiem z ołowiem. Coś tu się nie zgadza. Coś w tym scenariuszu nie wypaliło. Podejrzewam, że cieszyli się jak najlepszym zdrowiem, zanim zobaczyli światła nadjeżdżającego minibusu Johnsona, a wtedy

143

Jorgensen, działając zgodnie z instrukcjami, stuknął Brinckmana w głowę na tyle mocno, żeby na krótko stracił przytomność.

- Co znaczy "zgodnie z instrukcjami"? Czyimi? - spytał natarczywie Willoughby.

- To się dopiero okaże. Ale muszę panu powiedzieć, że nie po raz pierwszy spotykamy się z dziwnymi obrażeniami. Na przykład pewien doktor z zatoki Prudhoe uznał, że jesteśmy bardzo podejrzliwi w tej materii. Donald i ja zbadaliśmy ciało zamordowanego technika, którego palec był złamany w dziwny sposób. Pan doktor zbył nas wytłumaczeniem, które jego wprawdzie zupełnie zadowoliło, ale nas nie. Prawdopodobnie wydał polecenie, że gdyby zdarzyły się inne podobne. . . hmm. . . drobne wypadki, wszyscy okoliczni strażnicy mają przedstawić dowody obrażeń, jakich doznali wiernie wykonując swoje obowiązki, takie jak - w tym

przypadku - próba obrony tych, których rzekomo mieli bronić.

Willoughby wlepił w niego wzrok.

- Pan fantazjuje - mruknął.

- Przekonamy się - odparł Dermott.

Dalszy ciąg jego odpowiedzi przerwało nagle przybycie Carmody'ego i Johnsona. Obaj byli bladzi i wyczerpani, więc żeby ich postawić na nogi, Brady zaserwował im dwie bardzo duże porcje whisky.

Kiedy wszyscy pogratulowali Carmody'emu jego nocnych wyczynów, zdał z nich szczegółowe sprawozdanie. Było ono nieciekawe aż do chwili, kiedy doszedł do opisu śladów płóz helikoptera i nagle zapomniał języka w gębie. Urwał w środku zdania i zająkując się spytał:

- Panie Brady, czy... mmm... czy mogę porozmawiać z panem na osobności?

Hmmnm! - mruknął Brady, nieco zaskoczony. - Proszę bardzo, ale czemu to ma służyć? Ci panowie cieszą się moim pełnym zaufaniem. Proszę powiedzieć to, co pan chce, w ich obecności.

- No dobrze. A więc chodzi o tę dziewczynę... O Corinne... - zaczął Carmody. Po czym opowiedział im historię uratowania dziewczyny. Zdumieni słuchacze rozbudzili się szybko i całkowicie. Otoczyli go przysłuchując się pilnie.

- Może to błąd, ale pomyślałem sobie, że jeżeli wieść o jej uratowaniu się nie wyda, to ten fakt może stanie się naszym ukrytym atutem.

- Myślał pan słusznie - pochwalił go Brady.
- Gdzie ona teraz jest? - spytał ostro Dermott.
- W tej chwili jest w kopalni, na oddziale dla zakaźnie chorych.

Zareagowała na to wszystko trochę histerycznie, ale nic jej nie jest.

144

Dermott wydał długie westchnienie ulgi.

- Kurczę blade! - powiedział.
- Bardzo oryginalne spostrzeżenie, George - rzekł z przekąsem Brady. - Czyżbym dostrzegł u ciebie pewne... zadowolenie z tego, że ta młoda dama żyje, jest zdrowa i bezpieczna?

- Tak jest - odparł Dermott i dodał szybko, jak gdyby czuł, że przesadził z entuzjazmem. - A czemu nie?

- Sprawa ma się tak, że spisałem jej zeznanie - ciągnął Carmody.

- Chcą je panowie usłyszeć?

- Oczywiście, wal pan - powiedział Brady.

Carmody miał zeznanie Corinne zapisane nadal tylko w notesie, toteż odczytanie go zajęło trochę czasu. Początek potwierdził jedynie to, co już wiedzieli, ale potem zaczęły się rewelacje. Po zatrzymaniu samochodu, relacjonowała dziewczyna, "jeden z mężczyzn szedł drogą w naszym kierunku zataczając się".

- Jeden! - spytał nagle Brady, unosząc się w fotelu. - Powiedziała,

że jeden?

- Tak - odparł Carmody i podjął lekturę, powtarzając ostatnie zdanie, żeby uwydatnić wyjaśnienia dziewczyny. - "Zobaczyłam dwóch mężczyzn, którzy leżeli na drodze, jakby rannych. Jeden był jak trup, wcale się nie ruszał. Drugi trochę. A potem zbliżył się do nas jeszcze jeden, który utykał. Zasłaniał oczy ręką. Pan Brinckman siedział na prawo ode mnie. Wyskoczył z samochodu i chwycił spod siedzenia apteczkę. Wtedy chyba pośliznął się i upadł. ale się podniósł. Potem zobaczyłam, że ten drugi wyprostował się i go uderzył.1 on upadł, to znaczy pan Brinckman. Ten drugi miał na twarzy maskę z pończochy, wtedy to zobaczyłam. Otworzył drzwi, gdzie siedział pan Reynolds, i wrzucił coś do środka"...

- Właśnie! - wykrzyknął Dermott, waląc pięścią w stół. - Mamy ich!

Brady rzucił mu groźne spojrzenie.

- Czy byłbyś uprzejmy wytłumaczyć swoim bardziej tępych braciom, o co chodzi? - spytał.

- Wszystko ukartowali. Opowiedzieli nam kupę bzdur. Mówili, że w ich kierunku szło dwóch mężczyzn, żeby uwiarygodnić to, że nie stawili oporu. Teraz jest jasne, że nie próbowali się opierać. Grali rolę w tej sztuce. Jorgensen po prostu siedział i przyglądał się, jak jego kompan dostaje w łeb.

- To dlaczego gaz łzawiący specjalnie mu nie zaszkodził?

- Bo był na niego przygotowany - odparł natychmiast Dermott.

- Jeżeli zaciśniesz oczy i wstrzymasz oddech, gaz łzawiący wiele ci nie

zrobi. Jorgensen musiał wytrzymać tylko kilka sekund, zanim otworzył drzwiczki samochodu i wydostał się na świeże powietrze. Proszę posłuchać, co mówi dziewczyna: kiedy ją wleczono, na drodze nie było już ciała. Wszyscy wstali, zdrowi jak rydze, żeby pomóc załadować pojmany do helikoptera. Dopiero kiedy Brinckman i Jorgensen spostrzegli światła nadjeżdżającego samochodu Johnsona, przybrali z powrotem swoje artystyczne pozy na drodze.

Willoughby wymamrotał jakieś przekleństwo.

- Chyba ma pan rację - powiedział wolno. - Naprawdę. Ale nie mamy przeciwko nim choćby strzępu konkretnego dowodu.

- Czy nie można by wymyślić jakiegoś sposobu, żeby ich oskarżyć i wsadzić do aresztu tymczasowego? - spytał z nadzieją Dermott.

- Nie.

- Szkoda. Lepiej bym spał przez resztę nocy. W tej sytuacji nie mam jednak zamiaru spać w ogóle. Nie bardzo mam ochotę, żeby mnie zamordowano w łóżku.

- A cóż to, do diabła, ma znaczyć, kolego? - spytał Brady, mało nie zakrztusiwszy się alkoholem.

- Nic, tylko przypuszczam, że zechcą mnie wkrótce zamordować.

Donalda też. I ciebie.

Brady sprawiał wrażenie, jakby miał wybuchnąć, ale nic nie powie-

dział.

- Każde słowo wypowiedziane przez ciebie przed chwilą w hallu było kolejnym gwoździem do twojej trumny - powiedział Dermott lekko zgryźliwym tonem i zwrócił się do Willoughby'ego. - Czy mógłby pan wystawić dziś straż przed domem pana Shore'a?

- Oczywiście, ale dlaczego?

- To proste. Pan Brady, niestety, wygadał się, że chce mieć kopie odcisków palców znalezionych w ukradzonej ciężarówce. Brinckman i Jorgensen wiedzą, że poprosiliśmy Edmonton o odciski palców, które mogą się okazać obciążające. Odkryją, jeżeli już nie odkryli, że kopie odcisków palców, które zdjęliśmy wcześniej, znajdują się w kasie pancерnej w domu pana Shore'a.

- A co im przyjdzie z tych odbitek? - spytał poirytowany Brady.

- Oryginały są w komendzie głównej policji w Edmonton.

- A jak daleko, twoim zdaniem, sięga ta zaraza? - spytał Dermott.

- Nawet jeżeli oryginały tam są, to nie na wiele się przydadzą, jeżeli ktoś przepuści je przez maszynkę do rwania papieru.

- Nie widzę problemu - rzekł Willoughby. - Zdejmiemy odciski palców jeszcze raz.

- Na jakiej podstawie? Podejrzeń? Wystarczy średnio kompetentny

prawnik, żeby to miasto musiało sobie poszukać nowego szefa policji.

Z miejsca odmówią. I co wtedy?

- Powiedziałyby się im, zgodnie z prawdą, że jest to warunek pracy w Sanmobilu.

- W ten sposób spowoduje pan masowe wymówienia. I co potem?

Willoughby nie odpowiedział.

- To ja też działałem na naszą zgubę? - wtrącił się do rozmowy

Mackenzie.

- Tak. Powiedziałeś, że porywacze musieli dostać cynk z Sanmobilu, kiedy oczekiwać Reynoldsa. Miałeś oczywiście rację. Ale Brinckman i Jorgensen na pewno pomyśleli, że uważasz, że to oni przekazali tę wiadomość. Być może myślą nawet, że jesteśmy w stanie ustalić, że to oni dzwonili, chociaż rozmowy telefoniczne z kopalni nie są zazwyczaj na podsłuchu.

- Bardzo mi przykro - powiedział Mackenzie, poruszając się niespokojnie na krześle.

- Wielka szkoda. Ale co się stało, to się nie odstanie. Publiczne wymówki wobec ciebie i szefa nic by nie dały.

Zadzwonił telefon. Siedzący najbliżej niego Dermott podniósł słuchawkę i przez chwilę słuchał.

- Chwileczkę - powiedział. - Zdaje się, że powinien pan rozmawiać z panem Shore'em. Właśnie tu jest.

Przekazał słuchawkę Shore'owi i przysłuchiwał się obojętnie jego

odpowiedziom prawie bez wyjątku nic nie mówiącym mruknięciom.

Shore'owi tak bardzo trzęsła się ręka, że dopiero kiedy odłożył słuchawkę, telefon przestał drgać. Twarz mu pobiadła.

- Postrzelili Grigsona - wysapał.

- Jakiego Grigsona? - spytał szybko Brady.

- Prezesa Sanmobilu.

Rozdział trzynasty

Lekarz policyjny, młody człowiek nazwiskiem Saunders, wyprostował się i spojrzał na nieprzytomnego mężczyznę leżącego na stosie koców.

- Na pewno się z tego wyliże, ale teraz nic więcej nie mogę zrobić.

Potrzebny jest chirurg ortopeda.

- Kiedy będę mógł go przesłuchać? - spytał Brady.

- Po środku, jaki mu dałem, odzyska przytomność za kilka godzin.

- Nie mógł pan trochę z tym poczekać?

Doktor Saunders spojrzał na Brady'ego z wyraźną niechęcią.

- Mam nadzieję, że nigdy nie będzie pan miał roztrzaskanego barku

i pogruchotanego ramienia. Pan Grigson konał z bólu. Nie pozwoliłbym na wypytywanie go, nawet gdyby był przytomny.

Brady mruknął coś na temat lekarzy dyktatorów i spojrzał na Shore'a.

- A co, u licha, ten Grigson tu w ogóle robił? - spytał ze złością.

- No wie pan, panie Brady, pan Grigson ma większe prawo być tutaj niż pan, ja i reszta razem wzięci - powiedział zaskoczony i rozgniewany Shore. - Sanmobil jest zrealizowanym marzeniem jednego jedyne go człowieka, który tu leży, przed panem. Zabrało mu dziewięć lat, żeby wcielić w życie to marzenie, i przez cały czas musiał o nie walczyć. Jest prezesem. Rozumie pan? Pre-ze-sem.

- Kiedy przyjechał? - spytał pojednawczo Mackenzie.

- Wczoraj po południu. Przyleciał z Europy.

Mackenzie skinął głową i rozejrzał się po gabinecie Reynoldsa. Nie był to mały pokój, ale panował w nim tłok. Oprócz niego, Brady'ego, Shore'a, doktora Saundersa i nieprzytomnego Grigsona był tu również Willoughby i dwóch młodych mężczyzn, którym najwyraźniej bardzo niedawno mocno się dostało. Jeden miał zabandażowane czoło, a drugi rękę od przegubu do łokcia. Do niego właśnie - nazywał się Steve Dawson - zwrócił się Mackenzie.

- Dowodził pan nocną zmianą?

- Pozornie. Dzisiaj nie było nocnej zmiany. Kopalnia stoi.

-- Wiem. Więc ilu tu was dzisiaj było oprócz pana?

-- Tylko sześciu - odparł Dawson i zerknął na leżącego. - Pan Grigson spał w swoim pokoju, który jest w tym korytarzu. Był jeszcze Hazlitt -- zastępca szefa nocnej zmiany -- i czterech strażników roz-

stawionych po całym terenie kopalni.

= Proszę opowiedzieć, co się stało.

-- Więc... robiłem obchód, wzmacniając w ten sposób straż, bo nie miałem nic innego do roboty. Zobaczyłem, że w gabinecie pana Reynoldsa pali się światło. Z początku myślałem, że to pan Grigson, to bardzo czynny człowiek, nerwowy, sypia bardzo nieregularnie. Potem zacząłem się zastanawiać, co tam może robić, skoro wczoraj rozmawiał z panem Reynoldsem kilka godzin. No więc jak najciszej poszedłem korytarzem do pokoju pana Grigsona. Drzwi były zamknięte, ale nie na klucz. Wszedłem i zastałem go śpiącego. Obudziłem go, powiedziałem, że do kopalni dostali się obcy, i poprosiłem o pożyczenie karabinu. Wiedziałem, że ma broń, bo zwykle ćwiczył na małej prywatnej strzelnicy, którą tu wybudował. Karabinu nie miał, wyjął pistolet automatyczny, ale mi go nie dał. Powiedział, że ma go od wielu lat i umie się nim posługiwać. Nie mogłem z nim dyskutować, w końcu ja mam tylko dwadzieścia osiem lat, a on dobija siedemdziesiątki... W każdym razie zastaliśmy tu przy otwartej kasie mężczyznę. Rozwalił biurko Corinne siekierką pożarniczą i wy dostał odpowiednie klucze. Na twarzy miał maskę z pończochy, a w ręku pęk kluczy, które przeglądał. Pan Grigson kazał mu się odwrócić, bardzo wolno, i ostrzegł go, żeby nie próbował żadnych sztuczek, bo go zastrzeli. A potem nagle za naszymi plecami rozległy się dwa strzały z pistoletu, jeden po drugim, i pan Grigson zwał się raptem na podłogę. Miał na sobie białą koszulę, z prawego barku i spod pachy zaczęła mu lecieć

krew. Widać było, że rana jest ciężka. Padłem na kolana, żeby mu pomóc.

ale ten, co strzelił, myślał chyba, że skoczyłem po pistolet pana Grigsona.

W każdym razie do mnie też strzelił.

Dawson miał krótki oddech i był wyraźnie wyczerpany. Brady nalał

whisky i podał mu kieliszek.

- Niech pan wypije - powiedział.

Dawson uśmiechnął się blado.

-- Ja jeszcze w życiu nie piłem, proszę pana - powiedział.

- Może nie będzie pan miał drugiej okazji -- rzekł z sympatią Brady.

-- Ale ta szklaneczka jest panu potrzebna, a nam potrzebne pańskie

zeznanie.

Dawson wypił, zakrztusił się i rozkasłał. Zacisnął powieki i łyknął

ponownie. Widać było, że nie znosi whisky, czego nie można powiedzieć

148 149

o jego organizmie, bo prawie natychmiast zaróżowiły mu się policzki.

Dotknął zabandażowanej ręki.

- Wygląda gorzej niż w rzeczywistości. Kula tylko mnie drasnęła, od

przegubu do łokcia, ale bardzo powierzchownie. Piecze mnie, i tyle.

Jeden z tych zamaskowanych zmusił mnie, żebym zataszczył pana

Grigsona do zbrojowni. Po drodze do wyjścia wziąłem dwie apteczki

- nie protestowali. Wepchnęli nas do zbrojowni, zamknęli na klucz

i poszli sobie. Zdjąłem panu Grigsonowi koszulę i opatrzyłem ranę, jak

się dało. Zużyłem mnóstwo bandaży - stracił strasznie dużo krwi.

Myślałem, że się wykrwawi na śmierć.

- Mógł się wykrwawić - powiedział z przekonaniem Saunders.

- Pańska szybka pomoc uratowała mu życie.

- Cieszę się, że się przydałem - powiedział Dawson, wstrząsnął się,

spojrzał na doktora i ciągnął: - Potem zabandażowałem sobie rękę

i spróbowałem wyważyć drzwi, ale nie było jak ich otworzyć. Rozej-

rzałem się i znalazłem pełne pudełko detonatorów, wszystkie ze spłon-

kami. Zapaliłem jeden i wrzuciłem do zakratowanego wentylatora.

Wybuch był dość głośny. Zużyłem chyba siedem albo osiem, zanim

nadszedł Hazlitt. Zaczął walić w drzwi i spytał, co się dzieje. Powiedzia-

łem mu i pobiegł po drugie klucze.

Dawson dopił whisky, zakrztusił się, ale już nie tak jak poprzednio,

i odstawił szklanę.

- To byłoby chyba wszystko - powiedział.

- Aż za dużo - pochwalił go Brady niezwykle ciepłym tonem.

- Świetnie się spisałeś, synu. A gdzie George - spytał nagle, rozej-

rzawszy się po zebranych.

Dotychczas nikt nie zauważył nieobecności Dermotta.

- Wymknęli się z Carmodym jakiś czas temu - powiedział Macken-

zie. - Mam go poszukać?

- Zostaw go - odparł Brady. - Nasz wierny pies gończy prawie na

pewno gna jakimś własnym tropem.

I rzeczywiście ich pies gończy gnał sam, a nie w sforze. Odprowadził Carmody'ego na bok i szepnął mu do ucha, że na gwałt chce przepytac tę dziewczynę, Corinne. Gdzie ona jest?

- Na oddziale zakaźnym, jak mówiłem - odparł Carmody. - Ale wątpię, czy sam go pan znajdzie. To samotny budynek, w pobliżu koparki numer jeden. Mam z panem pójść?

- Oczywiście. Bardzo pan uprzejmy - powiedział Dermott, ukrywając niezadowolenie. Chciał pójść sam. Instynkty, które właśnie w nim

odżyły, sprawiały, że czuł się nieswojo -- nic takiego nie przydarzyło mu się od lat. Musiał jednak być realistą i przyjąć przewodnictwo, które mu zaofiarowano.

Wiatr, jak to często bywało późną nocą, wzmógł się i wył wśród otwartej równiny, zionąc morderczym chłodem. Na otwartym terenie jego świst prawie uniemożliwiał rozmowę, dlatego też normalny człowiek uciekałby stąd jak najszybciej.

Carmody znów wsiadł do swojego pogruchotanego samochodu. Wykrzykując na wietrze przeprosiny, wszedł pierwszy drzwiami dla pasażerów i wśliznął się za kierownicę. Potężny Dermott wdrapał się tuż za nim i zatrzasnął drzwi.

Carmody jechał równym tempem przez na pozór niczym nie oznako-

waną równinę. Drogę skryła warstewka sypiącego śniegu i płaski grunt wyglądał jednolicie.

- Skąd pan wie, którądy jechać? - spytał Dermott.

- Po znacznikach... są tam - odparł Carmody wskazując na krótki, gruby czarno-biały słupek, który minęli, oznaczony liczbą "323". - Jesteśmy na drodze numer trzy. Za minutę skręcimy w drogę numer dziewięć.

W sumie jechali blisko dziesięć minut, zanim w ciemnościach przed nimi ukazały się światła. Dermotta jeszcze raz zdumiał ogrom kopalni.

Byli w tej chwili dziesięć, może dwanaście kilometrów od biur.

Światła urosły do rozmiarów jaskrawo oświetlonych okien. Zatrzymali się przed samotnym długim barakiem. Kiedy przekroczyli drzwi, ciepło pospołu z zapachem środków dezynfekcyjnych uderzyło w nich jak obuchem. Dermott natychmiast zaczął się pozbywać wierzchniej odzieży czując, że jeżeli zostanie w niej sekundę dłużej, to się udusi.

Kiedy weszli, Corinne siedziała wsparta o stos poduszek. Była blada, ale - w oczach Dermotta - w zielonej jak groszek piżamie wyglądała ślicznie. Wbrew wróżbom Carmody'ego była w pełni rozbudzona.

Powiedziała im, że spała i że obudziła się myśląc, że to już rano.

- Ä propos, która godzina? - spytała.

- Prawie czwarta rano - odparł Dermott. - Jak się pani czuje?

- Znakomicie. Najmniejszego siniaka, o ile mogę się zorientować.

- To cudownie. Ależ miała pani szczęście!

Dermott zaczął zadawać zwyczajowe pytania, na które właściwie nie

oczekiwał odpowiedzi. Chciał, żeby Carmody sobie poszedł i zostawił ich sam na sam. Nie bardzo wiedział, co by jej powiedział, gdyby do tego doszło, w każdym razie tego właśnie pragnął.

- Dostarczyła nam pani cennych wskazówek - powiedział z zapa-
łem. - Nie mogę nic bliżej wyjaśnić, ale być może pomogą nam one
rozwiązać całą sprawę. Pan Brady jest zachwycony...

150 151

Głos mu zamarł, bo nagle budynek zatrzęsł się od głośnego huku.

- Jezus Maria! - wykrzyknął zadzierając głowę. - Co to?

Carmody już wypadł z pokoju i pobiegł krótkim korytarzem. Dermott
spotkał się z nim przy drzwiach wejściowych.

- Helikopter! - oznajmił krótko Carmody. - Przeleciał nisko, tuż
nad barakiem. Jest tam, ma zapalone światła.

Daleko w ciemnościach widać było biegnące ku sobie czerwone
i zielone światełka, które potem znów się rozdzieliły, kiedy helikopter
się obrócił. W czasie kiedy dwaj mężczyźni stali przyglądając się
śmigłowcowi, w odległości stu pięćdziesięciu metrów od nich rozbłysła
para reflektorów. Samochód przejechał jeszcze kawałek, obrócił się
i stanął oświetlając skrawek śniegu.

- To ich punkt orientacyjny! - krzyknął Carmody. - Będą lądować.

Szybko, zabierajmy dziewczynę. Na pewno przylecieli po nią.

- A skąd mogli wiedzieć, że tu jest? - spytał Dermott.

- Niech pan nie zawraca głowy. Zabierajmy ją.

Poruszając się niczym sprinter, Carmody wśliznął się do baraku, zawinął Corinne w kokon z pledów i wyniósł do samochodu, gdzie zwałił ją na tylne siedzenie. Dermott ociężale podążył za nim, zazdroszcząc mu sprawności, i wgramolił się na przednie siedzenie.

Nie zapalając świateł Carmody uruchomił silnik i odjechał w atramentową noc; kierował się na otwartą przestrzeń, która rozpościerała się za służącym jako punkt orientacyjny samochodem. Kilkaset metrów za pojazdem zakręcił i ustawił się w tym samym kierunku co jego światła, tak że wraz z Dermottem mogli obserwować przez przednią szybę, co się dzieje.

Siedzieli, włączywszy ogrzewanie na cały regulator.

- Ciepło pani? - spytał Carmody przez ramię.

- Tak, dziękuję - odparła Corinne takim tonem, jakby się dobrze

bawiła. - Tych kocy, które tu mam, wystarczyłoby do ogrzania słonia.

Dermott zastanawiał się z niepokojem, czy nie jest to aby żart jego kosztem, ale domysły te przerwało pojawienie się helikoptera. Nadleciał nagle, wielki i szarobiały, opadając w dół wśród śnieżnej zamieci w kałuże światła. Wirnik błyszczał jaskrawo w srebrnych snopach reflektorów, a skierowany w dół strumień powietrza wzbijał na wszystkie strony śnieg.

- To ten! - powiedział z podnieceniem Carmody. - Helikopter,

którym uciekli. Wygląda dokładnie tak, jak go opisał Johnson: szarobiały, bez oznaczeń, małe stateczniki na ogonie. To jego szukamy. Cholera!

Natychmiast po wylądowaniu helikoptera reflektory samochodu zgas-

ły. Siedzieli oślepieni nagłą ciemnością. W mroku widzieli kołyszące się światło latarki, ale nic poza tym.

- Kurczę, ale się wściekną, jak odkryją, że pani nie ma! - powiedział uszczęśliwiony Carmody.

- Myśli pan, że oni nadal są w helikopterze? To znaczy, reszta?

- spytała Corinne.

- Bardzo możliwe. Zależy gdzie on był przez ostatnie kilka godzin.

Pewnie stał gdzieś na ziemi.

- Ruszaj pan! - warknął Dermott. - Jedźmy stąd.

- Chwileczkę - odparł spokojnie Carmody. - Chcę zobaczyć, co zrobią. Lada chwila wejdą do baraku. O... widzę ich.

Pod oświetlonymi oknami baraku szły prędko dwie postacie. Przez chwilę światła było więcej, bo otworzono i zamknięto drzwi.

- A nie możemy staranować helikoptera albo coś w tym guście?

- spytała Corinne. - Tak żeby nie mogli odlecieć?

- Za duży - odrzekł natychmiast Carmody. - Widziała pani jego golenie i płozy? Są wyższe od naszego samochodu. Podwozie byśmy im

zniszczyli, ale nie przeszkodzili w odlocie. A poza tym, jak ich znam, tej maszynki pilnuje co najmniej dwóch uzbrojonych. Ej, co to było?

- Co? - spytał Dermott patrząc na Carmody'ego.

- Coś słyszałem. Jakąś maszynę. Na pewno słyszałem - powiedział

Carmody i spojrział ponad ramieniem Dermotta w ciemność. - Niech

pan na chwilę otworzy okno.

Dermott spełnił życzenie i natychmiast hałas znacznie się wzmógł

= był to potężny pisk i szczęk, jaki wydaje olbrzymia maszyna.

- Chryste Panie! - krzyknął Carmody. - To koparka. Jest tuż obok.

Dermott otworzył drzwiczki i wyrzwał. Jego przyzwyczajone do ciem-

ności oczy ledwie rozróżniły gigantyczny kontur koparki wznoszącej się

nad samochodem. Hałas stał się nagle ogłuszający.

- Rany boskie! - krzyknął na wiatr. - Jest włączona. Sunie!

Odruchowo zaczął biec w stronę koparki albo raczej obiegać ją

dokoła, bo był już przy niej. Z boku słyszał jęk silników elektrycznych,

pisk metalu i chrzęst zmarzniętego pyłu, kiedy potężny but koparki

sunął naprzód. Od zimnego wiatru paliło go w płucach, a oczy łzawiły

mu przez krótką chwilę, zanim łzy zamarzły. Nawet w tak nieznośnych

warunkach płonął z podniecenia i gniewu, że oto tuż nad nim dokonuje

się ostateczny i bezczelny akt sabotażu. W przebłysku intuicji pojął, co

tamci planują - doprowadzenie monstrualnej maszyny na krawędź

wykopu, który pogłębiała.

Fakty i liczby, którymi zarzucono go wcześniej, zaczęły mu się kłębić

w głowie. Sześć i pół tysiąca ton. W ciągu godziny koparka mogła

przebyć około dwustu pięćdziesięciu metrów. Wykop miał pięćdziesiąt

metrów głębokości. Więc chociaż nie był inżynierem, zdawał sobie sprawę, że jeżeli ten potwór przekroczy krawędź wykopu, już się z niego nie wydostanie.

Obiegł przód koparki i doznał nowego wstrząsu. Krawędź wykopu, wyglądająca jak przepastna czarna czeluść bez dna, była zaledwie o niecałe trzydzieści metrów od maszyny. a może tylko o dwadzieścia pięć. Co znaczyło, że na zatrzymanie tego przeklętego urządzenia pozostała jedna dziesiąta godziny - sześć minut. Z rozpaczą zadarł głowę. Wysięgnik koparki, wielki jak przewrócona wieża Eiffla, ginął w mrokach nocy. Dermott musiał jakoś dostać się do kabiny operatora i nacisnąć odpowiednie wyłączniki.

Pobiegł z powrotem pod koparkę, przebiegając pomiędzy jej butami. Gdzieś była drabinka. Wreszcie ją znalazł. Ale kiedy spojrzał w stronę kabiny, znajdującej się wysoko nad nim, spostrzegł w wątłym świetle poruszającą się postać. Zawahał się z nogą na drabince, żałując, że nie ma pistoletu, i zastanawiając się, czy nie wrócić do Carmody'ego. Była to jego ostatnia myśl w ciągu kilku następnych minut, bo dostał mocno w kark i kiedy padł na ziemię, miał wrażenie, że w głowie rozprysły mu się punkciki jaskrawego światła.

Ocknął się leżąc w dziwnej pozycji i dygocąc z zimna. Ręce miał czymś unieruchomione - unieruchomione za plecami. Czuł, że musi je

rozprostować i poruszyć nimi. Naprężył się i ze zgrozą uświadomił

sobie, że ręce ma nie tylko skute razem, ale i przykute do czegoś!

Stęknął z wysiłku, na co z ciemności za jego plecami odezwał się jakiś mężczyzna.

- Szarpanie się nic nie pomoże, panie Dermott. - Głos wydawał się

Dermottowi znajomy, choć nie mógł go skojarzyć z żadną osobą. - Jest

pan przykuty do stalowego pierścienia wtopionego w beton. Pierścień

znajduje się dokładnie na drodze koparki, która, jak pan widzi, jest już

kilka metrów od pana. Dźwignie są nastawione i zablokowane tak, że

środek prawego buta przejdzie po panu. Żegnam, panie Dermott, ma

pan dwie minuty życia.

- Dranie! - krzyknął Dermott. - Sadyści! Wracajcie!

Ale krzycząc już wiedział, że to na marne. Pośród wyjącego wiatru

i potwornego zgrzytu koparki jego głos był niczym i nigdzie nie

docierał. Odwrócił się i odkrył, że przykuto go tuż nad krawędzią

wykopu - brzeg czarnej otchłani był nie dalej niż metr. Kiedy spojrzał

w drugą stronę, czub wielkiego buta koparki bezlitośnie dotykał ziemi

w odległości najwyżej czterech i pół metra od niego. Przód buta parł

jak czołg. Ponad głową Dermotta stalowa siatka wyciągnika zdawała się

wypełniać niebo, znacząc je złowieszczym czarnym wzorem.

Dermott przestał krzyczeć i zaczął się mocować z kajdankami. W końcu

udało mu się je poruszyć i poczuł, że kawałek łańcucha przeszedł przez

tkwiąc w betonie ogniwo. Szarpał nim wściekle w przód i w tył mając nikłą nadzieję, że łańcuch pęknie, ale osiągnął tylko to, że dotkliwie obtarł sobie przeguby i wystawił je na mróz. Czuł, że lodowata stal wżera mu się w nagą skórę. Odmrozę ręce, pomyślał z otępieniem. Ale co znaczyło odmrożenie rąk, skoro miał zostać zgnieciony jak robak?

- Carmody! - wrzasnął z rozpaczą. - Na pomoc!

Gdzie on się, psiakrew, podział? Dlaczego nie przyszedł zobaczyć, co się dzieje?

Dermott znów szarpał za łańcuch i upadł plackiem, ciężko dysząc.

But, który był od niego zaledwie o trzy i pół metra, posuwał się z chrzęstem centymetr po centymetrze. Wycie silników elektrycznych zdawało się wypełniać noc, tak jak gdyby o Dermotta upominało się samo piekło.

Zaczął targać całym ciałem w prawo i lewo, starając się wybadać, czy może się usunąć krocącemu butowi z drogi. Ale wszystkie te próby zdały się na nic: but miał trzy metry szerokości, a on był przykuty na samym środku jego trasy. Potwora nastawiono z przerażającą precyzją.

Dermott znów leżał spokojnie, ciężko dysząc, pokonany. Nagle w mózgu zaczęły mu rozbłyskiwać obrazy, które bez jego woli przywoływała skrajna rozpacz. Jeszcze raz był świadkiem ostatnich przerażających chwil przed katastrofą samochodową, w której zginęła jego żona, wypadku w Zatoce Meksykańskiej, kiedy wybuch zdmuchnął go z platformy wiertniczej do morza rojącego się od rekinów...

W jednej chwili zdał sobie sprawę, że błyszczy nad nim światło. Ktoś przykucnął i pociągnął go za rękę. A potem usłyszał wysoki krzyk kobiety.

- Corinne !

- O mój Boże! - krzyknęła. - Co się stało? O Jezu! - Skoczyła na równe nogi i zaczęła biec. -- Zaczekaj! - wrzasnęła przez ramię.

Dermott widział, jak pada, podnosi się i biegnie jak chart wokół buta, a światło latarki huśta się dziko w ciemnościach. Krzyknął coś za nią, ale stracił ją z oczu. Powiedziała: zaczekaj. Zaczekaj! Jak mogła tak powiedzieć! Przecież on nie mógł czekać. But był zaledwie trzy metry od niego - o jedną minutę plus albo minus kilka sekund.

Poczuł, że do oczu nabiegły mu łzy, ale nie umiałby powiedzieć - ze strachu, ulgi czy wdzięczności. Płakał jak dziecko.

154 155

Mijały sekundy. Zaczął je liczyć. Doszedł do dziesięciu i nie mógł dalej. Zawładnęła nim przerażająca i dokładna w szczegółach wizja procesu fizycznego zniszczenia, którego lada chwila miał paść ofiarą.

Pierwsze oddałby potworowi na pożarcie stopy i nogi. Ale czy na pewno? Czy na pewno mógłby słuchać i patrzeć, jak kostki, golenie i kolana pękają mu z chrzękiem, wgniatane w ziemię? Nie, musi

skończyć ze sobą szybko i najpierw oddać potworowi głowę. Ale jak to

będzie wyglądać, Chryste Panie? Słuchać jak pęka czaszka i czuć

niewyobrażalny ciężar? Niemożliwe! Nigdy!

- Carmody!!! - wrzasnął jeszcze raz.

Jak gdyby stał się cud, odpowiedziano mu na jego okrzyk. Nagle

z mroku wystrzeliły dwa świdrujące światła reflektorów, a kiedy pojazd

skręcił, prześliznęły się po Dermocie. Patrzył z niedowierzaniem, jak

zbliżają się szybko, kierując się wprost na niego i na przód buta

koparki. W ostatniej chwili pojazd zwolnił, ale nie na tyle, żeby się

zatrzymać. Kierowca z rozmysłem wjechał nim pod czub buta, używając

go jako ostatniej przeszkody, która może przyhamować marsz potwora.

Trzasnęło ostro i z brzękiem posypało się szkło. Potem drzwi samo-

chodu otworzyły się i wyskoczyła z nich Corinne.

Miejsca było już tak niewiele, że o mało co go nie przejechała. Koła

z lewej strony samochodu prawie go dotykały, a po chwili zobaczył, że

przemóżny napór posuwającej się naprzód koparki spycha w jego

kierunku opony wozu.

Corinne otworzyła klapę z tyłu samochodu. Wyciągnęła stamtąd

stalowe pudło z podręcznymi narzędziami i rzuciła je z trzaskiem na

ziemię za plecami Dermotta.

- Nie ruszaj się! - zawołała przekrzykując hałas. - Zaraz... cofnij

się trochę. Tak. Tak leż! Mam szczypcę do metalu.

Dermott odchylił się do tyłu, jak mu kazała, oniemiały z napięcia.

Widział, jak koła samochodu znów przesuwają się w jego stronę. Tylne

koło dotykało już jego stóp. Samochód był popychany jak zabawka.

Pomyślał, że posuwając się w takim tempie prędzej zaszkodzi mu on, niż pomoże, działa bowiem po prostu jak przedłużenie buta koparki

- zmiążdży wcześniej niż ona sama.

Czuł, że Corinne szamocze się za jego plecami. Nagle krzyknęła rozpaczliwie.

- O mój Boże! Nie dam rady. Nie mam tyle siły

Dermott odzyskał głos.

- Co się dzieje? - krzyknął.

- Cęgi! - odparła, łkając. - Szczypce wbiły się w łańcuch, ale nie mogę ich docisnąć. Jest za twardy!

- Połóż jeden koniec na ziemi - rozkazał spokojnie. - Jedną ich rączkę na ziemi, a na drugi stań.

Słyszał, że próbuje to zrobić, ale pośliznęła się i upadła z hałasem.

- Spróbuj jeszcze raz! - krzyknął.

Huk koparki był ogłuszający, turkotanie i zgrzyty wypełniały noc. Lecz oto nagle rozległ się nowy dźwięk -- ostry trzask, który oznajmił mu, że wielkie stalowe podeszwy buta zagarnęły jakąś część karoserii samochodu. Zamiast zepchnąć pojazd dalej, pochwyciły go i przycisnęły do ziemi.

Dermott przyglądał się, nie wierząc własnym oczom, jak samochód pęka niczym skorupka jajka. Zgasł ostatni palący się reflektor. Odgłosom kruszenia i łamania towarzyszyło zapadanie się maski i przednich kół.

Za jego plecami Corinne krzyknęła rozpaczliwie.

- Nie mogę go przeciąć. Przecięłam do połowy, i koniec.

- Znajdź piłkę do metalu! - polecił Dermott. - Jest w tej skrzynce!

- Mam! - Corinne znów zaczęła pracować gorączkowo.

Dla Dermotta czas jakby się zatrzymał. Zobaczył, że silnik dżipa stawiał wreszcie koparce nikły opór - co prawda bardzo słaby, ale wyraźny.

Ociężała jak dinozaur maszyna podniosła wolno jedną stopę w powietrze, drugą stalową podszwą miażdżąc równocześnie śmiesznie mały pojazd. Dermott jak w transie patrzył na roztrzaskującą się przednią szybę, na zginający się przód dachu i rozplaszczającą się kabinę pasażerów. Tuż przed nim tylne koło odpadło i zostało wprasowane w ziemię. Przód buta był tak blisko, że gdyby miał wolne ręce, mógłby do niego sięgnąć.

Ale nie miał wolnych rąk.

- Nie mogę! -- krzyknęła z rozpaczą Corinne.

To mu przywróciło jasność myślenia.

- Czy jest tam siekiera? - krzyknął.

- Co?

- Siekiera.

- Tak... mam.

- Uderz nią w łańcuch. Celuj w ogniwo, które przecinałaś.

- Mogę cię trafić.

- Nieważne! Wal.

Opuściła siekierę i poczuł uderzenie. Łańcuch szarpnął go mocno za nadgarstki i niemal wyrwał mu ręce ze stawów. Nagle poczuł zapach benzyny: zgruchotało bak.

Buch! Uderzyła siekierą, a potem jeszcze raz. Kiedy Dermott obrócił się, żeby spojrzeć, jak jej idzie, szponowaty gwint buta otarł mu się o ramię. Maszyna dotykała go. Cofnął się przed potworem i wyrzucił z siebie swój ostatni, straszny pomysł.

156 157

- Odetnij mi dłonie! - rozkazał z całkowitym spokojem.

- Nie mogę!

- Odcinaj! Albo one, albo ja.

- Nie!!! - krzyknęła przeraźliwie i opuściła siekierę z całą siłą, na jaką było ją stać. W następnej chwili klęczała płacząc. - O mój Boże, puść! Puść!

Dermott pokonał odruch, żeby się poderwać. Kiedy dziewczyna mocowała się z rozerwanym ogniwem, przypadł do ziemi. Podeszwa buta już go uderzyła i gnioła. Wiedział, że za kilka sekund schwyta go, tak jak przedtem schwytała samochód.

- Szybciej, jak Boga kocham! - krzyknął.

W cudowny sposób jego ręce stały się nagle wolne. Przywrócił im

naturalną pozycję i odturlał się w bok.

- Uważaj na wykop! - wrzasnął.

Sam leżał już na krawędzi. Ledwie zdołał się wytoczyć poza zasięg koparki, rozległ się stłumiony wybuch i po ziemi wystrzelił z grzmiotem na boki ciemnoczerwony płomień. Przypadkowa iskra zapaliła rozlaną benzynę z baku samochodu. Na szczęście Dermott turlał się pod wiatr, tak że ognisty wybuch przetoczył się w inną stronę i go nie tknął. Za plecami miał Corinne, również całą i zdrową.

Ogień nie sprawił żadnej różnicy maszerującemu potworowi. Płomienie huczały przez kilka sekund, po czym zgasły, zaś koparka postępowała bez wahania ku krawędzi.

Dermott osłabł z wrażenia, ale nie tak jak dziewczyna. Dopiero co stała za nim, a już w następnej chwili, kiedy próbował znaleźć słowa podziękii, zwała się jak kłoda na ziemię. Podniósł ją najdelikatniej, jak umiał, przerzucił ostrożnie przez ramię tak, jak to robią strażacy ratujący ludzi z pożaru, i zaczął ją nieść w stronę baraku chorób zakaźnych, w którego oknach nadal paliło się światło. Oczy zaszyły mu mgłą jakby z wysiłku.

A może był to lód? Otarł je wolną ręką - teraz widział lepiej. W oddali przed nim, oświetlony plamą białego światła, szykował się do odlotu helikopter. Reflektory miał zapalone. Kiedy Dermott na niego patrzył, śmigłowiec oderwał się od ziemi i ukośnym lotem wzbił się w niebo.

Samochód, którego światła służyły załodze helikoptera za punkt

orientacyjny, natychmiast odjechał, przyspieszając. Dermott uświadomił sobie, że łajdacy jeszcze raz rozplłynęli się w mrokach nocy.

Wiedział, że to go powinno zmartwić, ale w tym stanie mógł myśleć jedynie o powrocie do ciepłego baraku i o położeniu się.

Szedł wolno, był bardzo blisko budynku, kiedy spostrzegł, że ktoś idzie przed nim wzdłuż szeregu oświetlonych okien. Przestraszył się.

Mógł to być jeden z nich. Miałby zginąć teraz, po tych wszystkich trudach? Zanim zdążył odłożyć swój ciężar albo zmienić trasę, zapalono latarkę i po krótkich poszukiwaniach jej promień odnalazł jego twarz.

- Boże święty! Dermott!

- Carmody! Gdzie pan się podziewał?

- Próbowałem przewrócić helikopter. A pan?

- Miałem... trochę kłopotów - odparł Dermott, spostrzegając, że

ledwo mówi. Był bliski załamania. - Niech pan ją weźmie, dobrze?

- wyrzeźił. - Już nie mogę.

Carmody z okrzykiem uwolnił go od ciężaru bezwładnej dziewczyny.

- Prędko. Do środka - powiedział.

Ułożyli Corinne na jednym z łóżek, a Dermott z kajdankami wciąż jeszcze zwisającymi mu z przegubów rąk zwałił się na inne.

- Niech pan zadzwoni do Shore'a - wysapał. - Powie mu, żeby

odłączył prąd od pierwszej koparki. Niech pan powie jemu i Brady'emu, żeby tu przyjechali, i to jak najszybciej.

Żeby oświetlić dno głębokiego na pięćdziesiąt metrów wykopu, musieli zapalić reflektory. Musieli również wbić dziesięć metrów od jego krawędzi haki i przywiązać do nich liny, żeby ci, co mają skłonność do zawrotów głowy i mniej pewnie trzymają się na nogach, mieli się czego złapać zaglądając w głąb przepaści.

Koparka nr 1 wylądowała na nosie, z tyłem odchylonym od niemal pionowej ściany wykopu o trzydzieści stopni. Potężna obudowa wyglądała na nie tkniętą, tak samo jak trójkątne ramię, nad którym biegły kable sterownicze. Nawet wysięgnik rozciągnięty poziomo na całą długość na dnie rowu wydawał się nie uszkodzony; przynajmniej oglądany z góry.

Brady przezornie owinał trzy razy asekuracyjną liną swój potężny brzuch.

- Zaskakująco mało zniszczona - powiedział. - R przynajmniej tak wygląda. Pewnie wyleciało z łożysk kilka silników elektrycznych.

- To nasze najmniejsze zmartwienie - powiedział załamany Jay Shore z twarzą popielatą w świetle reflektorów. Widok unieruchomionego potwora zrobił na nim daleko większe wrażenie niż na pozostałych. - Trzeba będzie ją stamtąd wydostać.

- A czy nie łatwiej byłoby sprowadzić inną? - spytał Brady.

Shore tylko machnął na to ręką.

- Rany boskie, czy pan wie, ile by nas kosztowała przy dzisiejszych

cenach? Czterdzieści milionów dolarów. Prawdopodobnie więcej. Ale

158 159

przecież nie można jej tak po prostu zamówić. Gdyby taka była gotowa, Sanmobil na pewno by ją kupił. Ale tego nie da się załatwić. Takiej wielkiej maszyny nie transportuje się lądem. Oddzielnie wiezie się silniki elektryczne, cały kram przychodzi w skrzyniach rozłożony na dziesięć tysięcy części, a na złożenie koparki zespół wykwalifikowanych techników potrzebuje miesięcy.

- A dźwigi? - podsunął Brady. Wyglądał na zafascynowanego samymi rozmiarami problemu. Albo też starał się rozerwać, żeby nie myśleć o zaginionej żonie i córce.

- Największe dźwigi na świecie, cała ich bateria, nie uniosłyby tej koparki nawet na centymetr. Albo będziemy musieli rozebrać ją na części i wyciągnąć na górę po kawałku, żeby ją tu złożyć, albo wybudować drogę z dołu aż na poziom gruntu i wyciągnąć ją na wózkach... choć być może wydostanie się o własnych siłach. Droga musiałaby biec pod bardzo łagodnym kątem, co oznacza, że miałaby ponad pół kilometra i potężne, ciężko uzbrojone żelazem fundamenty. Cokolwiek zrobimy, będzie kosztowało miliony. - Shore zamilkł i przez dłuższą chwilę miotał przekleństwa. - I pomyśleć, że stało się to w ciągu zaledwie siedmiu minut!

- Dlaczego pan jej nie zatrzymał po naszym telefonie? - spytał

Carmody.

- Dranie znali się na rzeczy - odparł z wściekłością Shore. - Dostali się do siłowni, włączyli przełącznik doprowadzający prąd do tej koparki, zamknęli drzwi z zewnątrz, zostawili klucz w zamku i rozwalili go tak dokładnie, że trzeba je będzie otwierać palnikiem acetylenowym. Po prostu nie mogliśmy dostać się do środka, żeby wyłączyć prąd.

- Na pewno wiedzieli, jak wyrządzić największe szkody najmniejszym wysiłkiem - rzekł Brady. - Uważam, panie Shore, że nie ma sensu stać tu ani chwili dłużej, bo tylko jątrzy pan swoje rany. Chodźmy do środka i spytajmy George'a, co się stało.

- Dobrze. Chodźmy.

Shore, który nadzorował budowę kopalni, pracując wspólnie z kontrahentami, firmą Bucyrus-Erie, dziwnie niechętnie rozstawał się z powalonym olbrzymem. Czuł się tak, jakby porzuczał starego przyjaciela.

Brady potrafił zrozumieć jego uczucia, ale sam również nie był ich pozbawiony - poczuł właśnie, że jest mu bardzo zimno.

Shore spojrzał po raz ostatni na koparkę i zawrócił w stronę ciepłego raję, jakim było wnętrze minibusu.

-Dobrze - powtórzył machinalnie. - Wysłuchajmy, co powie

Dermott.

Pojechali z powrotem do baraku: Dermott leżał w łóżku i odpowiadał właśnie na pytania Willoughby'ego. Corinne siedziała na krześle w kącie małego pokoju i była chyba w lepszej formie niż mężczyzna, któremu ocaliła życie.

- Jak się czuje? - szepnął Brady na korytarzu do pielęgniarki.

- Przeguby ma fatalnie obtarte od kajdanków, a do tego odmrożone

- odparła. - Przez następnych kilka dni będą go mocno bolały. Ale wygoją się.

- A stan ogólny? Nie przeziębził się?

- No wie pan! Przecież to chłop jak byk.

Kiedy Brady, Mackenzie i Carmody weszli do pokoju Dermotta, było tam już tłoczno. Brady wydawał się bardzo wzruszony widokiem swojego starszego agenta powalonego niemocą, z grubo zabandażowanymi dłońmi i przedramionami.

- No tak, George - zaczął i głośno odchrząknął. - Podobno masz zamiar to przeżyć.

- Jasne, że tak - odparł Dermott i uśmiechnął się do nich. - Ale, słowo daję, nie chciałbym przeżyć tego jeszcze raz.

- już wszystko wiem - wtrącił Willoughby energicznym i poważnym tonem. Szybko streścił przebieg wypadków, z przylotem i odlotem helikoptera włącznie. - Z przykrością muszę stwierdzić, panie Shore, że wielu pracowników kopalni dało się przekupić. Po pierwsze, ktoś

dokonał sabotażu w siłowni, tak że nie mógł pan wyłączyć prądu. Po drugie, ktoś nastawił koparkę tak, żeby zwała się do wykopu. Po trzecie, ktoś inny uderzył pana Dermotta i przykuł go do stalowego pierścienia. Po czwarte, jeszcze ktoś inny dał znać porywaczom, że dziewczyna przeżyła upadek z helikoptera i jest na oddziale zakaźnym.

To sporo łajdaków jak na jedną kopalnię.

- Święta racja - powiedział z goryczą Shore. - A czy nie sądzi pan, że helikopter przyleciał tu, żeby zniszczyć koparkę? Że ktoś z niego wysiadł i nastawił odpowiednie przełączniki?

- Niemożliwe. Koparka była w ruchu, zanim helikopter wylądował.

Czy tak, panie Dermott?

- Tak. Przynajmniej... nie, niezupełnie. Rle widzieliśmy, że ci z helikoptera idą prosto do baraku, a potem tuż obok siebie usłyszeliśmy koparkę w ruchu. Tamci nie mieli czasu do niej dotrzeć i jej włączyć.

- Jedno chciałbym wiedzieć, panie Brady, czy pańska rodzina była wtedy w dalszym ciągu w helikopterze - rzekł Willoughby.

- Były tam - powiedział Carmody, zaskakując wszystkich nieoczekiwanym oświadczeniem. - Pan Reynolds też był z nimi.

161

- Skąd pan wie? - spytał Brady, a Dermott nagle usiadł.

- Bo ich widziałem. Właśnie tym byłem zajęty przez cały czas, kiedy

pan Dermott zajmował się koparką. Zrobiłem na piechotę duże koło i zaszedłem helikopter od tyłu. Drabinki pilnował typ z pistoletem maszynowym, ale wspiałem się z drugiej strony na rozpórkę płozy i zajrzałem przez okna do kabiny. Byli tam wszyscy: pani Brady, Stella, pan Reynolds.

- Jak . . . - zaczął niepewnie Brady. - Jak wyglądały?

- Dobrze, całkiem dobrze. Były spokojne. Ale nie aż tak bierne, jak na to wyglądało.

- To znaczy? - spytał szybko Dermott.

- Którejś udało się wyrzucić to przez okno albo drzwi - odparł

Carmody. Z kieszeni na piersi wydobył brązowy skórzany portfel

i wręczył go Brady'emu. - Chyba należy do kogoś z pana rodziny, tu są takie ładne złote inicjały J.A.B.

- O mój Boże! - wykrzyknął Brady i wziął portfel. - To własność

Jean. Na drugie imię ma Anneliese. Prezent urodzinowy. Coś w nim jest?

- Oczywiście. Proszę zajrzeć.

Lekko drżącymi palcami Brady otworzył portfel, odpiął zatrzask

i wyjął mały karteluszek.

- Stacja Meteo. Jezioro Wronia Łapa - odczytał na głos. - No, niech mnie diabli!

Dermott był uszczęśliwiony.

= Wiedziałem! Wiedziałem! - powtarzał. - Wiedziałem, że te

dranie przeholują. Nie mówiłem, że ze zbytnej pewności siebie albo w przyływie desperacji popełnią gruby błąd? No i popełnili. Któryś nie mógł oprzeć się pokusie mówienia. Jean usłyszała nazwę i zapisała ją. Brawo, Jean!

- To ślepy traf, że go znalazłem - wyjaśnił Carmody. = Przy odlocie helikoptera wzbilo się do licha i trochę śniegu, który prawie go przysypał. Rozglądałem się właśnie szybko tam na miejscu, kiedy zobaczyłem róg portfela -- wystawał z zasy.

- W każdym razie go mamy -- rzekł Dermott

- Na co tu jeszcze czekać?

=Nie tak szybko =- ostudził go Brady. -- Przede wszystkim nie wiemy, gdzie jest to jezioro Wronia Łapa.

- O nie, wiemy - wtrącił się Willoughby. =- Leży za Górami

Brzozowymi, sto dwadzieścia, sto trzydzieści kilometrów na północ.

Dobrze je znam.

162

- Jak się tam dostać? - spytał Dermott.

Willoughby spojrzał na niego z wyrzutem.

- Helikopterem - odparł. - Inaczej nie można.

- Jest czwarta rano, panowie - powiedział Brady, wzdychając cięż-

ko. - Byłoby błędem robić cokolwiek tej nocy. Po pierwsze dlatego, że

wszyscy jesteśmy zmęczeni.

- A po drugie, że nie mamy helikoptera - dodał Dermott.

- Właśnie, George. Muszę przyznać, że ciężkie przeżycia nie odebrały ci jasności myślenia.

-Dziękuję - powiedział Dermott i położył się uszczęśliwiony.

- Może pan Willoughby pomoże nam jutro rano, to znaczy dziś, za kilka godzin.

-Oczywiście, oczywiście - zapewnił ich Willoughby wstając.

- Ale proszę wszystkich o zachowanie ostrożności. To są zawodowcy.

Ich dotychczasowe występy są imponujące. Najbardziej uszczęśliwiłoby

ich dopadnięcie sam na sam któregoś z pańskich współpracowników,

panie Brady. Albo pani - powiedział obracając głowę w stronę Corin-

ne, ale po to tylko, żeby stwierdzić, że zasnęła na siedząco w kącie

pokoju. -- Pilnujcie jej. Cokolwiek robicie, trzymajcie się razem.

- Tak jak teraz - powiedział Brady. - Wszyscy wsiądziemy razem

do autobusu i wrócimy do miasta. Zdaje się, że pański wehikuł nie jest

na chodzie, panie Carmody? Pojedzie pan z nami?

- Rozpłaszczyła go jak naleśnik - powiedział Carmody z gorzką

ironią. - W życiu nie widziałem czegoś takiego.

Zapakowali się do samochodu, który prowadził Shore. Ale zanim

zdążyli dojechać do budynków biur, przez radio dosięgła ich wia-

domość.

- Pilna wiadomość dla pana Shore'a - usłyszeli głos Steve'a Daw-

sona, dowódcy nocnej zmiany straży. - Mamy kolejny alarm.

- Och, tylko nie to! - jęknął Shore. - Jestem w drodze. Zaraz tam będę.

Czekający na nich Dawson zaprowadził ich prosto do pokoju w głównym korytarzu. Stało tam sześć łóżek i służył on najwyraźniej za sypialnię. Na jednym z nich leżało ciało młodego blondyna, którego niewidzące oczy patrzyły w sufit.

- Boże święty! - wykrzyknął Shore.

- Kto to jest? - spytał Dermott.

- David Crawford. Strażnik, o którym mówiliśmy.

- Ten, którego podejrzewaliśmy?

- Tak. Co się stało?

163

- Dostał nożem w serce, cios w plecy - odparł Saunders, lekarz policyjny, który stał przy łóżku. - Nie żyje od kilku godzin. Właśnie go znaleźliśmy.

- Jak to możliwe? - spytał Dermott. - Czy to nie jest sypialnia strażników?

- Jedna z dwóch - odparł Saunders. - Druga jest większa. Zwykle przebywają tu strażnicy, którzy mają wolne. Ale od chwili unieruchomienia kopalni ludzie powyjeżdżali do domów. Po co miałby tu dziś

ktokolwiek zaglądać?

- Zimne dranie - powiedział bardzo cicho Brady. - Na razie czterech zabitych i dwóch ciężko rannych. Tak, panie Willoughby, czeka pana śledztwo w sprawie morderstwa.

Rozdział czternasty

O 11.30 tego samego ranka Brady i jego zespół byli jedynymi gośćmi w hotelowej restauracji. Wiatr na dworze ustał, opady ograniczyły się do przelotnych śnieżyc, a przez sunące po niebie chmury dzielnie starało się przebić słońce. W hotelu panował nastrój oczekiwania i tłumionego podniecenia.

- Jed_o jest pewne - oświadczył stanowczo Brady. - Nie pojedziesz na tę małą wycieczkę.

- A właśnie, że pojedę - zaprotestował Dermott. - To jasne.

Spróbujcie mnie tylko zostawić.

- A na co ty się przydasz? - spytał Brady na wpół szyderczo, ale i ze współczuciem. - Strzelać nie możesz, nikogo nie powalisz, nikogo nie zwiążesz.

- Wszystko jedno, muszę tam być - upierał się Dermott. Był szary z niewyspania i bólu, jaki sprawiały mu pokiereszowane przeguby. Mógł używać rąk do delikatnych czynności, ale palce miał sztywne i żeby sobie ulżyć w cierpieniu, trzymał łokcie na stole, a przedramiona wycelowane w górę. - Potrzebuję tylko dwóch temblaków - mruknął.

- Na obie ręce.

- R może byś został i zaopiekował się swoją dzielną wybawicielką?

- zaproponował mu z szelmowską miną Mackenzie.

- Chyba nic jej nie grozi - mruknął Dermott, wyraźnie się rumieniąc.

- Pewnie, strzegą jej - przyznał Mackenzie. - ale byłoby bezpiecznie, gdyby pojechała z nami. Skoro zaraza sięgnęła tak daleko...

- Urwał i powrócił do jedzenia, bo zobaczył, że przez salę idzie szef policji Willoughby.

- Dzień dobry, szefie - przywitał go promiennie Brady. - Przespał się pan?

- Godzinę - odparł Willoughby, próbując się uśmiechnąć, ale bez przekonania. - Co zrobić, służba nie drużba.

165

- Mam wiadomości - oświadczył nagle Brady. - Niech pan siada.

- Podał mu przez stół list. - Wiadomość od naszych "przyjaciół".

Nadana wczoraj na miejscowej poczcie

Willoughby przeczytał pierwszy ustęp nie zmieniając wyrazu twarzy.

Potem potoczył wzrokiem po towarzyszach i oznajmił:

- Miliard dolarów.

Nagle spokój go opuścił.

- Miliard dolarów? Chryste Panie! - zawołał i powtórzył "miliard dolarów" kilka razy, przeplatając te słowa przekleństwami. - Oni chyba powariowali. Kto weźmie poważnie takie bzdury?

- Myśli pan, że to bzdury? - spytał Dermott. - A ja nie. Jest to prawdopodobnie zbyt optymistyczna ocena tego, co może wytrzymać rynek, ale chyba nie za bardzo przesadzona.

- Nie wierzę - powiedział Willoughby i rzucił list na stół. - Miliard dolarów! Jeżeli nawet traktują to serio, to w jaki sposób można przekazać te pieniądze tak, żeby nie naprowadzić na ślad ich odbiorcy?

- Nic prostszego - odparł Mackenzie, nabijając na widelec kawałek naleśnika. - W labiryncie eurodolarów i kapitałów zagranicznych zgubiłby się nawet skarbiec Stanów Zjednoczonych.

Willoughby spojrzał na niego ponad zastawionym do śniadania stołem.

- Pan naprawdę zapłaciłby temu potwornemu szantażyście? - spytał.

- Ja nie - odparł Mackenzie. - Nie byłbym w stanie. Ale ktoś to na pewno zrobi.

- A kto będzie aż tak szalony?

- To nie żadne szaleństwo - odrzekł cierpliwym tonem Dermott.

-- Po prostu kalkulacja, zdrowy rozsądek w interesach. Ci, którzy mają

najwięcej do stracenia, oba nasze rządy i wielkie towarzystwa naftowe, które zainwestowały w Alaskę i Albertę. Nie wiem, jak to wygląda w Kanadzie, ale w Stanach zrodzi się intrygujący problem, bo wszystkie operacje rządu prowadzone do spółki z towarzystwami naftowymi wymagają zgody Kongresu, a jak wie każdy uczeń, Kongres ochoczo złożyłby towarzystwa naftowe w ofierze. Byłoby to niezwykle przedstawienie rozrywkowe.

Willoughby wyglądał na zbitego z tropu.

- Niech pan czyta dalej - zachęcił go Brady. - Następny akapit jest już mniejszym szokiem dla systemu nerwowego.

Policjant wziął list i znów zaczął czytać.

- A więc chcę, żeby pan wyjechał z Alaski i Alberty, a dokładniej, na południe od czterdzieste_o dziewiątego równoleżnika - powiedział.

- Jak przewidzieliśmy - rzekł Brady.

166

- Ale nie wspominają o okupie?

- To również przewidzieliśmy - odparł z zadowoleniem Brady.

- Czyli że pan nie wyjeżdża.

- Nie? Za chwilę mam się skontaktować z moim pilotem i polecieć mu, żeby zgłosił nasz lot do Los Angeles.

Willoughby wytrzeszczył na niego oczy.

- Myślałem, że chce pan lecieć do Wroniej Łapy - powiedział.

- Owszem, ale nie chcemy się afiszować z celem naszej podróży wobec niezyczliwych nam osób, które mogą podsłuchiwać. Dlatego zgłaszamy lot do Los Angeles.

- W porządku, rozumiem - powiedział Willoughby z uśmiechem.

- A co ja mam robić?

- Hmm... -- zaczął wykrętnie Brady. - Potrzebna jest nam pańska gwarancja.

- Z policją nie ubija się interesów - powiedział nagle zimnym tonem Willoughby.

- Bzdury! - odrzekł spokojnie Brady. - Ubija się, na okrągło.

Nawet przestępcy ubijają interesy z sędziami.

- Dobrze. Więc czego pan chce?

- Przede wszystkim n i e c h c e m y towarzystwa policji. Jasne, że może ona wygarnąć całą paczkę z rękami związanymi na plecach, ale przy okazji kilku Bogu ducha winnych ludzi. Z nimi trzeba chyłkiem-milczkiem. Finezyjnie. Ukradkiem. Dyskretnie. Albo będzie tak, jak my chcemy, albo wcale.

- Stawia pan ultimatum?

=- Proszę mi opowiedzieć o Wroniej Łapie.

- To wymarzone miejsce dla takich rzeczy. Schowane tuż za wzgó-

rzami. Przy stacji jest wielki kryty schron dla helikoptera. Maszyny nie sposób zobaczyć z powietrza. Byłem tam rok temu, prowadziłem śledztwo w sprawie zgłoszonego morderstwa, które okazało się nieszczęśliwym wypadkiem. Byli to dwaj chłopcy z miasta, którzy _wiezo przybyli na stację meteorologiczną. Takie wypadki zdarzają się niechybnie co roku po rozpoczęciu sezonu polowań. Aż roi się od różnych Daniela Boone'ów i Buffalo Billów, którzy padają tam jak muchy.

- Duże jest to jezioro? - spytał Dermott - Nadaje się do lądowania samolotem?

- Hmm, do lądowania się nadaje = powiedział Willoughby i izrwał.

- Ale chyba niewiele by to panu dało. Proszę 2ważyć: jezioro ma trzy kilometry długości, więc każde lądowanie samolotu na pewno usłyszą na stacji. Mam lepszy pom_śl.

167

1

- Takiego właśnie potrzebujemy.

- Ale mam jedną prośbę, panie Brady. Moja pozycja jest bardzo delikatna. Reprezentuję w tych stronach prawo i powinienem wiedzieć o wszystkim, co się dzieje. Ja również jestem szantażystą. W zamian za gwarancję, że dostaniecie się niepostrzeżenie na stację meteorologicz-

na, chcę mieć pewien udział w waszej wyprawie. Nie możecie działać bez zgody policji, a zgody udzielam ja. Zgadzam się na trzymanie wszystkich kart przy orderach. Ale chciałbym mieć oficjalny policyjny raport naocznego świadka.

- Wiem, kogo bym chciał mieć za tego świadka - powiedział

Mackenzie. W czasie całej rozmowy bez przerwy jadł, ale delikatne otarcie ust serwetką świadczyło, że skończył posiłek. - Davida Carmody'ego.

- Przedni pomysł. Zaraz go wezwę - rzekł Willoughby. Poszedł do telefonu, a kiedy wrócił, oznajmił: - Będzie za kilka minut.

-Świetnie - powiedział Brady i zwrócił się do Mackenziego.

- Don, powiedz Fergusonowi, żeby skoczył na lotnisko i zgłosił lot do Los Angeles. Przekaż mu, żeby za jakąś godzinę oczekiwał ludzi z prowiantem. Poproś w kuchni o prowiant dla nas na dwa, trzy dni.

- Tylko suchy, szefie?

Brady wyniośle puścił mimo uszu tę aluzję.

- Ferguson jest moim intendentem. Wiedziałyby o jakichkolwiek brakach. George, będą nam potrzebne kompasy i chyba amunicja.

Amunicji nam nie żałuj.

- Kompasów mamy pod dostatkiem. A jakich używacie pistoletów?

- spytał Willoughby.

- Colty kaliber dziewięć.

- Nie ma problemu.

- No to dziękujemy. Proszę mi powiedzieć, panie Willoughby, ma pan zastępcę?

- Oczywiście. I to dobrego.

- Na tyle dobrego, że można by go tu samego zostawić?

- Jasne. A dlaczego pan pyta?

- Bo może pan pojechałby z nami. Udzielanie wskazówek to jedno, a co innego pańska obecność na miejscu.

- Niech pan tego nie robi, panie Dermott. Pan mnie kusi. Pan mnie strasznie kusi - odparł Willoughby, a przelotny radosny błysk w jego oczach świadczył, że mówi prawdę. - Niestety, najpierw obowiązek, później przyjemność. Mam tu na głowie śledztwo w sprawie morderstwa.

- Przecież powiedział pan, że śledztwo utknęło w miejscu. Można by pójść na skróty, panie Willoughby. Chyba nie chce pan, żeby obcy amatorzy, tacy jak my, odwalali za pana robotę?

- Obawiam się, że nie jestem w najlepszej formie.

- Ale odzyska ją pan, kiedy przedstawimy panu mordercę Crawforda. Gdzież może być, jeżeli nie we Wroniej Łapie?

- Panie Dermott, odwołuję to, co powiedziałem. Wracam do swojej najlepszej formy. O, jest.

Carmody wyglądał jak zawsze potężnie i groźnie.

- Za zgodą pana Willoughby'ego i w imieniu panów Brady'ego,

Mackenziego oraz swoim chciałbym pana o coś prosić - zwrócił się do niego Dermott. - Jako obcokrajowcy i cywile możemy tylko prosić.

Zdaje pan sobie sprawę, że porywacze to wielokrotni mordercy, ludzie zdecydowani na wszystko. Będą strzelać bez ostrzeżenia, a celują dobrze.

Carmody zaskoczony, rozejrzał się po zebranych, ale grzecznie milczał.

- Wiemy, gdzie są przetrzymywani pani Brady, jej córka i pan Reynolds - ciągnął Dermott.

Carmody złożył lekko dłonie, jakby się modlił, i powiedział odpowiednio kościelnym szeptem:

- Boże, Boże, jedźmy ich wreszcie odbić.

- Dziękuję - powiedział Brady. - Jesteśmy wdzięczni. Wyruszamy za godzinę, zgoda?

- Skoczę tylko do biura i zadzwonię do Edmonton - rzekł Willoughby.

- No proszę! A myślałem, że naszym hasłem jest dyskrecja?

- Jest i będzie.

- Mogę wiedzieć, co to znaczy?

- Nie. To niespodzianka. Wyjaśni się we Wroniej Łapie. Albo w jej bliskim sąsiedztwie. Nie odbierze mi pan chyba przyjemności sprawiania niespodzianek?

Kiedy odrzutowiec oderwał się od ziemi, Brady spojrział przez szerokość przejścia między siedzeniami na Carmody'ego, który z wyłożonego irchą skórzanego pokrowca wyjął dziwny metalowy przyrząd. Okazało się, że jest to mały teleskop umocowany na zakrzywionym półkolistym uchwycie przyśrubowanym do prostokątnego metalowego pudełka.

- Co pan tam ma, panie Carmody?

168 169

- Proszę mi mówić John, panie Brady. Będę mniej skrępowany. Nas, policjantów, nazywają różnie, ale nigdy "panami". To? To jest celownik noktowizyjny. A to są uchwyty zabezpieczające. Pasuje do karabinu.

- Widzi pan przez niego w ciemności?

- Trochę światła się przydaje. Ale rzadko bywa całkiem ciemno.

- Widzi pan nieprzyjaciela, a on pana nie?

- O to właśnie chodzi. Wprawdzie to brzydko i niesportowo, ale tym draniom nie wolno popuścić, a zwłaszcza jeśli mierzą w żony i córki.

Brady odwrócił się w stronę Willoughby'ego, który siedział przy oknie.

- A jaką śmiercionośną broń ma pan? - zagadnął.

- Oprócz służbowego rewolweru? Tylko ten drobiaźdzek - odparł

Willoughby. Sięgnął w dół i podniósł skórzaną torbę o wymiarach dwadzieścia pięć na czterdzieści centymetrów, zamykaną na suwak.

- Ma dziwny kształt, jak na karabin - powiedział zaciekawiony

Brady.

- Składa się z dwóch skręcanych ze sobą części.

- To chyba nie jest lekki karabin maszynowy?

- Jest.

- A nie ma pan przypadkiem granatów? - spytał Brady po krótkim milczeniu.

- Niestety, tylko kilka - wtrącił Carmody, wzruszając z dezaprobatą ramionami.

- Celowniki noktowizyjne, lekkie karabiny maszynowe, granaty

- czy to aby zgodne z prawem?

- Może i niezgodne - odparł wymijająco Carmody. - Ale nie

jestem pewien, czy akurat we Wroniej łapie. Musi pan o to spytać pana Willoughby'ego.

Samolot, który wznosił się do tej pory, wyrównał lot. Brady skinieniem głowy podziękował Mackenziemu za przyniesienie daiquiri.

- Wysokość przelotowa, Donald? - spytał. - To niemożliwe, żebyśmy już ją osiągnęli.

- Może taka wysokość nam wystarczy. Musisz o to spytać naszego

szeffa policji - powiedział Mackenzie i skinął głową ku przodowi samolotu. Willoughby przesiadł się tymczasem na fotel drugiego pilota i wraz z Fergusonem studiowali mapę. - Widzę, że zajął się nawigacją.

Minęło około pięciu minut, zanim Willoughby wstał i ruszył z powrotem, żeby siąść przy Bradym.

- Ile jeszcze, panie Willoughby?

- Siedemdziesiąt minut.

- Siedemdziesiąt minut! Myślałem, że do Wroniej Łapy jest tylko sto dwadzieścia kilometrów.

- Proszę pamiętać, że zgłosiliśmy lot do Los Angeles. Nasz pierwszy etap prowadzi przez lotnisko w Calgary i jego radar. Dlatego lecimy na południe. I dlatego też lecimy nisko, żeby _ać się kontroli radarowej w Forcie McMurray. Potem zataczamy koło na zachód i lecimy na północ. Po dziesięciu minutach obieramy kurs północno-wschodni. Będziemy lecieć nisko. Nie ma obawy, że się z czymś zderzymy, wszędzie po drodze jest zupełnie płasko. - Willoughby rozłożył mapę. - Nawet Góry Brzozowe, te tutaj, niczym nam nie grożą. Ich najwyższy szczyt ma poniżej dziewięciuset metrów. Właściwie to tylko dział wodny, zlewisko rzek - strumienie z zachodnich stoków spływają na zachód i północny zachód do rzek Brzozowej i Pokoju, a strun'lenie po wschodniej stronie na wschód i południowy wschód, do rzeki Athabaska.

- Gdzie jest jezioro Wronia Łapa?

- Tu, po zachodniej stronie działu.
- Nie wydrukowano jego nazwy.
- Jest za małe. Tak samo jak Jeleni Róg, tu, po wschodniej stronie działu. Tam właśnie lecimy. Jest to również jezioro, ale zawsze nazywano je po prostu Jelenim Rogiem.
- Daleko jest od Jeleniego Rogu do Wroniej Łapy?
- Dziesięć kilometrów, może jedenaście. Mam nadzieję, że wystarczająco daleko od stacji. Podejdziemy do Jeleniego Rogu nisko i wolno, z prędkością jak najbliższą prędkości przeciągania. Mało prawdopodobne, żeby nas z takiej odległości usłyszeli. Narobimy prawdziwego hałasu tylko w czasie lądowania. Taki szybki odrzutowiec może się zatrzymać na stosunkowo krótkim odcinku lodu wyłącznie na ciągu wstecznym. A to jest dość hałaśliwe. Ale dział wodny, który oddziela jeziora, na pewno będzie dostateczną zaporą dla hałasu. Bardziej obawiam się o helikopter.
- Helikopter? - spytał ostrożnie Brady.
- Tak. Wyleciał z Edmonton pół godziny temu. Zgodnie z planem, w godzinę po nas.
- Przynależ mi pan. . .
- I dotrzymuję przyrzeczenia. Nie będzie wojska, nie będzie policji, ani nawet jednej pukawki. Tylko trochę sprzętu arktycznego, z którego chcę skorzystać. Mają przylecieć tuż po zmierzchu.
- Jak zdołają tu trafić bez radaru i świateł lądowania?

- Damy im sygnał radiolatarnią. Helikopter będzie leciał jak po sznurku. Martwi mnie tylko hałas, jakiego narobi przy lądowaniu. To

170 171

największy helikopter na świecie, a hałasuje odpowiednio do swoich rozmiarów.

- Oczywiście - powiedział z lekkim niepokojem Brady - nasi "przyjaciele" z Wroniej Łapy mają własny helikopter. Czy aby nie wskoczą w niego i nie przylecą sprawdzić, co się dzieje?

- Mam nadzieję, że nie. Chcę, żeby stanęli przed sądem, co w przypadku zabitych nie jest możliwe - powiedział posepnie Willoughby.

- Gdyby przylecieli, musiałbym ich zestrzelić.

- Całkiem słusznie - pochwalił go Brady, bynajmniej nie speszony taką perspektywą. - A byłby pan w stanie to zrobić? - spytał.

- Wieziemy tę broń tylko w jednym celu.

- Ach tak! Pytałem Carmody'ego o pewną część jego ekwipunku; wspomniał mi, że ma celownik noktowizyjny. Myślałem, że chodziło o strzelanie do ludzi.

- Owszem, również. A czy Carmody nie wspomniał, że ma też karabin, który za pomocą przełącznika można przestawić z ognia pojedynczego na automatyczn_ Takie połączenie - nocny celownik i soko-
le oko - daje śmiertelny wynik. Wie pan, że mam lekki karabin

maszynowy? A czy wspominałem panu o specjalnym magazynku o wielkiej ładowności - to stary bębnowy typ - i o tym, że co szósty pocisk to smugacz, żebym widział, jak mi idzie?

- Nie.

Wiloughby uśmiechnął się.

- No i nie wspomnieliśmy naturalnie o moim osobistym wkładzie, o moich "pchłach". Używa się ich, kiedy nie za dobrze widać, co się dzieje w górze. W zasadzie są podobne do sztucznych ogni, tyle że nie wybuchają fantazyjnie kolorowo - są to po prostu jaskrawo świecące rakietki magnezjowe, które opadają w dół na spadochronikach. Palą się tylko dziewięćdziesiąt sekund, ale kto nie potrafi załatwić sprawy w takim czasie, powinien zostać w domu.

- Gdybym był pobożnym chrześcijaninem, tobym chyba zapłakał nad losem naszych przeciwników.

- Niech pan tego nie robi.

- A kto mówi, że jestem pobożnym chrześcijaninem? - spytał Brady i skinął w stronę Carmody'ego. - On naprawdę zabija ludzi?

- Wywiera na nich nacisk.

- jak to, automatem i wielkokalibrowym karabinem?

- Używamy ich tylko w razie potrzeby.

- Zadziwia mnie pan - powiedział z poważną miną Brady. - Ta broń jest przecież nielegalna. Dla policji oczywiście. Prawda?

- Oto problemy, jakie stwarza życie w zapadłym miasteczku na północy - człowiek nie nadąza za wszystkimi notatkami służbowymi, protokołami i zarządzeniami, które Edmonton drukuje niemal codziennie.

- Pewnie.

W jakiś czas potem Brady skrzywił się, bo silniki odrzutowca przeszły na ciąg wsteczny. I chociaż rozum podpowiadał mu, że poziom decybeli nie przekracza normy, to jednak po wpływie niepokoju zdawało mu się, że słucha nieustannego grzmotu piorunów.

- Ten łoskot było pewnie słyszeć wyraźnie aż w Forcie McMurray

- powiedział do Willoughby'ego po wylądowaniu.

- Nie było tak źle - uspokoił go Willoughby, na którym hałas nie zrobił wrażenia. - Tak, trzeba trochę rozprostować kości, łyknąć świeżego powietrza. Wysiada pan?

- Co? Na tę zawieję?

-Jaką zawieję? Nawet nie pada. A do Wroniej Łapy jest tylko jedenaście kilometrów. Trochę gimnastyki, aklimatyzacja. Pamięta pan, co mi pan powiedział w Sanmobilu? W człowieku nie ma jednocześnie miejsca na zimno i na daiquiri. Może to sprawdzimy?

- Złapaliśmy się we własne sidła - odezwał się Dermott zza pleców

Willoughby'ego.

Brady rzucił mu groźne spojrzenie, wstał z trudem i ruszył za Wil-

loughbym na przód kabiny. Spojrzał na Fergusona i przystanął.

- Masz zmartwioną minę, chłopie - powiedział. - Wylądowałeś idealnie.

- Dziękuję. Ale trochę się, jak pan zauważył, niepokoję. W czasie lądowania sterownice lotek chodziły odrobinę sztywno. To chyba nic poważnego. Szybko znajdę, co szwankuje. Pierwszy raz lądowałem na lodzie, więc może byłem trochę przeczulony.

Brady wyszedł za Willoughbym z samolotu i rozejrzał się. Jeleni Róg był dziwnie nieprzystępnym i ponurym miejscem. Pod nogami mieli lód pokryty warstewką śniegu, a w trzech kierunkach rozciągał się nieokreślony w swojej anonimowości płaski, jałowy krajobraz ogołocony z roślinności. Na północnym wschodzie widniało pasmo niskich wzgórz z rzadka porośniętych karłowatymi drzewkami, które ugiwały się pod śniegiem.

- To są te Góry Brzozowe?

- A nie mówiłem? Ten, kto je tak nazwał, chyba nie za bardzo znał się na górach.

- To mają być brzozy?

- Botanik też był z niego nietęgi. To olchy

- A jedenaście kilometrów za...

- Uwaga! Odsunąć się!

Obaj mężczyźni obrócili się gwałtownie i ujrzeli Fergusona, który zbiegał po schodkach z samolotu trzymając w ręku cylindryczny ćwierćmetrowy przedmiot o średnicy chyba ośmiu centymetrów.

- Nie zbliżać się! Nie zbliżać! - krzyknął.

Minął ich sprintem, przebiegł jeszcze piętnaście metrów, wyginając w biegu plecy w łuk jak gracz w krykieta rzucający piłką, i konwulsyjnym ruchem całego ciała cisnął dziwny przedmiot przed siebie. Walec przeleciał najwyżej trzy metry, zanim wybuchł.

Podmuch eksplozji był tak silny, że chociaż Brady i Willoughby stali dwadzieścia metrów dalej, zwałił ich obu z nóg. Przez kilka sekund leżeli tam, gdzie upadli, a potem podeszli wolno do leżącego plackiem Fergusona. Wkrótce potem dołączyli do nich Mackenzie, Dermott i Carmody, którzy do tej pory siedzieli w samolocie.

Ferguson upadł twarzą na lód. Ostrożnie obrócili go na plecy. Na jego twarzy i ciele nie było śladów obrażeń. Trudno było powiedzieć, czy oddycha.

- Wnieście go do samolotu - polecił Brady. - Owińcie w ciepłe koce i przyłóżcie kompresy rozgrzewające. Może przestało mu bić serce. Czy ktoś tu zna się na masażu serca?

- Ja - zgłosił się Carmody. Podniósł Fergusona i ruszył z nim do samolotu. - Zaliczyłem kurs pierwszej pomocy.

Po trzech minutach Carmody, wciąż klęcząc w przejściu pomiędzy

siedzeniami, przysiadł na piętach i uśmiechnął się.

- Serduszko chodzi mu jak zegarek - oznajmił. - Zegarek, który

bardzo się spieszy, ale jednak chodzi.

- Świetnie - pochwalił go Brady. - Zostawimy go w samolocie?

- Tak - odrzekł Dermott. - Nawet kiedy odzyska przytomność

- a powinien odzyskać, bo na głowie nie ma żadnych obrażeń - to

i tak będzie w szoku. Kompresów rozgrzewających mamy pod dostat-

kiem. Nic więcej nie zastosujemy i chyba nic więcej mu nie potrzeba.

Czy ktoś może wyjaśnić nam, co się stało? Przebiegł środkiem krzycząc

"Nie ruszać się!" i trzymając w ręku to draństwo. Wypadł przez drzwi

jak chart z boks startowego.

- Wiem, co się stało - powiedział Brady. - Skarżył się, że przy

podchodzeniu do lądowania sterownice chodziły trochę sztywno. A to

dlatego, że ten, co umieścił tę bombę, sfuszerował robotę. Kiedy się

wznosiliśmy i leciliśmy na stałej wysokości; bomba się trzymała, ale

kiedy zaczęliśmy się zniżać, ześliznęła się do przodu i utkwiała między

lotkami. Kiedy wychodziliśmy z samolotu. raowi __d__ iał n__i. że r__cs^__._k__

przyczyny tej sztywności lotek. = -- Brad_r Lacisn4r i: _t_. = iio i zii ũ:arł j_;

- Miał szczęście - powiedział Dermott. =-- t__dyl__v to ń;yła boi7il__

w metalowej obudowie, to podziałałaby jak szra__ne__ i__néi__tb:.- oi_cr_____

odłamkiem. Ale nie jest ranny. Czyli że była to hont__a z plastyku __o

plastykowych bomb używa się zapalników, a ściślej, chemicznych. Dwa kwasy oddzielone syntetyczną plastikową przegrodą. Jeden z nich przeżera przegrodę i kiedy te kwasy się spotkają,

następuje wybuch. Kwas, przeżerając się przez plastikową przegrodę, wytwarza sporo ciepła. Jestem pewien, że Ferguson nie tylko wyczuł, ale natychmiast zorientował się, co to oznacza.

Brady miał ponurą minę.

- Gdyby nie nasza podejrzliwość, lecielibyśmy na wysokości dziewięciu tysięcy metrów prosto do aniołków. Byłaby to nasza ostatnia podróż w życiu, panowie - powiedział.

- Tak jest - przyznał Dermott. - Ale nawet jeśli coś się dzieje, to to jest piekielne szczęście. Zapalnik chemiczny ma tę wadę, że nastawienie go z dokładnością większą niż sześć do dziewięciu minut na godzinę jest prawie niemożliwe. Wybuch mógł nastąpić dziesięć minut temu i byłoby po nas. Nasi "przyjaciele" nie chcieli nas usunąć z tego kraju, oni chcieli nas usunąć z tego świata. Czy można to zrobić lepiej, prościej i skuteczniej niż sprawiając, żeby na wysokości dziewięciu kilometrów naszemu odrzutowcowi urwało ogon?

Helikopter "Sikorsky" typu "podniebny żuraw" wylądował po zapadnięciu zmroku, tuż po wpół do czwartej po południu. Tak jak zapowiedział Willoughby, był to największy śmigłowiec, jaki widzieli. Jego silniki zamilkły, potężne wirniki zwolniły obroty i tylko gdzieś z wnętrza

olbrzymiego kadłuba dobiegało mruczenie generatora. Z otwartych drzwi zjechały w dół wężowym ruchem składane schody, po których sprężystym krokiem zeszło na lód dwóch mężczyzn i zbliżyło się do grupki oczekujących.

- Brown - przedstawił się pierwszy z nich. porucznik Brown, niby pilot tej maszyny. A to porucznik Vos, niby jej drugi pilot. Którzy z panów nazywają się Brady i Willoughby?

Uścisnęli sobie dłonie i Brown odwrócił się, żeby przedstawić trzecią osobę, która do nich podeszła.

- Doktor Kenmore.

- Jak długo możecie zostać? = spytał Willoughby.

- Ile pan sobie życzy.

174 175

- To miło. Przywiózł pan coś dla mnie?

- Tak. Można już wyładowywać?

- Proszę bardzo.

Brown wydał okrzykiem polecenia.

- Mam dwie prośby, panie poruczniku - powiedział Brady

- Jestem na pańskie rozkazy.

- Żeby nasi amerykańscy lotnicy byli choć w części tak grzeczni

- rzekł Brady i zwrócił się do doktora Kenmore'a. - Mój pilot jest

ranny. Mógłby go pan zbadać?

- Oczywiście.

- Donald, zaprowadzisz pana?

Dwaj mężczyźni odeszli do samolotu.

- W naszym samolocie jest znakomity nadajnik, panie poruczniku

- ciągnął Brady - ale niestety pilot, który go obsługuje, jest chwilowo nieczynny. . .

- W naszym helikopterze jest znakomity nadajnik i wyśmienity radiooperator, stale czynny - powiedział porucznik. - James!

Na szczycie schodów pojawił się młody żołnierz.

- Zaprowadź pana do Berniego, dobra?

Bernie był młodzieńcem w okularach, który zasiadał przy dużej radiostacji firmy RCA. Dermott przedstawił się.

- Zdoła mnie pan połączyć z kilkoma numerami? - spytał.

- Miejscowymi? To znaczy, w Albercie?

- Niestety, w Anchorage i Nowym Jorku.

-Bez problemu. Możemy się połączyć przez radio za pośrednictwem naszego dowództwa w Edmonton - rzekł Bernie. Jego fa-
chowość i pewność siebie były szalenie krzepiące. - Proszę o numery i nazwiska.

- Są tutaj - powiedział Dermott i wręczył mu notes. - Będę mógł rozmawiać z tymi ludźmi?

- Oczywiście, jeżeli tylko są w domu.

- Może mnie nie być przez parę godzin. Gdybym nie wrócił, a pan się połączył, czy może ich pan poprosić, żeby byli pod telefonem albo powiedzieli, gdzie ich znaleźć?

- Naturalnie.

Dermott dołączył do grupy przy helikopterze. Na lód wyładowano dwa niskie pojazdy. Opuszczano trzeci.

- Co to za maszyny? - spytał.

- To moja niespodzianka dla pana Brady'ego - odparł Willoughby.

- Śniegochody.

176

- To nie są śniegochody - wtrącił się szczupły, młody brunet.

- Przepraszam - powiedział Willoughby i zwrócił się do Dermotta.

- To jest John Lowry, ekspert od tych maszyn. Edmonton przysłało go, żeby nam pokazał, jak nimi jeździć.

- To są wszędochody - dodał Lawry. - Jeżdżą po śniegu, drogach, bezdrożach, bagnach, piaskach, gdzie pan chce. W porównaniu z nimi amerykańskie i kanadyjskie śniegochody należą do epoki radia na parę. Wyprodukowała je firma VPLO - to skrót, pełna nazwa jest nie

do wymówienia - z Oulu w Finlandii. Nazywają się oczywiście "fińskie koty". Zrobione są z włókna szklanego. W przeciwieństwie do zwykłego śniegochodu nie mają z przodu płóz. Pas napędowy, który panowie widzicie, przebiega na całej długości kadłuba i jest poruszany przez silnik.

- Skąd je macie?

- Dostaliśmy, żeby je poddać wszechstronnym próbom, do całkowitego zniszczenia. To są właśnie te trzy.

- Jak to jednak dobrze mieć przyjaciół - powiedział Dermott do Willoughby'ego.

- Te modele nieco odbiegają od typowych - ciągnął Lowry.

- W przednich komorach przewozi się zazwyczaj sprzęt. Zamieniliśmy je na dwa składane siedzenia.

- To znaczy, że mogę pojechać jednym z nich? - spytał Brady.

- Dobrze trafił z tą próbą całkowitego zniszczenia - rzekł półgłosem Dermott do Willoughby'ego.

- Tak - odparł Lowry.

- To świetnie, wyśmienicie - powiedział Brady ściszym i pełnym szacunku głosem. Perspektywa mozolnej dwudziestodwukilometrowej jazdy tam i z powrotem przez śniegi Rlberty mało go pociągała.

- Prowadzi się bardzo łatwo - rzekł Lowry. -- Zmiana kąta na-

chylenia pasa napędowego zmienia kierunek jazdy: dokonuje się tego za pomocą sterów. Są biegi przednie i wsteczne oraz bardzo wymyślny dodatek - hydrauliczne hamulce tarczowe. Poza tym pojazd osiąga prędkość sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę.

- Sześćdziesięciu pięciu? - spytał Dermott. - A wygląda, jakby z trudem wyciągał dziesięć.

Lowry uśmiechnął się.

- Sześćdziesiąt pięć - powtórzył. - Oczywiście na równym terenie.

A przy okazji, nie są tanie, cztery tysiące dolarów sztuka, ale tak to jest z unikatami. Przypuszczam, że panowie się śpieszą. Poproszę wobec tego trzech kierowców.

177

1

Doktor Itenmore i Mackenzie wrócili do samolotu, a Willoughby i jego dwóch podkomendnych zajęli się nauką jazdy "fińskimi kotami".

-- To wstrząs - oznajmił doktor Kenmore. - Nic poważnego, podmuch nie zrobił mu krzywdy, musiał uderzyć głową w lód. Nad prawym uchem ma dorodnego siniaka. Przenieś go do nas - kiedy silniki są

zgaszone, ogrzewanie i światło mamy z generatora.

-- Dziękuję, panie doktorze. Jesteśmy bardzo wdzięczni - rzekł

Brady.

- Nie ma za co. Można spytać, dokąd wybieracie się panowie tymi zabawkami?

-- Żeby tylko nie usłyszał pana Lowry. Wściekłby się - powiedział Dermott.

=- Proszę nas dobrze zrozumieć, nie chcemy być niegrzeczni - od-

parł Brady. -- Powiemy panu po powrocie. Jakie pan ma doświadczenie, jeśli chodzi o rany postrzałowe i kości strzaskane przez kule o dużej prędkości'?

- Niestety, nieduże - odparł Kenmore nie zmieniając wyrazu twa-

rzy. - Planujecie coś takiego przed upływem nocy?

-- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie - odparł Brady, nagle

poważniejąc. -- Ale wszystko może się zdarzyć.

Szóstka mężczyzn odjechała o wpół do piątej, dokładnie w godzinę po

wylądowaniu "Sikorsky'ego". Załoga helikoptera wyszła na zewnątrz,

żeby zobaczyć ich odjazd.

- Lotnicy nie są tacy głupi, jak na to wyglądają - rzekł porucznik

Brown. - Oczywiście wiemy, dokąd jedziecie. Powodzenia. - Po-

patrzył na arsenał gotowej do użycia broni, którą nieśli zawieszoną

na ramionach i w olstrach. - Doktora Kenmore'a może czekać bez-

senna noc.

Przymioty "fińskich kotów", o których mówił Lowry, sprawdziły się co do joty - były szybkie, zwrotne i miały świetny ciąg. Dwa wiozły małe, ale wydajne reflektory, które wyszukiwały drogę wśród rzadko rosnących olch. O nieustrudzonej gotowości małych dwucylindrowych silników tych pojazdów wiele mówiło to, że bohaterstwo cierpiący Brady musiał wysiadać tylko dwa razy, kiedy "fińskie koty" odmówiły posunięcia się choćby o centymetr, by przejść na piechotę całe dwieście metrów do łagodnej okrągłej wypukłości, która wytyczała granicę działu wodnego Gór Brzozowych. Na chwilę przedtem, nim mała armia dotarła do tego miejsca, zgaszono reflektory.

Zjazd w dół był łatwy, ale tak samo powolny jak wjazd, bo wobec braku oświetlenia trzeba było ostrożnie omijać na wpół widoczne olchy.

Na najniższych obrotach silniki pracowały przyjemnie cicho. Willoughby wydał stłumionym głosem polecenie i trzy "fińskie koty" zatrzymały się.

- Wystarczy - powiedział. - Jesteśmy najwyżej trzysta metrów od jeziora.

- Dobrze. ilu ludzi obsługuje stację meteorologiczną, panie Willoughby? - spytał Dermott.

- Tylko dwóch. Nie sądzę, żeby stała im się jakaś krzywda. Muszą regularnie wysyłać przez radio raporty, bo każda przerwa w ich nadawaniu sprowa_y tu bardzo szybko urzędowy helikopter. Raporty muszą więc być wysyłane bez przerwy, oczywiście pod przymusem.

Zeszli nad jezioro rozmawiając półgłosem - dźwięk niesie się po lodzie tak samo dobrze jak po wodzie. Zamarznięty brzeg porastały wysokie trzciny. Carmody rozsunął je, wyjął swój celownik noktowizyjny, przycisnął oko do zabezpieczonego gumą okularu i włączył przyrząd.

Stacja meteorologiczna nad jeziorem Wronia łąpa składała się zaledwie z dwóch baraków, z których jeden był trzykrotnie większy od drugiego. Na dachu mniejszego stały jakieś tyczki, pudła i coś, co z daleka wyglądało na odsłonięte meteorologiczne przyrządy rejestrujące. Było w nich ciemno. W większym, prawdopodobnie mieszkalnym, w dwóch olmach paliło się jasne światło. Za nim stał duży, pomalowany na białą helikopter.

Carmody podał noktowizor Brady'emu, który krótko przyjrzał się stacji i podał przyrząd dalej.

-Widziałem trudniejsze cele do atakowania niż nasz dzisiejszy

- powiedział Dermott odejmując od oka przyrząd, z którego korzystał jako ostatni. - Ruszamy?

- Ruszamy - powiedział Brady. - Będziemy ich traktować jak bandytów. Działamy bez ostrzeżenia. Nieuczciwie. Nie ma mowy o fair play. Najpierw strzelamy, potem pytamy. Tacy, co podkładają bomby w samolotach - albo porywają moją Jean i Stellę - nie znają wyższych uczuć ani zasad cywilizowanej walki.

- Słusznie - powiedział WiBoughby. - Ale strzelajcie tak, żeby ich unieszkodliwić, a nie zabić. Chcę, żeby stanęli przed sądem.

- Przeprowadzenie i zakończenie rozprawy nastąpiłoby oczywiście znacznie szybciej, gdybyśmy zawczasu mieli ich zeznania - dodał Brady.

- A jak chcesz je zdobyć? - spytał Dermott.

- To proste, George. Wszystko zależy od tego, do jakiego stopnia jesteś dziś nieustraszony.

17g 179

Rozdział piętnasty

W kępie olch rosnących ze dwadzieścia metrów za stacją meteorologiczną świstał paskudny wiatr. Nie była to dobra kryjówka, ale najbliższa i najlepsza, jaką mogli znaleźć. Na szczęście noc była bezksiężycowa - na tle zaśnieżonego krajobrazu budynki wyglądały jak czarne bryły.

Uczestnicy obławy, w arktycznym ekwipunku potężni jak niedźwiedzie, przyglądali się w milczeniu jeszcze jednej rozpląszczonej na śniegu postaci, która centymetr po centymetrze posuwała się w ich

stronę, używając wyłącznie łokci i stóp. Dotarłszy do kryjówki wśród drzew John Carmody ukląkł.

- Są w środku - szepnął. - Reynolds i panie. Panie są skute razem, ale wygląda na to, że nic im nie jest. Chyba nie traktowali ich źle. Jest ich pięciu, palą i piją, ale nie za dużo. Mały pokój łączy się z dużym.

Może ktoś z nich śpi, ale nie sędzę. Drzwi do niego są uchylone i pali się światło. Gdyby ktoś chciał spać, toby je zgasił.

- Świetnie się spisałeś, chłopcze - pochwalił go Brady.

- Jeszcze trzy rzeczy, panie Brady - ciągnął Carmody. - Przynajmniej trzech jest uzbrojonych, chociaż żaden nie ma pistoletu w ręce.

Wszyscy siedzą przy stole i słuchają radia. I to słuchają bardzo pilnie, próbują złapać jakąś stację. Stąd mój wniosek, że w małym pokoju nie ma nikogo, bo byłby w dużym i też by słuchał.

- Tam mogą być dwaj pracownicy stacji. Związani - uświadomił mu Dermott.

- Też tak pomyślałem - rzekł Carmody.

- Wiem, co chcą usłyszeć - szepnął Brady. - Wiadomość o pewnym odrzutowcu, który dziś po południu rozbił się w Albercie. A ta trzecia rzecz, którą pan zauważył?

- Cała piątka jest w maskach z pończoch.

- Gdyby zamierzali pozbyć się zakładników, nie zależałoby im na noszeniu masek - powiedział Dermott zachrypłym głosem, który ściszył do szeptu. - Na ziemię. Cisza.

Z boku chaty wyrósł prostokąt światła. Przez otwarte drzwi ktoś wyszedł i skierował się do mniejszego budynku. W kilka chwil później zapaliło się tam światło.

- To jeden z nich - powiedział Brady. - Wykluczone, żeby pozwolili tak spacerować któremuś z meteorologów stwarzając mu możliwość nadania SOS. Doskonale. Pora na ciebie, George, masz okazję zdobyć Medal Honorowy Kongresu czy jak się on tam nazywa.

Brady ruszył posuwając się szybko i cicho - po grubym sybarycie nie zostało ani śladu. Dochodząc do drzwi głównego budynku spojrzął przez ramię na mniejszy, żeby sprawdzić, co się tam dzieje. Światło paliło się nadal, ale drzwi były zamknięte. Brady wziął za klamkę, otworzył drzwi i wszedł do środka z coltem w ręce, mając u boku Dermotta i Mackenziego z wymierzonymi pistoletami. Natarł na czterech zamaskowanych mężczyzn. Część z nich zerwała się z miejsc.

- Ręce na stół - rozkazał. - Jeżeli macie odrobinę zdrowego rozsądku. Tylko czekamy na pretekst, żeby porozwalać wam łby. Niech któryś zgasi radio, pomyślne wiadomości, na które czekaliście, właśnie nadeszły.

- Jim! jim! - zawołała Jean Brady, zrywając się na nogi. - Jesteś?

- Naturalnie - odparł Brady tonem, który był dziwną mieszanką irytacji i zadowolenia z siebie. - A co ty myślałaś? Firma Brady nigdy nie zawodzi. - Uniósł rękę, powstrzymując zbliżającą się żonę.

- Chwileczkę, nie podchodź za blisko. Oni są gotowi na wszystko.

Panie Reynolds, Stello. Szkoda, że zajęło nam to tyle czasu, ale...

- Tato! - krzyknęła alarmująco Stella zrywając się na nogi. - Tato, jakiś...

- Rzucić broń! - dobiegł od drzwi niski głos. - Nie odwracać się, bo będzie po was.

- Róbcie, co każe - powiedział Brady i pierwszy dał przykład.

W ciągu niespełna sekundy dwa inne pistolety upadły ze stukiem na podłogę.

- Nie ruszać się - rozkazał ten sam głos. - Billy.

Billy'emu nie trzeba było mówić, co ma robić. Przeszukał ich szybko, ale dokładnie.

- Nic nie ma, szefie - powiedział odstąpiwszy od nich.

- Dobra.

Drzwi zamknęły się i przed ich oczami pojawił się krzepki mężczyzna.

Tak jak pozostali, był zamaskowany.

- Siadać na tej ławce - rozkazał. Odczekał, aż wykonają polecenie,

po czym sam usiadł przy stole i powiedział: - Pilnować ich.

181

Trzech z jego wspólników wyjęło pistolety i wymierzyło je w trójkę siedzących. Przybysz odłożył pistolet.

- Panie są, jak widzę, mocno zawiedzione. A doprawdy nie powinny - powiedział.

Brady spojrział na kobiety.

- Ma na myśli, że mogło być gorzej - wyjaśnił. - Gdyby jego plan się powiódł, nie żylibyśmy wszyscy trzej. Ale faktem jest, że Ferguson jest w stanie krytycznym, a dwaj inni są poważnie ranni. - Spojrział na przywódcę porywaczy. - To pan podłożył tę bombę w samolocie?

- Nie wszystko jest moją zasługą. Podłożył ją jeden z moich ludzi

- odparł mężczyzna. Zapalił papierosa i wetknął go do ust przez wyciętą w tym celu dziurę w pończosze. - A więc mam Jima Brady'ego i jego dwóch nieocenionych współpracowników. Można powiedzieć: komplet.

- Bombę, która miała rozwalić nam ogon na wysokości dziewięciu tysięcy metrów? - kontynuował Brady.

- Jakżeby inaczej. Ciekawe, jak się wam udało przeżyć.

- My, owszem, przeżyliśmy. Ale jeden z naszych prawdopodobnie umiera, a dwaj inni są poważnie ranni. Mój Boże, człowieku, kim pan jest - psychopatą i mordercą?

- Nie jestem psychopata, tylko człowiekiem interesu. Jak to się stało, że nie zginęliście? - Wylądowaliśmy, zanim bomba wybuchła - wyjaśnił bardzo zmęczonym głosem Brady. - Od straży leśnej otrzymaliśmy meldunek, że widziano w tych stronach białawy helikopter. Zwróciliśmy na to uwagę tylko my, bo wiedzieliśmy, że macie biały śmigłowiec.

- Skąd wiedzieliście?

- Wielu ludzi widziało was w okolicach kopalni w Athabascie.

- Nie szkodzi - powiedział mężczyzna i lekceważąco machnął ręką.

- Wszystkie asy w rękę.

- Ktokolwiek umieścił tę bombę w moim samolocie, kiepsko ją zabezpieczył - powiedział z ironią Brady.

- Zgadł pan. Przeszkadzono mu.

- Bomba zsunęła się do przodu i zablokowała sterownice, lotki ogonowe. Pilot musiał lądować i właśnie schodząc w dół zauważyliśmy wasz helikopter. Lądowaliśmy przymusowo na sąsiednim jeziorze. Pilot kazał nam wysiąść. Próbował usunąć ładunek za pomocą dwóch innych osób, które czuły się w obowiązku nam pomóc - byli to policjanci.

- O nich też wiedzieliśmy.

- Dla was byli nieważni. Nie czuł pan skrupułów przed zamordowaniem także ich?

- Skrupułów? Nie używam tego słowa. Po co tu przyszliście?

- Naturalnie po pański helikopter. Musimy zabrać rannych do szpitala.

- Dlaczego na nas napadliście?

- Niech pan nie będzie aż tak głupi. Nie umiemy latać tą maszyną.

Przywódca obrócił się do jednego z zamaskowanych mężczyzn.

- Wybacz, Lucky - powiedział. - Pozbawiłem cię przyjemności.

- Oczywiście to wy zabiliście Crawforda.

- Crawforda? - spytał mężczyzna i zwrócił się do jednego ze

swoich ludzi. - Fred, to ten chłopak, którym się zająłeś...

- Tak, to ten.

- A poza tym ciężko raniliście prezesa Samobilu oraz policjanta?

- Zdaje się, że jest bardzo wiele spraw, o których pan nie wiedział.

- I to wy wysadziliście przetwórnię i zniszczyliście koparkę. Szkoda, że przy okazji zabiliście i raniliście tylu ludzi.

- Niech pan posłucha, przyjacielu, to nie są dziecinne igraszki. Nie lubimy, kiedy ktoś nam wchodzi w drogę. Świat należy do bezwzględnych, a my idziemy na całość.

Brady pochylił głowę, jakby się z nim zgadzał, i podniósł ręce krzyżując je na karku. Palce jego dłoni złączyły się.

To, co powinno być brzękiem tłuczonego szkła, utonęło w huku

trzech wystrzałów, które zabrzmiały prawie jednocześnie. Zamaskowa-

ni mężczyźni z pistoletami wrzasnęli z bólu i wstrząśnięcia popatrzyli

z niedowierzaniem na swoje zgruchotane barki. Ktoś kopnął drzwi i do

izby wpadł Carmody trzymając mocno w wielkich rękach pistolet maszynowy. Zrobił kilka kroków i do chaty wtargnął Willoughby z rewolwerem.

- Twoje słowa - powiedział Dermott. - Świat należy do bezwzględnych, więc idziemy na całość.

Carmody podszedł do zamaskowanego przywódcy i mocnym pchnięciem przystawił mu lufę pistoletu do zębów.

- Dawaj broń - rozkazał. - Trzymaj ją za lufę. Wiesz, co jest w tej chwili moją jedyną ambicją?

Mężczyzna wiedział. Carmody schował jego pistolet do kieszeni i obrócił się do ostatniego z piątki, który nie był ranny i wyłożył swoją broń na stół, zanim Carmody zdążył do niego przemówić.

- Zadowolony pan, panie Willoughby? - spytał Brady. - Teraz pana kolej.

- Należy się panu Oskar za tę rolę, panie Brady. Wszystko pięknie wyśpiewali - pochwalił go Willoughby i podszedł do stołu. - Chyba wszyscy mnie znacie?

182 183

Nikt się nie odezwał.

- Ty - powiedział wskazując osobnika, który tak pospiesznie położył pistolet na stole. - Złap się za ręczniki, watę i bandażę. Nikt nie

będzie żałował, jeżeli twoi trzej kumple wykrwawią się na śmierć, ale osobiście wolałbym, żeby umarli zgodnie z prawem. Oczywiście po rozprawie sądowej. Zobaczymy wasze twarze.

Obszedł pokój, zrywając maski. Pierwsze trzy twarze nic mu nie mówiły. Czwarta, należąca do faceta, którego wyznaczył do pierwszej pomocy, najwyraźniej nie była mu obca.

- Lucky Lorrigan - powiedział Willoughby. - Były pilot helikoptera, później morderca, który zbiegł z Calgary. W czasie ucieczki raniłeś ciężko paru policjantów, prawda, Lucky? Ależ się ucieszą, jak cię znów zobaczą.

Zerwał maskę z twarzy przywódcy.

- No, no, kto by pomyślał? Sam Frederick Napier we własnej osobie, drugi zastępca szefa straży przemysłowej w Sanmobilu. Nie za daleko odszedłeś od domu, Freddie? Aresztuję wszystkich pięciu pod zarzutem morderstwa, usiłowania morderstwa, porwania i sabotażu. Nie muszę wam przypominać o przysługujących wam prawach: do odmowy zeznań i do kontaktów z prawnikiem. Słyszeliście już tę formułkę. Ale to nie pomoże wam ani trochę, skoro Napier wszystko tak ślicznie wyśpiewał.

- Uważa go pan za najlepszego śpiewaka z całej piątki? - spytał

Brady.

Willoughby przesunął dłonią po brodzie.

- Rzecz do dyskusji, panie Brady - odparł.

Nie miał pojęcia, o co tamtemu chodzi, ale nauczył się słuchać, kiedy

Brady mówi.

- Pan jest naprawdę niesłychanie naiwny, panie Napier - powiedział Brady. - Mówiłem panu, że pan Willoughby i jego policjant zostali ciężko ranni, kiedy nasz samolot rozbił się przy lądowaniu, a jednak bardzo pana zaskoczył ich widok. Może jest pan po prostu głupi. Może wypadki następują za szybko, jak na możliwości pańskiej ograniczonej inteligencji. Oczywiście nasz samolot się nie rozbił. Nie spostrzegł was żaden strażnik lasów. Wcale nie widzieliśmy waszego helikoptera lecąc na miejsce naszej rzekomej katastrofy. Od samego startu z Fortu McMurray naszym celem był Jeleni Róg, jezioro za tym wzgórzem, bo wiedzieliśmy dokładnie, gdzie jesteście. Pan śpiewał jak słowik. Ale Brinckman i Jorgensen śpiewali jak anioły. Będą świadkami oskarżenia. Przypuszczam, że wykpią się pięcioletnim wyrokiem.

- Brinckman i Jorgensen! - wykrzyknął Napier zrywając się na równe nogi, opadł jednak z powrotem na krzesło, łapiąc nagle powietrze, bo Carmody dźgnął go lufą pistoletu w splot słoneczny. Siedział, nie mogąc złapać tchu. - Brinckman i Jorgensen - wycharczał i właśnie zaczął podsumowywać ich przodków, kiedy Carmody trącił go lekko pistoletem w bok głowy.

- Tu są panie - przypomniał mu grzecznie.

- Świadcowie oskarżenia! - wykrzyknął ochryple Napier. - Pięć

lat! Rany boskie, człowieku, Brinckman jest moim szefem, a Jorgensen jego zastępcą. Ja jestem dopiero trzeci w hierarchii. To Brinckman wszystko załatwia, przygotowuje, wydaje wszystkie rozkazy. Robię to, co mi każe. Świadek oskarżenia! Pięć lat! Brinckman!

- Potwierdzisz to pod przysięgą w sądzie? - spytał Willoughby.

- Jasne, że potwierdzę! Zdrajca!

Napier wpatrywał się przed siebie, a jego zaciśnięte usta utworzyły cienką białą linię.

- No, to mamy dosyć świadków - powiedział Willoughby.

Napier przeniósł na niego zapatrzoną gdzieś w dal wzrok. Zrobił taką minę, jakby nic nie rozumiał.

- Pan Brady miał absolutną rację. Jesteś naiwny, Napier, ale jako ten, co śpiewa, awansowałeś w szeregi aniołów. Do tej pory nie mieliśmy przeciwko nim żadnych obciążających dowodów. Dzięki tobie spotkanie się jeszcze dziś za kratkami. Szykuje się szalenie ciekawe spotkanie.

Wielki biały helikopter wylądował na Jelenim Rogu za kwadrans szósta po południu. Lucky Lorrigan, któremu lufa pistoletu Carmody'ego wkręcała się w ucho, przeleciał siednłominutowy odcinek drogi z Wroniej łapy w nienagannym stylu. Dwaj pracownicy stacji meteorologicznej zostali uwolnieni i kiedy im wszystko wytłumaczono, chętnie zobowiązali się dotrzymać tajemnicy przez następne dwadzieścia cztery godziny.

Pierwszy wysiadł z samolotu Brady, za nim Dermott i rarmi. Komitet

powitalny z "Sikorsky'ego", na czele z porucznikiem Brownem, czekał

na nich w podnieceniu i z gratulacjami.

- Szybko się uwinęliście - powiedział Brown. - Moje gratulacje!

Żadnych kłopotów?

- To zwykle ćwiczonko - odparł Brady, który był mistrzem autoreklamy. - Ale jest trochę roboty dla doktora Kenmore'a. Trzech głupców stanęło na drodze lecącym kulom.

- Zajmę się nimi, panie Brady - rzekł Kenmore.

- Dziękuję. Ale wygląda mi pan za młodo jak na chirurga ortopedę.

184 185

- Aż tak z nimi źle?

- Niech pan ich zesztukuje, jak pan potrafi. Nikt nie odbierze panu prawa wykonywania zawodu, jeżeli wykorkują w ciągu nocy.

- Rozumiem - odparł młody lekarz, rozszerzonymi oczami wpatrując się w schodzące po stopniach helikoptera kobiety. - No, no.

- Firma Brady współpracuje tylko z najlepszymi i najpiękniejszymi

- wyjaśnił Brady afektowanym tonem. - Musimy się zająć powrotem pańskich wspaniałych maszyn, panie Lowry. A teraz, wybaczy pan, panie poruczniku, mam dość pilną sprawę.

Zdążył już zrobić kilka kroków w stronę odrzutowca, kiedy dogonił go porucznik.

- W pańskim samolocie mocno się wyziębiło, panie Brady - powiedział. - Dlatego pozwoliłem sobie przenieść część niezbędnych produktów do naszego ciepłego "Sikorsky'ego".

Nie zatrzymując się Brady zrobił zwrot o dziewięćdziesiąt stopni i zdecydowanym krokiem skierował się do "podniebnego żurawia".

- Ma pan przed sobą piękną przyszłość - pochwalił Browna, klepiąc go po ramieniu.

- Udało się? - spytał Dermott Berniego, radiooperatora "Sikorsky'ego".

- Dodzwoniłem się do wszystkich trzech. Rozmówca z Nowego Jorku i jeden z rozmówców z Anchorage, pan Morrison, powiedzieli, że nie mają jeszcze dla pana wiadomości i prawdopodobnie nie będą mieli przez następną dobę. Drugi z pańskich rozmówców z Anchorage, doktor Parker, prosił, żeby pan zechciał się z nim skontaktować.

- Może mnie pan z nim połączyć?

- Nic prostszego - odparł z uśmiechem Bernie. - Pewnie chciałby pan z nim rozmawiać na osobności?

Brady został zmuszony do usadowienia się na niewygodnym pudle do pakowania - trzeba przyznać, dużym - które stało w przedniej części przepastnej ładowni "Sikorsky'ego". Chyba zbyt mu to nie doskwierało. Rozmawiał właśnie z całkowicie przytomnym Fergusonem.

- Udało ci się synu. Miałeś cholerne szczęście, ale nie aż takie jak my, i to wyłącznie dzięki tobie. Pomówimy o tym. . . mmm. . . później, sam

na sam. Przykro mi, że dokuczają ci oczy.

- Przeklęty pech, panie Brady. Inaczej poprowadziłbym samolot bez kłopotu.

- Na razie niczego pan nie będzie prowadził - oświadczył doktor Kenmore. - Dopiero za dwa, trzy dni okaże się, czy pański wzrok wróci do normy. Znam specjalistę w Edmonton.

- Dziękuję. A przy okazji, jak tam nasi ranni bohaterowie?

- Przeżyją.

- No cóż. Nie można mieć wszystkiego.

W dwie i pół godziny później Brady znowu przewodniczył wesołemu towarzystwu, ale tym razem siedząc znacznie wygodniej - w najlepszym fotelu w hotelu Peter Pond. Niewątpliwie ożywiony myślą o olbrzymim honorarium, jakie wycisnie z klientów, w swojej gościnności przypominał mecenasa w całym tego słowa znaczeniu. Do Reynoldsa dołączyła żona. Nastrój był radosny, ale Dermott i Mackenzie nie mieli wesołych min. Dermott podszedł do rozpromienionego Brady'ego, który promieniał bez specjalnego powodu - po prostu siedział, z żoną po lewej stronie i z daiquiri w lewej ręce.

- Donald i ja chcemy wymknąć się na trochę. Zgadzasz się? - spytał.

- Oczywiście. Jestem wam potrzebny?

- Nie, chodzi o drobiazgi.

- No to idźcie, George - powiedział Brady. Jego twarz, która nieco przygasła, znów się rozjaśniła. Miał teraz bowiem wyłącznie dla siebie pole do popisu, a szczegółowy opis ostatnich wydarzeń mógł się nieco różnić od tego, który by musiał przedstawić w obecności swoich pomocników. Spojrzał na zegarek. - Jest wpół do dziewiątej. Załatwicie to w pół godziny?

- Mniej więcej.

Idąc do wyjścia, zatrzymali się przy Willoughbym. Dermott uśmiechnął się do spoglądającej przez łzy pani Reynolds.

- Co z Brinckmanem i Jorgensenem? - spytał szefa policji.

Willoughby uśmiechnął się radośnie.

- Są gośćmi rządu kanadyjskiego - odparł. - Dowiedziałem się o tym przed kwadrans. Nie wiem, jak wam...

- Niech pan się wstrzyma z podziękowaniami. Jeszcze nie zakończyliśmy naszej współpracy - odparł uśmiechnięty Mackenzie.

- Trzeba coś jeszcze załatwić?

- Nie w Albercie. Ale musimy znowu zarzucić sieć. Możemy spotkać się z panem rano?

- Kiedy?

- Późnym rankiem. Można zadzwonić?

Dermott i Mackenzie spędzili w pokoju Dermotta nie pół, ale półtorej godziny, rozmawiając, planując, a przede wszystkim telefonując. Kiedy wrócili do hallu, Brady powitał ich wylewnie. Zupełnie nie zdawał

sobie sprawy z upływu czasu. Towarzystwo powiększyło się. Dermott

186 187

i Mackenzie zostali przedstawieni jakiemuś małżeństwu, jak się okazało, burmistrzowi i jego żonie. Przedstawiono ich także żonie Jaya Shore'a, który wrócił z kopalni, jak również czarującej damie, która okazała się panią Willoughby. Potem zostali przedstawieni jeszcze dwóm innym parom małżeńskim, których nazwisk nie dosłyszeli. Ten wieczór należał do Jima Brady'ego.

- Kolejna wiadomość, chociaż jest to jeszcze jeden zbędny gwóźdź do trumny - powiedział cicho Willoughby, który do nich podszedł.

- Odebraliśmy odciski przechowywane przez Shore'a i porównaliśmy je ze zdjętymi z ciężarówki biorącej udział w porwaniu. Dwa komplety zgadzały się: były to odciski Napiera i Lucky'ego Lorrigana.

O jedenastej Dermott i Mackenzie znów podeszli do Brady'ego. Nadal był w szampańskim nastroju, a jego odporność na rum przechodziła wszelkie wyobrażenia.

- Szefie - odezwał się Dermott. - Jesteśmy zmęczeni. Idziemy.

- Idziecie? Do łóżka? No, niech mnie diabli - powiedział Brady

i zerknął na zegarek. - Młoda godzina. - Zrobił pompatyczny gest.

- Spójrzcie na nich, czy oni myślą o łóżku?

Jean posłała Dermottowi smutny uśmiech, świadczący, że myśli do-

kładnie o tym samym co on.

- Są szczęśliwi - ciągnął Brady. - Dobrze się bawią. Tylko spójrzcie!

Spojrzelili niechętnie. Istotnie, Brady miał rację. Dobrze się bawili, a zwłaszcza Carmody, który dyskretnie wycofał się z grona zebranych, żeby usiąść w kącie ze Stellą.

- Wszystkiego najlepszego. Chcesz, żebyśmy padli na nos przy twoich gościach?

- Dzisiejsza młodzież taka właśnie jest, niestety. Brak wam ikry

- powiedział Brady, który przy takich okazjach zapominał, że on i jego współpracownicy należą do tego samego pokolenia. - Brak wytrzymałości, brak kondycji.

Zdawał się zupełnie nieświadom, że plecie bez sensu, ale oni wiedzieli, że dobrze o tym wie.

- Rano chcielibyśmy z tobą porozmawiać.

- Porozmawiać? - spytał, patrząc na nich podejrzliwie. - Kiedy?

- Kiedy będziesz w dobrej kondycji, z ikrą, i będziesz śpiewał jak słowik.

- Do diabła z takim gadaniem, kiedy?

- W południe.

Brady uspokoił się.

- Dlaczego w takim razie nie zostaniecie?

Dermott podszedł do Jean i pocałował ją; Mackenzie zrobił to samo.

Obeszli całe towarzystwo, ceremonialnie życząc każdemu dobrej nocy, i wyszli.

Położyli się spać po pierwszej, spędziwszy przedtem dwie godziny przy telefonie.

Dermott obudził się o wpół do ósmej. Do ósmej zdążył wziąć prysznic, ogolić się i - jedząc przyniesione na tacy śniadanie - załatwić liczne telefony. O dziewiątej zjawił się u niego Mackenzie. O dziesiątej zaczęli konferować we trójkę z Willoughbym. W południe przysiedli się do stołu Brady'ego, który jadł śniadanie, i wyjaśnili mu, co zamierzają zrobić. Brady przeżuł resztki omletu z szynką, wielkości głębokiego talerza do zupy, i stanowczo potrząsnął głową.

- Nie ma mowy. Sprawa zakończona - oznajmił. - Zgoda, na

Alasce jest jeszcze kilka pojedynczych tropów, ale za kogo mnie macie, jeżeli myślicie, że poświęcę czas takim drobnym płótkom?

- No to chyba przyjmiesz naszą rezygnację z pracy?

Na swoje szczęście Brady nic w tej chwili nie jadł ani nie pił, więc nie miał czym się zakrzusić.

- Rezygnację? A co to, do diabła, ma znaczyć?

- Wszystkiemu winien Donald. On jest półkrwi Szkotem, rozumiesz.

Serce mu się kraje, jak widzi, że pieniądze wyrzuca się w błoto.

- Pieniądze? W błoto? - powtórzył Brady, przez chwilę niemal

przerażony, ale szybko odzyskał przytomność umysłu. - Co to za

bdury?

- Ile policzysz Sanmobilowi za nasze usługi?

- No, nie jestem z tych, co żerują na cudzym nieszczęściu. Chyba pół miliona. Oczywiście plus wydatki.

- No, to sądzę, że ja i Donald zarobimy ćwierć miliona na tych pojedynczych tropach i na tych drobnych płótkach.

Brady milczał, zapatrzony w jakiś punkt gdzieś poza nieskończonością.

- Jesteś tak sławny, że nie widzę powodu, żeby towarzystwa naftowe z zatoki Prudhoe nie miały zapłacić także pół miliona - ciągnął Dermott. - Oczywiście plus wydatki.

Brady przeniósł wzrok z przestrzeni kosmicznej z powrotem na stół.

- Jeżeli wydaje się wam, że nie jestem dziś w najlepszej formie, to nie dlatego, że jest rano, ale dlatego, że tak dużo mam na głowie.

O której jest to zebranie?

188 189

Rozdział szesnasty

Zebranie odbyło się tego wieczoru w stołówce Sanmobilu, marnie oświetlonej i pomalowanej na wyblakły kremowy i groszkowy kolor.

Niemniej wiele przemawiało za tą salą jako miejscem zebrania, a zwłaszcza fakt, że była duża, ciepła i można ją było zamknąć dla osób postronnych.

Stoły i krzesła przestawiono tak, że prowadzący zebranie zasiedli w jednej linii - niejako na scenie - twarzami do długiej sali. Resztę krzeseł ustawiono w dwóch grupach, oddzielonych przejściem.

Pośrodku stołu prezydialnego siedział Willoughby, który pełnił obowiązki gospodarza. Po jego lewej ręce zasiadał Hamish Black, dyrektor naczelny spółki BP-Sohio z Alaski, który przyleciał na to zebranie z Prudhoe, po lewej Brady, przelewający się przez rozchwiane krzesło, ze swymi dwoma wiernymi giermkami po bokach.

Miejscowy zespół reprezentowali Reynolds, Jay Shore i kilku innych, Alaskę zaś ośmiu mężczyzn. Byli wśród nich Blake, jak zwykle wychudzony i truposzowaty, Ffloulkes, szef policji z Anchorage, i Parker, lekarz policyjny od spraw medycyny sądowej. Tyżn samym samolotem przyleciał Morrison z FBI, za którym siedziało czterech jego agentów.

Miejsca w głębi sali zajmowało trzydziestu innych pracowników Sanmobilu sprowadzonych po to, żeby usłyszeli pełne sprawozdanie z tego, co się wydarzyło. Wreszcie, trzymając się dyskretnie z boku, na płaskiej ławie, oparci o ścianę siedzieli John Carmody i kilku jego kolegów policjantów. Wciśnięta między nich Corinne Delorme sprawiała wrażenie małej, drobnej i nieco wystraszonej.

Willoughby wstał, żeby otworzyć zebranie.

- Dobry wieczór państwu - powiedział. - Jako najstarszy stopniem przedstawiciel prawa tu, w Albercie, i jako wasz gospodarz z urzędu, chcę podziękować wszystkim, że byliście tak dobrzy i przybyliście tu z tak odległych miejsc jak zatoka Prudhoe, Rnchorage, a nawet Nowy Jork.

Sala zaszumiała.

- Tak jest - powiedział Willoughby. - Dwóch panów przyjechało do nas aż z Nowego Jorku. Ale do rzeczy: celem tego zebrania jest zapoznanie kadry kierowniczej Sanmobilu i BP-Sohio z tym, co działo się przez ostatnich kilka dni, i w miarę możliwości wyjaśnienie kilku kwestii, na które jeszcze nie mamy odpowiedzi. Oddaję głos panu Hamishowi Blackowi, dyrektorowi naczelnemu BP-Sohio z Rlaski, żeby naświetlił państwu sprawę.

Black wstał, z miną surową, pełną oburzenia. Ale kiedy zaczął mówić, jego postawa i autorytet zaskoczyły Brady'ego i jego współpracowników.

- Nie potrzebuję państwu mówić - zaczął - że zarówno alaskański rurociąg, jak i kompleks piasków roponośnych tu, w Athabasce, stały się ostatnio przedmiotem bezlitosnego i wzmożonego sabotażu. Działania te skutecznie przerwały produkcję ropy w obu ośrodkach i w ich trakcie zamordowano przynajmniej czterech niewinnych ludzi, a kilku

innych raniono. Ufamy głęboko, że te bestialskie i brutalne napady już się nie, powtórzą. Przynajmniej w Albercie. A cała w tym zasługa zespołu dochodzeniowego firmy Brady, którą kieruje pan Jim Brady i jego dwóch zastępców, panowie Dermott i Mackenzie.

Z nieznacznym uśmiechem, który zmiękczył linię jego cienkich wąsów, Black wskazał ręką zespół Brady'ego. Ku swojemu ogromnemu zażenowaniu Brady poczuł, że się rumieni, co nie zdarzyło mu się od wielu lat. Zgrzytnął zębami i nie poruszając głową spojrział w bok na Dermotta. Facet, którego zignorowali całkowicie, chwalił ich!

- Niestety - podjął Black - na Alasce nie doszło do tak szczęśliwego zakończenia. Nie mamy żadnej konkretnej gwarancji, że sabotaż się skończył, a to z tego prostego powodu, że działający tam przestępcy nie znaleźli się jeszcze w rękach sprawiedliwości. Firma Brady była równie mocno zaangażowana w dochodzenie na Alasce, jak tutaj, a ponieważ tylko jej przedstawiciele orientują się w całości sytuacji, chcę poprosić samego pana Brady'ego, żeby przedstawił nam raport w tej sprawie.

Brady podźwignął się z krzesła i odchrząknął.

- Dziękuję panu, panie Black - powiedział. - Proszę państwa, obiecuję, że będę się maksymalnie streszczał i nie zabiorę wam dużo czasu. Najpierw poproszę o zabranie głosu pana Johna Younga, dyrektora Usług Miejskich, agencji detektywistycznej z Nowego Jorku, związanej z policją federalną. Do jej zadań należy nadzór i normowanie

zasad postępowania prywatnych detektywów i agencji detektywistycznych w stanie Nowy Jork. Panie Young?

190 191

Z pierwszego rzędu przedstawicieli Sanmobilu podniósł się szczupły, łysy mężczyzna w okularach w grubej oprawie. Spojrzał na notatki, które trzymał w ręku, uśmiechnął się do Brady'ego i obróciwszy się twarzą do sali zaczął mówić.

- Firma Brady, za zgodą rządu, zwróciła się do Usług Miejskich o zbadanie przeszłości pewnej prywatnej agencji zajmującej się ochroną nł'enia, należącej i prowadzonej przez Samuela Bronowskiego, który później został szefem straży przemysłowej rurociągu na Alasce. Poza tym, że - z łatwo wytłumaczalnych powodów - zniknął nadzyczaj duży procent kosztowności powierzonych tej firmie na przechowanie, nie stwierdziliśmy żadnych rażących nadużyć. Potem jednak poproszono mnie o odszukanie nazwisk i ustalenie tożsamości wszelkich współpracowników Bronowskiego, którzy odeszli z tej firmy mniej więcej w tym samym czasie co on, czyli do sześciu miesięcy przed lub po jego odejściu. Znaleźliśmy dziesięć takich nazwisk, nie jest to zbyt duży ubytek jak na taką agencję, ale firma Brady była szczególnie zainteresowana czterema z nich. - Tu Young zajrzał do notatek, które trzymał w prawej ręce. - Chodzi o Houstona, Brinckmana, Jorgensena i Napiera.

Young usiadł, a Brady wstał i podziękował mu.

- Tych, którzy jeszcze o tym nie wiedzą - podjął - informuję, że trzech z tej czwórki siedzi już w areszcie. Są oskarżeni o różne przestępstwa, z morderstwem włącznie. Czwartego z nich, oraz samego Bronowskiego, możecie państwo zobaczyć teraz na własne oczy.

Dał dyskretny znak Willoughby'emu, który skinął głową w stronę jednego z umundurowanych policjantów przy drzwiach. W chwilę potem otworzyły się drzwi i do sali weszli Bronowski i Houston, skuci razem kajdankami. Zaprowadzono ich do pierwszego rzędu krzeseł, w którym siedzieli goście z Alaski. Bronowski nadal paradował w imponującym bandażu na głowie, ale jego duża, szeroka twarz była ponura.

- Doskonale - mruknął Brady. - Obiecałem nie zabierać czasu.

Ustaliliśmy, że przynajmniej dwóch strażników z rurociągu i trzech z Sanmobilu zna się od dawna, że działają ręka w rękę, że zorganizowali sabotaż na wielką skalę, wymienili szyfry i są odpowiedzialni za morderstwa. Ustaliliśmy również, że ich niekwestionowanym przywódcą jest Bronowski. Fakty te potwierdziło wielu świadków, którzy będą zeznawać przed sądem. O kolejne wyjaśnienia poproszę doktora Parkera.

- Tak, dobrze - powiedział doktor Parker i urwał, żeby zebrać myśli. - Jestem w Rnchorage lekarzem policyjnym i zajmuję się medycyną sądową. Pan Dermott przywiózł nam z zatoki Prudhoe ciała

trzech zabitych. Zbadałem jednego z nich - technika zamordowanego na stacji pomp numer cztery. Doznał on dość niezwykłego uszkodzenia palca wskazującego ręki. Jak wiem, obecny tu doktor Blake przypisał je działaniu siły wybuchu, który zniszczył stację pomp. Nie mogę się z tym zgodzić. Palec wyłamano z rozmysłem: to jedyne wytłumaczenie. Panie Dermott?

Dermott wstał.

- Pan Mackenzie i ja mamy na ten temat hipotezę - powiedział.

- Jesteśmy przekonani, że w chwili kiedy zamordowany technik został zaskoczony przez ludzi, którzy podłożyli ładunki, miał przy sobie pistolet. Jesteśmy też przekonani, że ich rozpoznał, a oni, wiedząc o tym, zabili go, zanim zdążył użyć pistoletu w samoobronie. Przekonani jesteśmy również, że palec zacisnął mu się na spuście w chwili śmierci.

Czy to możliwe, doktorze?

- Tak, jak najbardziej.

- Domyślamy się, że zbrodniarze musieli wyłamać mu palec, żeby zabrać pistolet. Znalezienie zabitego z pistoletem w ręku mogło wzbudzić poważne wątpliwości, czy wybuch był rzeczywiście przypadkowy.

Ponadto dokumenty, które widziano w kieszeni jego kurtki, później znikły.

Ani ja, ani moi koledzy nie wiemy, co zawierały. Przypuszczamy tylko, że

technik zebrał obciążające dowody przeciwko komuś, co tłumaczyłoby

fakt, że miał przy sobie pistolet. - Dermott urwał. - Chciałbym poprosić

pana Brady'ego o omówienie zasadniczej kwestii, kto ostatecznie odpowia-

da za te straszne zbrodnie - dodał po chwili.

Brady ponownie dźwignął się z krzesła.

- Panie Carmody, czy byłby pan łaskaw stanąć przy Bronowskim?

- spytał. - Wiem, że jest w kajdankach, ale zdaję też sobie sprawę, że to porywczy człowiek. Doktorze Parker?

Doktor Parker wstał bez pośpiechu i podszedł do Bronowskiego.

Carmody już przy nim był.

- Niech pan stanie za nim i przytrzyma mu ręce - polecił doktor.

Carmody spełnił polecenie. Bronowski jęknął z bólu, kiedy doktor

Parker sięgnął ręką i zerwał mu bandaż zakrywający czoło i skroń.

Doktor przyjrzał się uważnie skroni Bronowskiego, dotknął jej i wyprostował się.

- To bardzo delikatna część głowy - powiedział. - Po ciosie takim, jaki rzekomo otrzymał, miałby siniaka przynajmniej przez dwa tygodnie. Prawdopodobnie dłużej. Jak państwo widzą, nie ma siniaka, ani nawet śladu stłuczenia. Innymi słowy - dla wzmocnienia efektu Parker zawiesił głos - nikt go nie uderzył.

192 193

- W tym świetle nie najlepiej pan wygląda, doktorze Blake - rzekł

Brady.

- A będzie wyglądać jeszcze gorzej - powiedział Parker i wrócił na

swoje miejsce. - W Anchorage pan Dermott zwrócił się do mnie z prośbą, którą wówczas uznałem za nader dziwną. Teraz zmieniłem zdanie. Mimo że pan, doktorze Blake, przeprowadził sekcję zwłok Johna Finlaysona, pan Dermott poprosił mnie o przeprowadzenie drugiej. Rzecz niesłychana. Ale jak się okazuje, była to prośba uzasadniona. W paiskim orzeczeniu pisze pan, że Finlayson został uderzony w potylicę workiem z solą. Tak jak u Bronowskiego, nie znalazłem śladów stłuczenia. Skórę miał tylko startą, co mogło nastąpić zarówno przed, jak i po śmierci. Ważne jest jednak to, że jeden z moich młodszych współpracowników odkrył w krwi ślady tlenku etylu. Takie mikroelementy są trudne do ukrycia. Po bliższych oględzinach znaleźliśmy tuż pod żebrami małe sine nakłucie. Dalsze badania wykazały bez najmniejszych wątpliwości, że wprowadzono tamtędy igłę albo sondę i przebito nią serce. Śmierć nastąpiła prawie natychmiast. Innymi słowy, Finlaysona najpierw uspięto, a po czym zamordowano. Nie sądzę, żeby znalazł się choć jeden autorytet medyczny w obu naszych krajach, który podważyłby moje wnioski.

- Ma pan jakieś uwagi, doktorze Blake? - spytał Brady.

Blake najwyraźniej nie miał żadnych uwag.

- Za to ja mam - odezwał się Morrison z FBI. - Blake nie jest żadnym doktorem. Studiował na uniwersytecie w Anglii, skąd wyrzucono go na czwartym roku z powodów jeszcze nam nie znanych, ale które na pewno łatwo ustalimy. Nauczył się jednak w tym czasie

z pewnością dosyć, żeby móc posługiwać się igłą i sondą.

- Ma pan jakieś uwagi, Blake? - spytał Brady.

Blake i tym razem nie miał żadnych uwag.

- Przypuszczam, choć nie mam całkowitej pewności, że wypadki wyglądały następująco - rzekł Dermott. - Finlayson przyłapał Bronowskiego i Houstona na grzebaniu w kartotece odcisków palców.

Prawdopodobnie Bronowski wyjmował z niej swoje odciski, a na ich miejsce wkładał inne. Czyje, nie wiem, ale to również możemy sprawdzić. Mój następny domysł jest prosty i oczywisty. Odciski palców znalezione w budce telefonicznej w Anchorage należały do Bronowskiego. Wystarczy nam zdjąć odciski jego palców, żeby to potwierdzić.

- Ma pan jakieś uwagi, Bronowski? - spytał Brady. - A więc wina została udowodniona - rzekł, rozglądając się po sali. - To nam prawie zamyka sprawę. - Wstał, jak gdyby miał zakończyć zebranie. - Ale

niezupełnie. Nikt z oskarżonych nie był wystarczająco inteligentny i kompetentny, żeby zaplanować i pokierować tego rodzaju operacją. Wymagało to ogromnie wyspecjalizowanej wiedzy. Kogoś, kto zna te rzeczy od podszewki.

- Czy domyśla się pan, kim jest ta osoba? - spytał Willoughby.

- Wiem, kto to jest - odparł Brady. - Ale tu oddam głos panu

Morrisonowi z FBI. Moi koledzy i ja domyślamy się, kto stoi za tymi zabójstwami i sabotażem, zarówno tu, jak i na Alasce, ale dowody na to

zdobył pan Morrison.

- Tak, mam dowody, ale tylko dlatego, że podpowiedziano mi, gdzie mam węszyć - powiedział Morrison. - Bronowski twierdził, że był właścicielem - i utrzymuje, że nadal nim jest - agencji w Nowym Jorku zajmującej się ochroną mienia. Nieprawda. Jak odkrył w trakcie swoich poszukiwań pan Young, Bronowski służył tylko za fasadę, był figurantem. Prawdziwą władzą, właścicielem, był kto inny. Zgadza się, Bronowski?

Bronowski spojrzał spode łba, zacisnął wargi i nic nie powiedział.

- Nie szkodzi - rzekł Morrison. - Przynajmniej temu nie zaprzeczysz. Pan Young, w asyście detektywów z policji nowojorskiej i uzbrojony w nakaz rewizji, zbadał prywatną korespondencję firmy. Firma była na tyle naiwna, że zamiast niszczyć, gromadziła zgubne i obciążające dowody. Ujawniły one nie tylko tożsamość prawdziwego właściciela firmy, ale także zadziwiający fakt, że ta sama osoba była właścicielem jeszcze co najmniej czterech agencji detektywistycznych i zajmujących się ochroną w mieście Nowy Jork.

Morrison spojrzał na Willoughby'ego.

Willoughby skinął głową i spojrzał w bok. Carmody skinął głową, wstał i wolno poszedł na koniec sali.

- Właściciel ten był mocodawcą nieobecny, choć tylko przez parę ostatnich lat - ciągnął Morrison. - Przedtem pracował na giełdzie nowojorskiej i jako doradca w sprawach inwestycji na Wall Street.

Niezbyt mu się wiodło, ale nie był rasowym finansistą, chociaż lubił pieniądze. Przypominał raczej słonia w składzie porcelany, był nieostrożny. Ostatnią nieobecność właściciela firmy spowodował fakt, że znalazł zajęcie gdzie indziej: w Athabasce, w niedogodnej odległości od Wall Street. Był pracownikiem Sanmobilu. Sprawował funkcję dyrektora kopalni.

- Spokojnie. Nie ruszać się - ostrzegł Carmody, pochylając się nad ramieniem Reynoldsa i uwalniając go od automatycznego pistoletu z tłumikiem, który tamten zaczął wyciągać z kabury pod pachą. - Może

194 195

pan zrobić sobie krzywdę. Po co pistolet komuś tak praworządному

Po sali przeszedł szmer zdziwienia. Niemal wszyscy wstali, żeby lepiej widzieć. Twarz Reynoldsa, zazwyczaj tak rumiana, zszarzała.

Kiedy Carmody zakładał mu kajdanki, siedział jak sparaliżowany.

- Nie robimy tu procesu - powiedział Brady. - Nie proponuję więc przesłuchania. Nie będę też nakreślał okoliczności, które sprawiły, że wybrał tę drogę, wystarczy powiedzieć, że miał żal chyba o to, że pominięto go przy awansie. Oceniał, że jego kariera została zahamowana: nabrał przekonania, że na kierownicze stanowiska w jego firmie zawsze bierze się ludzi z zewnątrz. Zareagował na to z pewną przesadą.

Brady zamilkł. Chciał w tym miejscu wskazać na Blacka, wspominając

o zwyczaju towarzystw naftowych mianowania księgowych na najwyższe stanowiska kierownicze. Ale w tym stanie rzeczy zmienił zamiar i poprosił Blacka o podsumowanie.

Black zrobił to w sposób zaskakująco ciepły i ludzki. Znowu wylewnie pochwalił firmę Brady i zakończył zapewnieniem wszystkich obecnych, że kampania terroru i zniszczeń dobiegła końca. Na tym zebraniu zamlatięto.

Policjanci odprowadzili Reynoldsa, Blake'a, Bronowskiego i Houstona do cel, a pozostali małysni grupkami bardzo wolno zaczęli opuszczać salę.

Brady z zażenowaniem, jakie mu się nigdy nie zdarzało, podszedł do Blacka.

- Przepraszam pana - wymanuotał. - Muszę pana szczerze przeprosić. Moi współpracownicy zachowali się w stosunku do pana niegrzecznie wtedy, w trakcie... mmm... dochodzenia... zupełnie bez powodu.

- Nie ma za co przeproszać, drogi panie - rzekł wielkodusznie

Black. - Zresztą, muszę powiedzieć, że była to moja wina. Nie zdawałem sobie sprawy z powagi naszej sytuacji. Myślałem, że pan przesadza. Teraz wiem, że byłem w błędzie.

- Ja też chciałbym pana przeprosić - wykrztusił Dermott, aż sztywny z zakłopotania. - A wszystko przez to, jeśli wolno mi się tak wyrazić, że tak niechętnie odnosił się pan do współpracy z nami.

- Przestraszyły mnie koszty dochodzenia. Nie zapominajcie panowie, że z wykształcenia jestem księgowym.

Ku zaskoczeniu całego zespołu Brady'ego Black roześmiał się. Zawtórowali mu, żeby rozładować napięcie, ale już za chwilę Black sprytnie wykorzystał ich słabość.

- Ale do rzeczy, panie Brady - powiedział z ożywieniem. - Pańskie honorarium. . .

- Och... chwileczkę! - rzekł Brady, zupełnie zaskoczony. - Myślałem, że będę załatwiać tę sprawę z pańską dyrekcją w Londynie.

- Cieszę się, że nie ma takiej potrzeby - powiedział Black, cały w skowronkach. - Londyn upoważnił mnie do bezpośrednich pertraktacji z panem. Nasz prezes uznał, że pomimo bliskiej przyjaźni, jaka panów łączy, lub właśnie raczej z jej powodu, powinienem to załatwić ja.

- No tak... Nie!!! Chcę powiedzieć, że... że nigdy nie pertraktuję osobiście - mówił nieprzekonująco Brady, zdając sobie z tego sprawę.

Szybko jednak odzyskał kontenans. - Pan nie musi się porozumieć ze swoim księgowym, ja tak.

- Czterdzieści do zera, serw Blacka - mruknął Dermott, kiedy się rozstali. Miał właśnie iść po swoje okrycie, kiedy pod jedną ze ścian zauważył Corinne Delorme, która siedziała na ławce jak zahipnotyzowana.

- Chodź złotko - powiedział delikatnie. - Czas iść.

- To nie do wiary - odparła. - Niemożliwe.

- Ale... to fakt. Bardzo się przejęłaś?

-Nie, nie... Aż tak bardzo mnie nie obchodził. Po prostu przyzwyczaiałam się wierzyć w to, co mówi.

- Wiem, jak to jest. Ale sama widziałaś, jaki był przebiegły. Kto porywa sam siebie, żeby uprawdopodobnić swoje poczynania, nie może być uczciwy.

- Tak, to prawda. No i te morderstwa. Mój Boże, to jest straszne.

- To było straszne. Ale się skończyło. Idziesz?

- Tak - odparła, wstała, a Dermott podał jej płaszcz.

- Ty i ja mieliśmy najwięcej szczęścia w tej przeklętej sprawie

- powiedział. - Oboje powinniśmy nie żyć. I nie żyłbym, gdyby nie ty.

Nagle jej puste oczy rozjaśniły się i uśmiechnęła się. Dermott odpowiedział jej uśmiechem.

- Co zrobisz teraz, kiedy nie masz szefa? - spytał.

- Nie wiem. Znajdę inną pracę.

- W Forcie McMurray trudno o dobrą pracę. A może pojedziesz na południe i popracujesz dla mnie?

- Dla ciebie? - spytała, otwierając szerzej oczy. - O tym nie pomyślałam.

- To pomyśl teraz. Idziemy?

- Tak.

- Podałbym ci rękę, gdyby mnie tak bardzo nie bolała.

- A ja być może bym ją przyjęła.

196 197

Podniosła oczy i kiedy wychodzili przez drzwi, mocno się do niego przytuliła.

Widok ten najwyraźniej dał Brady'emu i jego drugiemu współpracownikowi okazję do bezgranicznej uciechy. Wili się na krzesłach jak błązny, głośno dając upust wesołości.

"Obstaw mnie flaszami", Donald, "boć mdleję z miłości" - wykrzyknął Brady, kiedy doszedł do siebie. - Potrzebuję gwałtownie jakiegoś płynu na wzmocnienie. Jeżeli nie zawodzi mnie mój nos detektywa, to pachnie mi tu romanssem.